

JOHN VARLEY

**Gorąca Linia
z Wężownika**

Rozdział pierwszy

„Codzienny Biuletyn Prawny" Interystemowego Biura do
Spraw Badań nad Kontrolą Przystępności. 14 wodnika, 568 o.
Z.¹

Sprawa: obywatel Luny kontra Lila-Alexandr-Calypto. (Oficjalne
Streszczenie - do natychmiastowego rozpowszechniania).

Oskarża się Lilę-Alexandr-Calypto, że w okresie od 1/3/556 do 12/18/567 świadomie i z własnej woli przeprowadzała eksperymenty na ludzkim materiale genetycznym celem sztucznego wywołania mutacji. Stwierdza się dalej, że oskarżona produkowała ludzkie blastocyty i embriony zawierające struktury potencjalnie atypowe w stosunku do dozwolonego spektrum dla ludzkości pogwałcając w ten sposób Zunifikowany Kodeks Konfederacji Ośmiu Światów, artykuł trzeci (Przestępstwa przeciw ludzkości) rozdział siódmy (Przestępstwa genetyczne). Dla oskarżonej żąda się kary nieodwracalnej śmierci.

1) liczony od momentu rozpoczęcia okupacji Ziemi.

(I kategoria czytelnicza)

Akta Lili zostały założone, kiedy komputery BKP odnotowały jej zainteresowanie informacjami z Gorącej Linii z Wę-żownika, dotyczącymi ludzkiego DNA Agencji z Biura Kontroli uzyskali od StarLine Inc., głównego właściciela przetworzonych danych z Wężownika, dostęp do ściągniętych przez nią zbiorów. Bank danych sądu najwyższego zezwolił na dalszy nadzór prowadzony zarówno przez agentów, jak i projekcje komputerowe. 11/10/567 wydano nakaz przeszukania domu Lili, miejsc pracy i własności osobistej, z ciałem włącznie.

(II kategoria czytelnicza)

Gliny z biura powiedzą wam: „Lila to kawał twardziela. Spryčiuła. Zdawało się, że już po nas, jak żeśmy wywalili drzwi Biosystems Research. Bez jaj. Istna walka z hologramami. Taśmy, notatki, wszystko się kasowało do czysta, ledwie położyłeś na tym rękę. Łamacze kodów z biura klną na czym świat stoi: zero. Nic. No to zasuwamy do jej domu, znowu próżnia. Ale przecież miała forsę. Dziesięć lat temu na patentach na drzewa bananomięsne zarobiła kupę szmalu. Sprawdzamy jej rejestry podrózne. Jest dostęp! Pięć podróży na Janusa. Wskoczyła w kontenerowiec 3 g i chodu, tylko lasery zostały. W domu nikogo, ale jedna z jej pułapek spaliła. Wraca z kilkoma gramami zmutowanego mięsa. No i wpadła. Rentgen oczywiście nic nie pokazał. I jak myślicie co znaleźliśmy jak ją otworzyliśmy. Tysiąc i jeden bitów danych owiniętych dookoła jej rdzenia kręgowego. Żryj próżnię niszczytelko genów. Dziura czeka. Gliny z biura powiedzą wam: przestępstwo nie popłaca

Więzienia nie są już takie jak dawniej. Czytałam trochę na ten temat, kiedy przyszło mi do głowy, że może będę zmuszona zobaczyć któreś od środka z powodu mojej pracy. Niektóre, na Starej Ziemi, były naprawdę barbarzyńskie.

Moja cela zupełnie ich nie przypominała. Była wygodniejsza, niż przeciętne mieszkanie robotnicze w mrowisku. Składała się z trzech pomieszczeń, niezłe umeblowanych. Miałam nawet widfon, tyle tylko, że wszystkiemu przysłuchiwał się strażnik. Nie używałam widfonu.

Moja cela miała jednak coś wspólnego z dawnymi więzieniami, i była to najbardziej podstawowa rzecz: drzwi nie otwierały się na moje żądanie. A za tymi drzwiami znajdowały się tuziny innych, wszystkie zamknięte przede mną. I w każdym pokoju umieszczono kamery, śledzące każdy mój ruch.

Znajdowałam się w Zakładzie Karnym Ostatecznego Stopnia dla Wrogów Ludzkości, trzy kilometry pod powierzchnią Ptolemeusza, po widocznej stronie. Byłam tu od ponad roku. Z tego sześć miesięcy zajęło zbieranie dowodów przeciwko mnie. Proces odbył się w ciągu paru milisekund czasu komputerowego rankiem, kiedy jeszcze spałam. Poinformowano mnie o wyroku — żadnych niespodzianek — i naznaczono termin egzekucji na następny dzień. Wtedy mój obrońca uzyskał półroczne odroczenie.

Nie miałam złudzeń. Odroczenie przyznano najprawdopodobniej dlatego, żeby egzekucja odbyła się dopiero pod koniec semestru. Instytut cierpiał na brak wrogów ludzkości, a trzeba było skończyć prace dyplomowe. Dwa razy dziennie jedna ze ścian mojej celi zmieniała kolor i zaczynała się jarzyć. Po drugiej stronie profesor miał wykład z psychologii. Jeśli dostatecznie zbliżyłam twarz, mogłam dostrzec studentów siedzących w sali wykładowej). Ale przyglądanie się szybko mnie znudziło.

Mniej więcej raz w tygodniu odwiedzali mnie. Siadywali, zdenerwowani, na mojej sofie, chłopcy i dziewczęta o żywych

twarzach i brwiach zmarszczonych w skupieniu. Wypytywali mnie przez godzinę, wyraźnie nie wiedząc, co o mnie myśleć. Z początku wymyślałam dziwaczne odpowiedzi, ale to też mnie znużyło. Czasami po prostu siedziałam bez słowa. Moje życie pędziło ku końcowi.

Lila-Alexandr-Calyпсо czekała w swojej celi na rano. Ciągłe jeszcze nie zdecydowała, czy zdoła się wspiąć po tamtych schodach. Rok temu, kiedy nie wydawało się to tak przeraźliwie nieuniknione, łatwo było o odwagę. Teraz widziała, że jej zuchwałość brała się z głębokiego wewnętrznego przekonania, że tak naprawdę nikt nie może jej zabić. Ale od tamtej pory miała mnóstwo czasu na rozmyślanie.

Komory gazowe, szubienice. Krzesła elektryczne, stopy, plutony egzekucyjne. Pętla na szyję i wisisz, aż jesteś martwa, martwa, martwa; niech Bóg zrecykluje twoją duszę.

Jakkolwiek wymyślne, wszystkie te urządzenia służyły czemuś niezwykle prostemu. Miały sprawić, żeby ludzkie serce przestało bić. Później kryterium śmierci stała się aktywność mózgu.

Teraz nawet to nie wystarczało. Zabicie kogoś nie dawało absolutnej pewności, że się tej osoby więcej nie spotka. To był smutny fakt. Dlatego egzekucja Liii, zaplanowana na rano, z punktu widzenia społeczeństwa miała przede wszystkim symboliczny charakter.

Z punktu widzenia Liii znaczyła o wiele więcej. Dziewczyna biła się z myślą, którą rozważała tylko raz w życiu: sześć miesięcy temu, tuż przed odroczeniem egzekucji. Myślała o popełnieniu samobójstwa.

„A czemu by nie?” pytała samą siebie. Drgnęła zaniepokojona, uświadomiwszy sobie, że powiedziała to na głos.

No właśnie, czemu nie? Parę lat wcześniej znalazłaby tysiąc argumentów. Wtedy, gdy kończyła pięćdziesiąt lat, życie wydawało się nie mieć końca. Była jeszcze młoda. Ale teraz miała lat pięćdziesiąt siedem i nagle okazało się, że jest stara. Wkrótce będzie martwa. Martwa. Nie można się bardziej postarzyć.

Pod względem biologicznym miała dwadzieścia pięć lat. Był to bardzo popularny wiek, a chociaż Lila nie lubiła naśladować powszechnych mód, nie czuła się dobrze wyglądając na więcej. Ciało było w większej części jej własne, nie licząc paru chirurgicznych modyfikacji. Miała jasnobrązowe włosy, oczy szeroko rozstawione i lekko spłaszczony nos. Była wysoka i szczupła, i bardzo jej to odpowiadało.

Jedyny jej czuły punkt stanowiły nogi. Od połowy łydki, aż do stóp pokrywało je delikatne brązowe futerko, jak u szynszyli. Poza tym kazała przedłużyć kości udowe o dziesięć centymetrów, uzyskując wzrost dwóch metrów dwudziestu centymetrów, nieco powyżej średniej.

Wstała i zaczęła niespokojnie przechadzać się po pokoju. Zdumiewało ją, że skoro pogodziła się z myślą o śmierci, samobójstwo zaczęło się wydawać pociągającą perspektywą. Społeczeństwu było obojętne, czy się zabije sama; żywa lub martwa, rano miała zostać wrzucona do Dziury. Nikt nie próbował usunąć z jej celi śmiercionośnych narzędzi.

Właśnie oglądała jedno z nich: nóż. Był piękny. Nierdzewna stal, lśniąca jak zwierciadło; zachwycająca symetria kształtu. Wokół trzonka wiły się krzyżujące się rowki, zapewniając pewny chwyt na chłodnym metalu. Przeciągnęła nożem po szyi, starając się nie myśleć o niczym. Ręka drżała jej, kiedy dotykała palcami skóry. Ani śladu krwi.

Miała wybór, wciąż o tym myślała.

Następnego dnia dojdą do głosu emocje. Była pewna, że nic nie jest w stanie dorównać napięciu podczas wspinaczki po schodach wiodących do Dziury. Przerazała ją myśl, że mogłaby się załamać i nie móc rzucić się w głąb z własnej woli, bo wtedy zostałaby związana i zepchnięta przez krawędź.

Z drugiej strony, w tej chwili czuła się właściwie spokojna. Porzuciła wszelką nadzieję. Czy potrafi znieść śmierć teraz, z własnej ręki, na osobności? Czy tak będzie lepiej?

Wydawało się, że tak. Powtórzyła to sobie trzy razy z rzędu i sięgnęła po nóż. Przeciągnęła ostrzem po nadgarstku. Zadrżała, serce biło jej mocno. Otworzyła oczy i popatrzyła na rękę: nawet śladu za-

drapania. A przecież była pewna, że przycisnęła ostrze. Coś popłynęło po jej policzku. Otarła to, zdenerwowana.

Usiadła na krześle obok niskiego stolika i zacisnęła zęby. Pochyliła się, oparła przedramię na blacie. Przyłożyła ostrze do miękkiego ciała, spojrzała na rękę, odwróciła wzrok, zmusiła się, żeby patrzeć. Czowała, że zaczynają piec oczy, kiedy nie pozwalała im mrugać.

Pojawiło się parę kropel krwi.

- Odłóż to, Lilo.

Drgnęła i gwałtownie poczerwieniała. Starając się ukryć zakrwawiony nóż wśród poduszek na fotelu, odwróciła się, żeby zobaczyć kto wszedł do pokoju.

- Bardzo krwawi? - zapytał, zbliżając się.

Spojrzała na rękę. Ranka była niewielka, prawie się już zasklepiła. Rzucił jej chustkę; otarła dłoń. Usiadł kilka kroków od niej.

-Jest tu ktoś, kogo powinnaś poznać - powiedział, gestem wskazując drzwi celi. Otworzyły się i wszedł strażnik w niebieskim mundurze, a za nim naga kobieta. Brązowe włosy przyłgnęły do pleców niby pajęczyna, z dłoni, nosa i brody ściekał płyn, gęsty jak syrop. Jej oczy na moment napotkały wzrok Liii, bez śladu rozpoznania; osunęła się na krzesło i przewróciła razem z nim. Strażnik postawił ją na nogi i na wpół niosąc zaprowadził do łazienki. Do celi weszła jakaś kobieta, również ubrana na niebiesko, zamknęła za sobą drzwi i poszła do łazienki. Słychać było szum wody.

Liii udało się odwrócić wzrok. Twarz nagiej kobiety była przerażająco znajoma. Jej własna twarz.

Złote. Wszystko było złocistożółte. Otworzyłam oczy pod wodą i wiedziałam, że nie oddycham. Z jakiegoś powodu nie przejełam się tym. Usiadłam i poczułam, jak gęsty płyn leniwie ścieka z mojego ciała.

Zakrztusiłam się, próbowałam odkaszlnąć; kolejna porcja płynu wydostała się z mojego gardła. Przez chwilę nie mogłam

sobie z tym poradzić. Tonęłam. Ale ktoś uderzył mnie w plecy i złapałam oddech.

Nielatwo się rodzić.

Nie mogła skupić wzroku. Ktoś coś jej podawał; widziała jedynie dłoń trzymającą jakiś przedmiot. Kubek. Cofnęła się, ale ręka podążyła za nią. Wzięła kubek i wypila do dna jego zawartość.

Siedziała w szklanym zbiorniku, zanurzona do pasa w płynie o słomkowej barwie. Od jej ciała biegły przewody, ciągle jeszcze wykonywała ruchy wymuszone przez program ćwiczeń fizycznych, teraz po trzech miesiącach kończący się już.

Dezorientacja. Nie była w stanie zebrać myśli. Wiedziała, że zbiornik coś oznacza, ale nie pamiętała co.

- No już, wstajemy - odezwał się jakiś głos. Należał do kobiety ubranej na błękitno; wyciągnęła rękę i pomogła jej wyjść ze zbiornika. Stała teraz, ociekająca płynem, chwiejąc się na nogach, opierając na mocnym ramieniu; ręka kobiety obejmowała ją pewnie w pasie. Chciała zasnąć z powrotem.

-Jest już gotowa?

- Chyba tak. - Był jeszcze ktoś, mężczyzna, również ubrany na niebiesko. - To nie potrwa długo.

Wiedziała, że rozmawiają o niej. Próbowwała strząsnąć z siebie rękę kobiety, ale miała za mało siły. Drażniło ją, że musi ich słuchać. Chciała, by przestali.

- Zostawcie mnie - powiedziała.

- Co ona mówi?

Poprowadzili ją wzdłuż korytarza, pomagając przejść przez drzwi, zamykając je za nią. Nie mogła utrzymać prosto głowy, która ciągle opadała na jedną stronę. Widziała jedynie swoje stopy, łydki i płyn ściekający z ciała na dywan. Wydawał się jej to zabawne; roześmiała się, omal nie wyślizgując się z rąk kobiecie.

- Co z nią?

Śmiała się tak bardzo, że nie usłyszała odpowiedzi. Doszli do kolejnych drzwi. Zatrzymali się przed nimi, poczuła, że ktoś ją bije po twarzy. Próbowwała ich powstrzymać, ale nie udało się jej i zaczęła płakać. Kolejne, mocniejsze uderzenie posłało ją na odległą ścianę. Skuliła się; zdała sobie sprawę, że stoi o własnych siłach patrząc w twarz mężczyźnie.

- Obudziłaś się wreszcie? - zajął jej w oczy.

- Tak... ja... - zakasłała i próbowała rozejrzeć się wokół, ale złapał ją za włosy mocno ciągnąc, aż pomyślała, że rozplacze się znowu. -Ja... to znaczy...

- W porządku. Wprowadź ją do środka.

- Idź za mną, słyszysz? Po prostu idź za mną - odezwał się znowu mężczyzna.

Wydawało się, że to dla niego ważne; była gotowa zrobić wszystko, żeby tylko ją puścił. Kiedy to zrobił, włosy przywarły jej do ciała, czuła się cała mokra i lepka. Próbowwała mu o tym powiedzieć, ale wszedł już do pokoju. Ktoś popchnął ją w ramię, niepewnie przestąpiła próg.

Zerknęła na ludzi zebranych w pokoju. Był tam mężczyzna w śmiesznej marynarce, jego widok poruszył coś w jej pamięci. Znała go, tylko nie mogła sobie przypomnieć imienia. I kobieta siedząca na krześle. Znała ją. To była ona sama.

Nigdy nie sądziłam, że spotkam eks-prezydenta Tweeda twarzą w twarz. W kostce nie można go uniknąć: cały czas występuje w najróżniejszych programach, agitując za swoimi obłąkanymi planami. Tkwi na scenie telepolitycznej, odkąd pamiętam.

Tweed ubierał się jak postać z dowcipów rysunkowych z przełomu dwudziestego wieku. Zapuścił sobie wydatny brzuszek, zawsze nosił spodnie w prążki, frak, cylinder i sztylpy. Palił cygara, a kiedy został wybrany na prezydenta przemianował osiedle prezydenckie na Tammany Hall¹. I wygrywał wybory. Chociaż

¹ Tammany Hall - siedziba partii demokratycznej w Nowym Jorku, przy Czternastej Ulicy.

nigdy nie interesowałam się specjalnie polityką, wiedziałam, że był wybierany przez trzy kolejne kadencje.

To on utorował drogę do stworzenia na Łunie tego cyrku, który nazywamy rządem. Rozpoznanie decyduje o wszystkim, a publiczność miała zrozumiałe, jak się wydaje, kłopoty z oddzieleniem politycznej retoryki od fantazji, które towarzyszyły jej w kostce. Więc teraz mamy swoich Tweedów, Churchillów i Kennedych. Jest Hitler, Bonforte, Lewiston i Trojan. Wystarczy umieścić ich razem i równie dobrze można to nazwać występami kłownów.

Na szczęście wybrani urzędnicy nie decydują o zbyt wielu sprawach; stanowiska mają charakter honorowy albo sprowadzają się do nadzoru nad komputerami, które tak naprawdę sprawują rządy. Nigdy nie byłam przekonana, że jest to dobre, ale za sprawą Tweeda zaczęłam doceniać takie rozwiązanie. Nie żeby moje zdanie miało w tej chwili jakiegokolwiek znaczenie.

Odsunęłam na stronę przemyślenia na tematy polityczne i przygotowałam się do wysłuchania jego gadki. Wszystko jest lepsze od tego, co ma mnie spotkać.

- Tylko bez żadnych numerów - odezwał się swoim słynnym ba sem. - Jestem odporny na wszystko, czego możesz spróbować.

Lila uświadomiła sobie, że Tweed ma na myśli zamach na swoje życie. W tej chwili była od tego jak najdalsza.

Znalazł się tu, gdzie nie miał prawa pojawić się legalnie i właśnie przed chwilą pokazał coś, co musiało być nielegalnym klonem. Była pewna, że nie zrobiłby tego, gdyby nie zamierzał jej czegoś zaferować i bardzo chciała to usłyszeć.

- Niedługo się przekonasz, że jestem pod stałą ochroną.

- Nie rozumiem, do czego miałyby mi się przydać ta informacja, jeśli nie będę prowadzić z tobą interesów. A jak wiesz, moja przyszłość jest w tej chwili bardzo ograniczona.

Próbowała powiedzieć to lekko, nie pozwolić, by w jej głosie zabrzmiała nadzieja, ale było to niemożliwe. Nóż, którego dotyk czuła na udzie i krwawa smuga na nadgarstku świadczyły, jak wielką wagę przykłada do wyniku tej rozmowy.

- Naturalnie, że będziesz ze mną prowadzić interesy. Ty albo - gestem wskazała łazienkę - tamta... Wybór należy do ciebie.

Słyszała hałasy dobiegające z łazienki, szum wody i pełen złości głos, który z trudem rozpoznała jako własny. Jej bliźniaczka budziła się, to napełniało ją przerażeniem.

-Jaki wybór?

- Na początek wyjaśnię ci twoje położenie. Ja...

- Znam swoje położenie, do cholery. Przejdź do sedna.

- Cierpliwości. Chcę, żebyś się najpierw dowiedziała o paru sprawach.

Przerwał, wyjął cygaro i rozpoczął ceremonię przycinania go i zapalania. Cóż za niezwykle brzydki człowiek, pomyślała Lila, brzydota, którą tylko karykatura jest w stanie osiągnąć. Odrażający jak skarłaty, powykrzywiany upiór z przeszłości, ze Starej Ziemi.

- Klon został, oczywiście, wyhodowany nielegalnie - podjął Tweed.

-Ale ty nie jesteś już wiarygodnym świadkiem. Jeśli mi odmówisz, nigdy nie zdołasz powiadomić kogokolwiek o tym, co tu dzisiaj widziałaś. Od tej chwili będziesz miała do czynienia tylko z Vaffą i Hygieją, dwójgiem strażników, których widziałaś. Oboje są wobec mnie lojalni.

- Co jeszcze masz mi do powiedzenia, czego tak strasznie chciałabym się dowiedzieć? Nie przyszedłeś tu przecież, żeby mi ubliżyć. Jesteś... mniejsza o to. Niezbyt cię lubię. Nigdy nie lubiłam.

-Aja nie lubię ciebie. Ale mogę cię wykorzystać. Chcę, żebyś dla mnie pracowała.

- Świetnie. Kiedy zaczynamy? Jak sam powiedziałaś, powinniśmy się pośpieszyć, bo nie pożyję już długo.

Ale sarkazm nie zabrzmiał zbyt szczerze nawet w jej własnych uszach, ponieważ mówiła ze ściśniętym gardłem. Tweed roześmiał się

uprzejmie; była na nim tak skupiona, że omal nie zawtórowała mu. Stłumiła pokusę, bo groziło jej, że śmiech przerodzi się w szloch.

- To rzeczywiście pewien problem - przytaknął. - Daję ci szansę uniknięcia egzekucji. Proponuję zamianę.

Spojrzał w stronę drzwi łazienki, zza których dolatywały odgłosy walki, a potem znowu na nią. Podniósł brwi.

Zimna woda sprawiła, że zaczęłam się krztusić i nie mogłam złapać tchu, ale poczułam się trochę lepiej. Po raz pierwszy w ciągu tych paru minut mogłam jasno myśleć. Nade wszystko pragnęłam zasnąć, ale sprawy wokół mnie zaczynały się toczyć zbyt szybko i wymykały mi się spod kontroli.

Tweed! Tak się nazywał. Co robił w drugim pokoju, rozmawiając z kimś, kto wyglądał dokładnie jak ja, w mojej własnej celi? I zbiornik. Czy umarłam? Obudziłam się w cysternie, co by znaczyło, że tak. Ale przecież wydano na mnie wyrok nieodwracalnej śmierci; nie powinnam się obudzić nigdy więcej.

Podstawiłam twarz pod chłodny strumień. Nie śpij, nie śpij. Dzieje się coś ważnego, a ciebie z tego wyłączono. Plułam i sapiałam, klepiąc się po twarzy, nogach i ramionach. Chyba zaczynam wszystko rozumieć; to było ohydne, podle, tak straszne, że nie chciałam wierzyć, że to prawda. Ale nie widziałam innego scenariusza.

Potknęłam się i upadłam na ścianę prysznicza. Strażniczka chwyciła mnie za ramię, postawiła na nogi. Zamachnęłam się na nią, ale była wysoka i czujna, i cios nie trafił celu. Zaczęłam krzyczeć i szamotać się.

Wybiegła z łazienki, ścigana przez mężczyznę i kobietę. Mężczyzna pochwyił ją, ale była śliska, a histeryczny szal dodał jej siły. Wyrwała mu się, kopała go bosymi stopami, kiedy walczyli ze sobą na podłodze, potem poczołgała się na rękach w stronę kobiety siedzącej na krześle.

Próbowała się podnieść na nogi, ale silnie uderzyła głową w kant stołu i osunęła się bezwładnie naprzeciw kanapy, na której siedział Tweed. Strażnik chwycił ją, chcąc odciągnąć, ale Tweed podniósł rękę.

- Zostaw - powiedział. - Ostatecznie, to jej pokój. - Spojrzał na Lilę, zamarłą w fascynacji. Wydawało się, że nie może oderwać oczu od kobiety leżącej na podłodze. - Chyba że ty tak sobie życzysz.

Lila odwróciła wzrok od swojego klonu. Otworzyła usta, żeby coś powiedzieć, ale słowa nie mogły jej przejść przez gardło. Klon patrzył na nią znowu. Lilę zatrząwał wyraz przerażenia malujący się na jej własnej twarzy. Przyjęcie oferty Tweeda oznaczałoby skazanie tej kobiety na śmierć. Nie chciała o tym myśleć.

Klon patrzył teraz na Tweeda i Lila słyszała niemal, jak pracuje umysł tej istoty. Chwyciła za brzeg kanapy i podniosła się na kolana.

- Nie wiem, o czym rozmawialiście - odezwała się. - Ale myślę, że powinniście mi o tym powiedzieć. Wiem, nie jestem na bieżąco; przed chwilą się obudziłam. Widzę, że coś tu się wydarzyło. Dostałam odroczenie wyroku, prawda? A ona jest tym, kim mi się wydaje, że jestem, tylko sześć miesięcy później, tak?

- Właśnie - odparł Tweed i uśmiechnął się do niej.

Lila poczuła dreszcz przerażenia i uświadomiła sobie, że obawia się tej drugiej. Nie chciała, by Tweed się do niej uśmiechał. Nie było podstaw sądzić, że Tweed ma jakiegokolwiek preferencje; klon posłużyłby jego zamiarom równie dobrze, jak oryginał. Nic nie przemawiało za tym, że to ona powinna ocaleć.

- Bez względu na to, o co chodzi - mówił klon -jestem równie dobra...

- Biorę tę robotę - powiedziała Lila najgłośniejszym głosem, jak potrafiła. Tweed spojrział na nią.

-Jesteś pewna?

Klon, nie rozumiejąc, przenosił wzrok od jednego do drugiego.

- Tak. - Z trudem przełknęła ślinę. - Tak. Zabij ją. Pozwól mi żyć.

Czułam się, jakbym nagle zniknęła.

Tweed i tamta druga kobieta rozmawiali, jakby mnie nie było. Przerzucali się słowami ponad mną, bo klęczałam na podłodze. Nie mogłam w to uwierzyć. Nie rozumiałam, o czym mówią; huczało mi w uszach i znowu ogarnęło mnie oszołomienie. Upadając chyba uderzyłam się w głowę.

Musiałam coś zrobić, żeby zwrócili na mnie uwagę. Od tego zależało moje życie. Wstałam, drżąca, i stanęłam między nimi, ale nadal zachowywali się, jakbym nie istniała. To było jak jakiś koszmar. Krzyczałam do nich, bez skutku. Wstali i wyszli z pokoju, strażniczka zasłoniła sobą drzwi ze zdecydowanym wyrazem twarzy.

Rzuciłam się na nią, próbowałam walczyć, ale trzymała mnie mocno. Odeszli.

Siedząc na krześle, sama, traciłam i odzyskiwałam przytomność. Hygieia, strażniczka, parę godzin temu dała mi podwójną dawkę środków przeciwbólowych. Siedziałam tutaj, czekając aż zaczną działać. Moje sny były czarne i bezkształtne, oprócz tamtego, dobrze znanego, o lesie, przez który biegłam: lesie pod błękitnym słońcem.

Wstałam, kiedy zaczęłam tracić czucie w rękach i stopach. Wszystko zrobiło się czarne, potem byłam w łazience i nie wiedziałam, jak się tam znalazłam. Odkręciłam prysznic.

Przez chwilę patrzyłam ze zdumieniem na swoją rękę. Na nadgarstku widniało głębokie cięcie, krew leniwie spływała między palcami, pryskała na moje nagie uda i stopy. Jak to się stało? Głowę miałam ciężką, ale wydawało mi się, że pamiętam... przycisnęłam nóż... czy tak? Ta kobieta — jak miała na imię? — była w moim pokoju. Czy to ona próbowała mnie zabić i upozorować samobójstwo ?

Ciepła woda spływała po moim ciele. Różowe strumyczki wiły się między palcami stóp. Zachwiałam się, uderzyłam głową

o ścianę. Wiedziałam, że już za późno. Umierałam. Było mi zimno. Niedługo będę martwa.

Woda przyskała mi na twarz. Marzły mi stopy. Popatrzyłam znowu na nadgarstek i zobaczyłam, że krew przestała płynąć. Wstałam, poślizgnęłam się i upadłam twarzą w różową kałużę.

...w dużym pokoju. Nie mogłam wstać. Szukałam czegoś. Czego? Kolejna biała plama. Nóż. Chciałam dokończyć dzieła, zaczętego przez tamtą kobietę. Czy może przeze mnie? Zostawiłam nóż... gdzie? W ręce. Uderzałam, nie mogłam utrzymać go w palcach. Nóż znowu gdzieś zniknął. Próbowałam się czolgać.

Zobaczyłam przed sobą czyjeś obute stopy, chciałam wstać.

—Znowu straciłaś przytomność.

— To była Hygieia.

—Nic mnie nie boli — odpowiedziałam. — Nie martw się.

Circum-Luna 6 był metalową kulą o promieniu pięciuset metrów. Siła grawitacji na zewnętrznej powierzchni wynosiła pięć m/s^2 , ale gość schodzący przez jedno z trzech wejść z każdym krokiem w głąb czułby rosnący ciężar. Niewielu ludzi odwiedzało CL-6.

Wszystkie orbitalne elektrownie działały na podobnej zasadzie, ale tylko CL-6 była znana jako „Dziura”. Pięć albo sześć razy w roku zamykano ją na parę godzin, żeby ludzie mogli zejść do miejsca, które jeszcze niedawno było radioaktywnym piekłem.

Właśnie teraz ją zamknęto. Poniżej gargantuicznych generatorów pola, utrzymujących czarną dziurę zawieszoną w centrum stacji, na poziomie jednego g znajdował się taras. Wychodził z niego metalowy łuk, z poręczami po obu stronach, w który wbudowano trzynaście niskich stopni. Wysokie zaledwie na parę centymetrów, miały jedynie symboliczne znaczenie. Łóżko na kółkach bez trudu wtoczyło się po nich, przywiązane do niego zwłoki podskakiwały, kiedy mężczyzna i kobieta ubrani na czarno pchali je do końca łuku.

Jeden z katów zdjął całun z ciała Liii, podczas gdy drugi mocował łożko do mechanizmu wyrzutowego. Kiedy skończyli, zatrzymali się jeszcze na chwilę pod okiem kamery, potem zeszli ze schodów i wspięli na powierzchnię.

Łóżko przechyliło się, przez mgnienie oka zawisło na krawędzi, a potem spadło. Prędkość ciała rosła asymptotycznie do prędkości światła, wewnątrz CL-6 rozjarzyło się oślepiającym blaskiem. Daleko w głębi dziury, w pół drogi do nieskończoności, cząstka, która jeszcze przed momentem była Lila, orbitowała uwalniając energię, gdy potężne siły ścisnęły materię do granic, zanim ostatecznie zapadła w nicość.

Rozdział drugi

Ariadna-Clel-Joule: „Żyjemy razem. Wprowadzenie do prawa dla dzieci”. Poziom preedukacyjny, 552.1 kategoria czytelnicza.

Są trzy rodzaje przestępstw. Według ich wagi dzielą się na: wykroczenia, występki i zbrodnie.

Do wykroczeń zaliczamy: popychanie, dokuczanie, przeklinanie i wydzielanie nieprzyjemnych zapachów: przestępstwa złego zachowania. Jeśli zostaniesz oskarżony o popełnienie któregoś z nich, masz prawo do obrony. Możesz zażądać trybunału złożonego z ludzi. Jeśli uznają winę, zostaniesz ukarany grzywną, którą płaci się albo stronie oskarżającej, albo państwu.

Do występków zaliczamy: rabunek, włamanie, pobicie, gwałt i morderstwo: przestępstwa naruszenia własności. Występek uznany jest za poważny, gdy dotyczy ciała jakiegoś obywatela. Wszystkie są karane grzywną w wysokości 90% dobytku przestępcy. W przypadkach naruszenia ciała obywatela obowiązuje kara śmierci w zawieszeniu. Prawo przestępcy do życia pozostaje w mocy, więc po egzekucji zostaje on ożywiony w tym momencie swojego życia, zanim pojawiła się u niego pierwsza myśl o przestępstwie, ponadto musi on przejść prewencyjną resocjalizację.

Najgorszym rodzajem przestępstw są zbrodnie. Należą do nich: podpalenie, sabotaż, posiadanie materiałów rozszczepialnych, nosicielstwo chorób, podkładanie bomb, wprowadzanie zmian w ludzkim materiale genetycznym. Przestępstwa te stanowią zagrożenie dla całego rodzaju ludzkiego albo jego dużej części i są nazywane „zbrodniami przeciw ludzkości”. Karą dla zbrodniarzy, którym udowodniono winę, jest unieważnienie ich prawa do życia. Państwo odnajduje i niszczy każdy zapis pamięci i każdą próbkę tkanek przestępcy, na którym wykonano wyrok. Jego genotyp zostaje opublikowany i ogłasza się, że jest wyjęty spod prawa. Jeśli zostanie gdzieś odkryty, również będzie skazany na śmierć, tyle razy, ile potrzeba.

(II kategoria czytelnicza - zobacz tom drugi: „Przestępstwo nie popłaca”. Komiksy i taśmy dostępne na prośbę wyrażoną werbalnie).

Vaffa wyprowadził mnie z celi. Szybko przeszliśmy przez opustoszały korytarz do windy. Ciekawiło mnie, xv jaki sposób mają zamiar mnie stąd wydostać; zastanawianie się, jak to zrobić na własną rękę, zajęło mi znaczną część ubiegłego roku. Przeprowadziłam studium ucieczek. Większość z nich była możliwa dzięki przekupstwu, pomocy z zewnątrz lub wytrwałości, w takiej właśnie kolejności. Nie miałam nic, czego mogłabym użyć jako łapówki i nikogo na zewnątrz, do kogo mogłabym się zwrócić. Co do wytrwałości, hrabia Monte Christo byłby w kłopotcie, jeśli chodzi o Zakład dla Wrogów Ludzkości. Więzienie znajdowało się trzy kilometry pod powierzchnią i, co gorsza, pięćdziesiąt kilometrów od najbliższej stacji kolei podziemnej. Można się było z niego wydostać jedynie na piechotę albo jadąc niehermetyczną kolejką indukcyjną. Do tego potrzebny był skafander. Pilnowanie skafandrowo stanowiło główne zajęcie strażników.

Jadąc w górę, przypominałam sobie nagle, czym się zajmował Tweed od końca swojej ostatniej kadencji. Powierzono mu funkcję pełnomocnika rządu do spraw zakładów karnych.

Winda zatrzymała się, Vaffa dał Liili znak, że ma wyjść na zewnątrz. Uszła może dziesięć kroków, kiedy chwycił ją za rękę i pchnął przez jakieś drzwi. Korytarz ciągnący się za nimi był wąski i słabo oświetlony. Vaffa nie wydawał się zaniepokojony. Najwyraźniej Tweed miał w więzieniu wielu zaufanych współpracowników i nie obawiał się kłopotów. Nie miała czego się bać.

Zmieniła zdanie na widok drzwi z napisem ŚLUZA AWARYJNA. Weszła do środka i natychmiast zauważyła, że w małym pomieszczeniu brak skafandra. Spojrzała na czerwoną lampkę palącą się na drugich drzwiach. Za nimi rozciągała się próżnia.

- Chwileczkę - powiedziała ostro. - Co ty wyprawiasz?

- Nie udało się nam przemycić dodatkowego skafandra - odparł. - Są pod nadzorem sekcji, której nie kontrolujemy.

- Dobrze, ale...

- Czujnik w tej śluzie został odłączony. Komputer nie zarejestruje, kiedy zostanie użyta. Masz, włóż je - wręczył jej parę grubych, giętkich butów.

- Poczekaj chwilę. Nie mogę.

- Musisz.

- Nie! Chcesz mnie zabić! Nie powinnam była was słuchać. Wypuść mnie stąd!

Znajdowała się na granicy paniki. Jak wszyscy Lunarianie, odczuwała nieopanowany lęk przed próżnią. Był to wróg, z którym walczyli od chwili narodzin, równie przerażający jak piekło dla ludzi w dawnych czasach. Czuła się fizycznie chora.

- Załóż je - powtórzył Vaffa spokojnie. - Musisz mieć coś dla ochrony stóp.

- Co... co mam zrobić?

-Jeśli się pospieszysz, spędzisz w próżni tylko pięć sekund. Tuż koło wejścia przejedzie pęczacz, najwyżej o dwa metry od ciebie.

- Która godzina jest tam, na zewnątrz?

- Śluza będzie w cieniu.

Poczuła, że znowu narasta w niej panika.

- Nie. To się nie uda.

Miała zamiar powiedzieć więcej, ale złapał ją za ramię i mocno przytrzymał.

- Zabierze o wiele więcej czasu, jeśli będę cię musiał nieść nieprzytomną.

Wiedziała, że nie żartuje. Uśmiechnął się lekko, widząc w oczach Lili zrozumienie, iż jest zbyt silnym przeciwnikiem. Tak więc dla niej istniała tylko jedna droga na zewnątrz. Włożyła buty i stanęła twarzą do drzwi. Vaffa odblokował zatrzaski. Drzwi nadal były zamknięte, trzymane przez ciśnienie czternastu tysięcy kilogramów.

- Kiedy? - spytała.

- Pełzacz nie może się zatrzymać. W odpowiednim momencie odwrócę uwagę strażnika na wieży; nie możemy mu ufać. Pojazd będzie w twoim zasięgu przez dziesięć sekund, powinien nadjechać za minutę. - Podniósł wzrok znad zegarka i uśmiechnął się. - Jeśli wszystko pójdzie zgodnie z planem.

Po raz pierwszy powiedział coś, czego nie kazano mu mówić, pomyślała. Wyszedł szybko na korytarz, zamykając za sobą cicho wewnętrzne drzwi.

Nagle okazało się, że czas nadszedł. Rozległ się dobrze jej znany jęk; do tej pory zawsze, kiedy go słyszała, miała na sobie skafander. Zawór redukcji ciśnienia. Dziwne, nic nie czuła. Dostała czkawki. Po paru sekundach dźwięk umilkł. Szarpnięciem otworzyła drzwi i ruszyła biegiem. Zobaczyła czarny ruchomy kształt, wyciągniętą w swoim kierunku rękę i w jednej chwili znalazła się wewnątrz pełzacza. Drzwi się zamknęły; powietrze z gwizdem wypełniło uszczelnione wnętrze kabiny. Lila nagle zaczęła drżeć.

- Udało się! - wykrzyknęła ochryple i straciła przytomność.

Pochylała się nad nią jakaś kobieta.

- Nie ruszaj się, proszę.

Lila czuła, że zdrewniała jej lewa ręka. Spojrzała w dół. Ręka została ucięta w łokciu.

- To zajmie tylko chwilę - powiedziała kobieta. Między piersiami miała wytatuowany kadyceusz: mediko. Lila podparła głowę drugą ręką i patrzyła.

- Po co to? - spytała.

- Wsiądziemy z pelzacza na stacji około stu kilometrów stąd. To pomoże przeprowadzić cię przez kontrolę celną.

Z metalowego pojemnika wyjęła przedramię i podłączyła je do swojej czarnej torby. Białe ciało nabrało kolorów, palce się poruszyły. Kobieta wsunęła uciętą rękę Liii do pojemnika.

-Jestem Mari - powiedziała, lekko akcentując ostatnią sylabę. Ciężki uśmiech przemknął jej po twarzy.

- Lila - odparła; zetknęły się dłońmi, Lila wyciągnęła prawą rękę do lewej dłoni Mari; w tym momencie nie była w stanie zrobić tego we właściwy sposób.

- Za minutkę będzie po wszystkim - powiedziała Mari, wskazując rękę. Sięgnęła do torby stojącej na półce za swoimi plecami. Były w niej dwie ciemnopurpurowe togi. Wstała, żeby naciągnąć przez głowę jedną z nich. - Kiedy z tym skończę, będziesz mogła nałożyć drugą.

- Dokąd mnie zabierasz?

- Na spotkanie z szefem.

Ton głosu wskazywał, że Mari bardzo go szanuje. A więc należała do Wolnych Ziemi. Cóż, ostatecznie to nie choroba. Lila tolerowała ich, chyba że - podobnie jak Tweed - byli fanatykami, pragnącymi doprowadzić całą ludzkość do zagłady.

Mari wróciła do pracy, zestawiając staw łokciowy, mocując ścięgna, łącząc nerwy i naczynia krwionośne. Po pięciu minutach skóra się połączyła i tylko ledwie widoczna czerwona linia wskazywała miejsce, w którym dokonano przeszczepu. Wyciągnęła wtyczkę z gniazda na tyle głowy Liii i ręka przestała być jedynie martwym ciężarem. Była zimna, Liii czuła jakby wbijały się w nią setki małych igiełek.

- Przepraszam, że zrobiłam to tak nieporządnie - tłumaczyła się Mari, pakując przybory. - Ale potrzebujesz jej tylko przez jakąś godzinę. Nie będziesz jej wiele używała.

- W porządku. I tak jestem praworęczna - zacisnęła dłoń w pięść. Ręka była za krótka o jakieś pięć centymetrów.

- Naprawdę? Tak jak moja matka.

- Czyje to było?

- Ręka? Została wyhodowana z tkanki jakiejś kobiety, która prawdopodobnie mieszka na Lunie. Puszczaliśmy genotyp przez kontrolę najczęściej jak się dało, żeby komputer wciągnął go do ewidencji... ale chyba nie powinnam ci tego mówić.

- Nie krępuj się. - Lila podejrzewała coś podobnego.

- Kobieta, która właśnie uciekła z najlepiej strzeżonego więzienia na Lunie powinna być bardziej szczęśliwa - zauważyła Mari. Jej uśmiech powoli stawał się coraz śmielszy i bardziej przyjacielski. Lila poczuła, że sama również się uśmiecha.

- Nie miałam czasu, żeby to odreagować. Od tak dawna żyję z wyrokiem śmierci.

Mari przysunęła się trochę bliżej.

- A może chciałabyś pokopulować?

- Nie, dzięki. Chyba wołałabym zacząć z **mężczyzną... wiesz**, mięło tyle czasu...

- Rozumiem.

Uwagę mediko pochłonął płaski, pokryty kraterami krajobraz i kanciaste cienie widoczne za oknem.

Lila próbowała przyzwyczaić się do myśli, że ma szansę przeżyć. Nadal nic to dla niej nie znaczyło. Ciągle wracało wspomnienie tamtej kobiety, klonu, która miała umrzeć zamiast niej. Rozpląkała się pod wpływem pogmatwanych uczuć szukających ujścia. Dopiero kiedy Mari położyła jej rękę na ramieniu, Lila zdała sobie sprawę, jak bardzo tęskniła do widoku przyjaznej twarzy, dotknięcia drugiego człowieka. Uspokoila się od razu. Mari chciała cofnąć rękę, ale Lila powstrzymała ją.

- Kiedy będziemy na miejscu?

Mari zerknęła na chronometr na paznokciu kciuka.

- Za jakieś dwie godziny. Chciałabyś teraz pokopulować? Dobrze by ci zrobiło. Wiem, co czujesz.

- A niech tam.

Był to miły gest, ale nie usprawiedliwiał kolejnej powodzi łez, jaką wywołał u Lili. Wiedziała, że mediko wyprowadziła ją z emocjonalnego dołka, w którym znajdowała się od roku. Zrobiła to, czego nie potrafiło sprawić" intelektualne zaakceptowanie faktu, że wyrok na nią został odroczoney.

Będzie żyć!

Pelzacz zatrzymał się w Herschel, jednym z mniejszych mrowisk na obrzeżach Gór Centralnych. Mari wjechała do służy i zaparkowała; ruszyły prosto do miasta, żeby złapać podmiejski pociąg do Panavi-sion. Lila miała oczy szeroko otwarte, w nadziei że trafi jej się sposobność ucieczki, wkrótce jednak dołączyli do nich mężczyzna i kobieta. Śmiali się i żartowali wraz z Mari, ale było jasne, że są czujni. Mimo to Lila nie wątpiła, że szansa się nadarzy. Rozsądniej jednak było poczekać do czasu, kiedy trochę lepiej zorientuje się w sytuacji.

Włożyła rękę do maszyny celnej, poczuła skrobnięcie próbnika na suchej skórze dłoni. Maszyna zagadała do siebie, rejestrując, że Lila jest kimś zupełnie innym. Szkoda, że nie mogą zachować nowej ręki, pomyślała dziewczyna. Bardzo by się przydała. Nie wchodziło to jednak w grę z powodu reakcji immunologicznej. Ręka obumarłaby w niecały tydzień.

Panavision było miastem artystów, roilo się tu od aktorów i reżyserów. Wielu z nich przeszło modyfikacje na potrzeby granych przez siebie ról; miasto stanowiło z tego powodu dziwaczne miejsce. Stanęli w kolejce do pociągu grawitacyjnego do Archimedesa. Wsiedli wszyscy czworo, wagon został hermetycznie zamknięty. Lila poczuła, jak maleje jej ciężar, kiedy spadała pochyłym tunelem niemal czterysta kilometrów

w ddł. Gdzieś pod Apeninami tunel znowu zaczął się wznosić, pociąg stopniowo zmniejszył szybkość i w żółtim tempie dotarł do windy, która zabrała ich w górę, z powrotem na zamieszkane poziomy. Podróż skończyła się, ledwie Lila zdążyła wygodnie usadowić się w fotelu.

Grand Concourse w Archimedesie wydał się jej przerażającym miejscem. Zapomniała już, że może być tak wielu ludzi i taki hałas. Nie miała jednak czasu, żeby się nad tym zastanowić; popędzano ją przez tłum do stacji prywatnej kolejki podziemnej. Kiedy znowu mogła spokojnie zebrać myśli, była już tylko z Mari w ośmioosobowej kapsule.

- Gdzie teraz?

- Nie wolno mi powiedzieć - odparła mediko wzruszając ramionami.

Lila nie potrzebowała wiele czasu, żeby się tego domyślić. Większość Lunarian wiedziała niewiele o selenografii. Bywali na powierzchni raz na kilkanaście lat, najczęściej w podróży podobnej do tej, jaką odbywały Lila i Mari: zamknięci w kapsule posuwającej się po szynie indukcyjnej, podczas gdy krajobraz przemykał ze świstem za oknami. Lila jednak całkiem nieźle znała mapy powierzchni. Zmierzały na północ przez równiny Morza Deszczów, a kiedy nad horyzontem zamajaczyły szczyty, poznała Góry Spitzbergenu. A więc to tutaj mieszka szef. Tego rodzaju informacji nie uważano właściwie za tajemnice państwowe, nie rozgłaszano ich jednak ze względu na zawsze możliwą groźbę zamachu.

Dom Tweeda znajdował się na powierzchni - i było to logiczne, uświadomiła sobie Lila, bo dzięki temu mógł w każdej chwili widzieć Ziemię. Ziemia i Najeźdźcy stanowili jego obsesję. Obok znajdowała się ogromna kopuła geodezyjna, otoczona przez gromadkę mniejszych. Pająkowaty teleskop o dwudziestometrowym zwierciadle stał w cieniu kopuły. Był wycelowany w Ziemię.

Mari odcięła jej przedramię i zastąpiła oryginalnym, potem poinformowała Lile, że Tweed czeka na nią w głównym budynku

i wskazała jej drogę. Lila ruszyła bez pośpiechu, zaglądając przez kolejne drzwi do mijanych pomieszczeń. Prawdopodobnie nie ma innej stacji kolejki, a skafandry są pilnie strzeżone. W pełni zdawała sobie sprawę, że to miejsce jest więzieniem w takim samym stopniu jak Zakład dla Wrogów Ludzkości, ale uznała, że tak czy inaczej nadszedł czas, by rozpocząć planowanie.

W dół korytarza spływała woda. Lila brodziła w niej, aż korytarz zmienił się w strumień wijący się wśród drzew, artystyczną mieszaninę hologramów i prawdziwych roślin. Nie zauważyła, kiedy to się stało. Na obrzeżach łożyska strumienia leżały wypolerowane głazy z różnobarwnego kryształu, w głębszych miejscach widziała ryby. Z brzegu uważnie przyglądała się jej pantera. Dołączyła do Liii, kiedy ta wyszła na suchy ląd i, obwąchawszy futro na łydkach dziewczyny, zaczęła się o nie ocierać. Lila bawiła się przez chwilę z wielkim kotem, po czym odpędziła go od siebie szturchnięciem.

Ścieżka zaprowadziła ją na polanę. Na środku siedział na krześle Tweed, obok niego stała naga kobieta. Na skraju, wśród drzew, dostrzegła mężczyznę, również nagiego.

Lila próbowała udawać, że to wszystko nie zrobiło na niej wrażenia, ale jej wysiłki spęły na niczym. Nie miała pojęcia, ile pieniędzy kosztowało zbudowanie takiego kieszonkowego disneylandu, ale nie miała wątpliwości, że sporo.

- Siadaj, Lilo - powiedział Tweed i z wysokiej trawy wyrosło drugie krzesło. Usiadła. Z kieszeni togi wyciągnęła szczotkę i zaczęła rozczesywać skołtunione, mokre futro na łydkach.

- Poznałaś już Vaffę - ciągnął Tweed, wskazując gestem kobietę. Lila zerknęła na nią, zwracając uwagę na pozycję ciała i ułożenie rąk. Ta kobieta potrafiłaby ją zabić w ułamku sekundy i zrobiłaby to. Dostrzegła w jej oczach coś znajomego.

- Dużo ich trzymasz? - spytała. W trawie u stóp kobiety leżał zwinęty boa dusiciel, długi na pełnych dwadzieścia metrów. - To ci pie-szczoszek.

- Nie lubisz węży?
- Nie mówiłam o wężu.

Tweed zachichotał.

- Vaffa jest bardzo użyteczna, lojalna, bystra na ile to możliwe i absolutnie bezlitosna. Prawda, Vaffa?

- Skoro pan tak twierdzi. - Nawet na moment nie spuszczała Liiii z oka.

-Jeśli chodzi o twoje pytanie; istnieje wiele Vaff. Jedna tutaj, druga, która pomogła ci uciec parę godzin temu. I jeszcze inne.

Lila nie musiała pytać, dlaczego Vaffy są tak użyteczne. Choćby twarze i ciała tych dwóch, które spotkała, całkowicie się różniły, budziły takie same uczucia. To byli zabójcy. Być może żołnierze, chociaż nie była specjalistką od chorób psychicznych.

- Opowiedz mi o Pierścieniach - nieoczekiwanie poprosił Tweed.
- To wyszło w czasie procesu - wyjąkała Lila. - Myślałam, że wiesz.
- Tak, ale nie jestem przekonany, czy powiedziałaś całą prawdę.

Gdzie znajduje się kapsuła?

- Nie mam pojęcia.
- Wiemy, jak cię zmusić do mówienia.

Tweed wyrażał się w sposób przypominający aktora z trzeciorzęd-
nego dreszczowca.

- Daj spokój z tymi bzdurami. Nie chodzi o to, że ci nie chce powiedzieć. Przyznałam się do jej zbudowania. Gdybym wiedziała, gdzie jest, nie zyskałabym na tym wiele, prawda?

W tym momencie wyglądało na to, że nie tylko nie przyniesie to jej żadnych korzyści, ale może wręcz zaszkodzić. Tweed wydawał się nieszczęśliwy, co ją zaniepokoiło. Dbanie o jego dobre samopoczucie stało się naraz bardzo ważne.

Pięć lat temu, kiedy badania zaprowadziły Lilę w obszary, gdzie mogła się spodziewać kłopotów z prawem, zdecydowała się zbudować

wać kapsułę. Miała znajomości wśród Ringersów i pieniądze, żeby wprowadzić zamysł w życie. Wtedy pomysł wydał jej się znakomity. Nawet gdyby została złapana i skazana, nie przerwałoby to jej prac. Teraz nie była zupełnie pewna, czy kierowały nią całkowicie altruistyczne motywy. Właśnie nauczyła się jak potężny jest instynkt samozachowawczy.

- Przesłuchiwali mnie z użyciem narkotyków - powiedziała. - Mam przyjaciółkę tam, na zewnątrz. Kiedy opuściłam kapsułę, zmieniła jej położenie. Nie mogę nikogo zaprowadzić do stacji. Sama nie wiem, gdzie jest.

- A twoja współniczka? - zapytał Tweed. - Nie możesz się z nią jakoś skontaktować?

- Byłeś kiedykolwiek tam, na zewnątrz?

- Nie, nigdy nie miałem czasu.

Ostentacyjnie wruszył ramionami. Lila widywała u niego ten gest już wcześniej, w kostce. Tweed był mistrzem w udawaniu skro-mnisia, grając rolę człowieka, który jest zawsze zajęty pracą na rzecz społeczeństwa.

- No więc, Pierścienie są ogromne. Jeśli tam nie byłeś, nie możesz sobie nawet wyobrazić jak wielkie. Istniała możliwość, żeby kontaktować się z nią przez radio, ale mogłabym w ten sposób narazić ją na wielkie niebezpieczeństwo. Używając narkotyków mogli ze mnie wszystko wydobyć, a ona nawet by nie wiedziała, że chcą ją złapać. Poza tym, wciągnięcie jej w całą sprawę było dostatecznie trudne. Ringersi są raczej samotnikami. Problemy innych ludzi niewiele ich obchodzi.

- Ale wiesz, jak się z nią skontaktować?

- Jeśli chodzi ci o to, czy mogę ją znaleźć, to nie. Mogę zostawić wiadomość w centrali na Janusie. Ma tam dzwonić co dwadzieścia lat. Jak w zegarku.

Rozłożył ręce.

- Niezbyt dobry sposób.

- O to właśnie chodziło. Gdyby mnie było łatwo, to samo doty-
czyłoby kogoś, kto wiedziałby tyle, co ja.

Tweed wstał i przeszedł kilka kroków patrząc w niebo. Wąż po-
ruszył się, owinał wokół nogi Vaffy. Pochyliła się, żeby go pogłaskać,
nawet na chwilę nie odrywając wzroku od Liii.

-Jak się nazywa ta twoja współniczka?

- Parameter. Parameter-Solstice.

Rozdział trzeci

Clancy-Daniel-Mitre, „Muzyka Pierścieni”. Zbiór wczesnej wspólnej poezji ludzko-symbowej. Około 240-300 o. Z. Wszystkie kategorie czytelnicze.

Najwspanialsze, co otrzymaliśmy za pośrednictwem Gorącej Linii z Weżownika, to symb. W początkach trzeciego stulecia widziano w nich wybawienie ludzkości. Futurologdy przepowiadali nadejście dnia, kiedy każdy człowiek połączy się z symbowym partnerem i wyzwoli na zawsze z zależności od śluz powietrznych, upraw hydroponicznych i wody z odzysku. Każdy człowiek miał się stać maleńkim symbolem utraconej Ziemi, swobodnie poruszającym się w Układzie Słonecznym zgodnie ze swą wolą.

Łatwo dostrzec, co zainspirowało ten optymizm. Symetria pojęć jest bardzo pociągająca. Każda para człowiek-symb stanowi zamknięty ekosystem, który do funkcjonowania potrzebuje jedynie światła słonecznego i niewielkiej ilości stałej materii organicznej. Roślinny symb gromadzi w przestrzeni kosmicznej energię słoneczną i wykorzystuje ją do przekształcenia dwutlenku węgla i produktów przemiany materii człowieka w tlen i substancje odżywcze. Równocześnie chroni wrażliwą istotę ludzką przed próżnią i krańcowymi wahaniami-

mi temperatury. Ciało symba wnika do płuc i przewodu pokarmowego. Obie strony karmią się nawzajem.

Tym, czego nie wzięliśmy pod uwagę, jest umysł symba. Ponieważ symb nie ma mózgu, dopóki nie wejdzie w kontakt z człowiekiem stanowi jedynie grudkę materii organicznej. Ale przenikając system nerwowy swojego gospodarza staje się istotą myślącą. Dzieli z człowiekiem jego mózg. Wczesne badania wykazały, że - raz wprowadzony - symb zostaje w nim na zawsze. Od tego czasu tylko nieliczni godzili się zrezygnować ze swojej psychicznej prywatności w zamian za utopię życia w Pierścieniach.

Ale mimo rozczarowania otrzymaliśmy jeden cenny dar. Społeczeństwo Pierścieni nie jest społeczeństwem ludzkim. My żyjemy w pokojach i korytarzach, oni mają do dyspozycji całą przestrzeń. My mamy prawo dać życie jednemu dziecku przez całe nasze życie, oni mnożą się jak bakterie. My jesteśmy samotnymi wyspami; oni - podwójnymi umysłami. Jest to związek, który trudno nam sobie wyobrazić.

Gdzieś na granicy między dwoma niepodobnymi do siebie umysłami rodzi się napięcie. Tryskają iskry oszałamiającej twórczości. Wszyscy Ringersi są poetami. Poezja to naturalny produkt ich życia. Dla nas, którzy nie mieliśmy dość odwagi, żeby się połączyć, czekających na nieczęste kontakty z nimi, ich pieśni nie mają ceny.

Parameter płynęła nad złotą pustynią, której nie zamykał żaden horyzont. Zwróciła się w stronę Słońca, małego, ale bardzo jasnego dysku tuż nad powierzchnią Saturna. Sama planeta była mroczną dziurą w przestrzeni, obrysowaną ostrym półksiężycem blasku, w którym Słońce tkwiło osadzone jak drogocenny kamień.

Parameter nie widziała tego wszystkiego. Odbierała Słońce jako nacisk wiatru, a Saturna jako zimną studnię, wciągającą ją w głąb.

Wschód Słońca był wyborny. Czula jeszcze jego aromat w cienkim jak opłatek fragmencie swojego ciała, otwierającego się na jego przyjęcie. Była słonecznikiem.

W słonecznikowym trybie czas upływał leniwie, roślinnie. Parameter poprosiła Solstice, swojego symba, żeby odłączyła ośrodkie wzrokowe w jej mózgu, dzięki czemu mogła zakosztować prostej przyjemności bycia rośliną. Szeroko rozłożyła ręce ku światłu, stopy głęboko zapuściła w żyzną glebę. To był dobry czas.

Widziana z zewnątrz, Parameter stanowiła centrum stumetrowego, przezroczystego parasola o lekko parabolicznym kształcie. Była niby pająk czyhający w środku zamrożonej bańki mydlanej, pożyłkowanej jak dno oka. W żyłkach krążyły płyny, niektóre mlecznobiałe, inne ciemnoczerwone, jeszcze inne brunatnopurpurowe. Tuż obok jej pępka wyrastała cienka łodyżka zakończona zgrubieniem wielkości pięści. Znajdowało się ono w ognisku paraboli i otrzymywało niewielki procent światła słonecznego odbijanego przez słonecznik. Było to gorące, parne centrum, wokół którego obracało się ciało Parameter. W zgrubieniu i kapilarach słonecznika bez przerwy zachodziły reakcje chemiczne.

Aktywność jej mózgu została zredukowana niemal do zera, letarg przerywały od czasu do czasu jedynie reakcje Solstice, która nigdy nie zasypiała całkowicie.

- Parameter.

Nawet wtedy, kiedy była zupełnie przytomna, nie słyszała tego jako głosu. Słowa formowały się w jej mózgu jak myśli, ale nie jej własne myśli.

- (Rozpoznanie; lekka wymówka, gotowość przyjęcia)

- No, już, obudź się.

- Co się stało? Przebudziła się bez wysiłku. -Jesteś gotowa, żeby widzieć?

- Pewnie. Czemu nie?

Solstice, działając jak centrala w tylnej części mózgu, zamknęła obwody, które pozwalały części mózgu Parameter odpowiadającej za widzenie kontaktować się z jej przodomózgiem. Widziała.

-Jaki piękny poranek.

-Aha. Bardzo ładny. Poczekaj, aż zobaczysz dzisiejsze gazety. Nie będziesz taka szczęśliwa.

- Nie mogą poczekać? Po co psuć taki miły nastrój? - Parameter nie widziała powodu, żeby się śpieszyć. Od stu lat nikt jej nie przynaglał.

- Nie ma sprawy. Powiedz mi, jak będziesz gotowa.

Parameter przekazała swojemu symbowi ironiczne podziękowanie. (Obraz jej samej przypasującej miecz, sztylet, nakładającej spizowy hełm i podnoszącej zdobioną tarczę.) Solstice odpowiedziała. (Obraz Parameter wspinającej się po schodach, wpatrzonyj w gwiazdy; nieświadomej, że próbuje stanąć na stopniu, którego nie ma.)

Parameter przeciągnęła się, wprawiając przejrzysty parasol w powolne falowanie. Zaciśnęła w pięści wszystkie cztery ręce - nie miała stóp; przed połączeniem kazała je chirurgicznie zastąpić ogromnymi dłońmi - potem rozprostowała dwadzieścia palców. Jedna z rąk przyciągnęła jej uwagę. Była błada, ale zaróżowiła się, kiedy Parameter zaczęła się jej przyglądać. Miała karnację albinosa; skóra pod paznokciami była bursztynowa, szybko przechodziła w pomarańczowy. Solstice pakowała się, przepompowując płyny, przygotowywała się do ruchu.

Nic, z tego, co widziała Parameter, nie było rzeczywiste. Jej oczy pokrywało półprzezroczyste ciało Solstice; od siedmiu lat na jej siatkówkę nie padł nawet promień światła. Gdyby spojrziała w słońce własnymi oczyma, jak wydawało się, że robi, komórki z pewnością zostałyby uszkodzone. Obraz, który odbierała, powstał z przetworzenia impulsów wysyłanych przez komórki czuciowe Solstice do różnych części jej mózgu. Jej samej wydawało się, jakby unosiła się zupełnie naga w przestrzeni, czując bezpośrednie światło Słońca na swojej skórze. Złudzenie było całkowite.

- W porządku. Co się stało?

- Dwie minuty temu odebrałam przekaz radiowy. Przekażnik na Janusie, kanał dziewiętnasty. Gdzie ci go nadać?

-Wszystko jedno. Gdziekolwiek.

Między Parameter i ciemnym półkolem Saturna uformował się trójwymiarowy obraz. Wyglądał równie realnie jak wszystko inne wokół. Zobaczyła wnętrze pokoju. Mógł to być dowolny pokój, ale kobieta, która w nim siedziała, nie była Parameter obca. Głos zza kadru wyjaśnił, że na Lili-Alexandr-Calypso, uznanej za Wroga Ludzkości, został wykonany wyrok śmierci. Podano dokładny czas, miejsce kaźni, a następnie krótkie streszczenie popełnionych przez nią przestępstw. Kiedy komentator przeszedł do wykładu na temat zagrożeń, jakie niosą ze sobą eksperymenty genetyczne, Solstice z własnej woli przerwała przekaz; Parameter nawet nie potrzebowała prosić.

- Wiedziałyśmy, że to musi nastąpić - zauważyła Parameter, zastanawiając się, dlaczego wiadomość nie poruszyła jej jeszcze bardziej.

- Ona też.

- Aha. Gdzie jest teraz?

Obraz przed jej oczyma przesunął się. Saturn wirował teraz pod nią, widziała Pierścienie z góry. Wydawało się jej, jakby się unosiła gdzieś w okolicach bieguna północnego.

Na skraju Pierścienia, niedaleko miejsca, gdzie przecinał go cień Saturna, zaczęła migotać mała zielona strzałka.

- To my - powiedziała Solstice. Kawalek dalej wzdłuż krzywizny Pierścienia, około sześćdziesięciu stopni zgodnie z obrotem planety, pojawiła się ciemnoczerwona strzałka. Kolor oznaczał masę skały, o którą chodziło. Znajdowała się na skraju Pierścienia Alfa, najbardziej zewnętrznego, gdzie perturbacje nie powinny były wystąpić przez najbliższych pięć lat.

Solstice sprawiła, że fragment obrazu uległ powiększeniu. Znajdowała się tam kapsuła Liii taka, jak ją Parameter widziała ostatni

raz, wydobyta przez Solstice z obszarów ich wspólnego mózgu, do których Parameter mogłaby dotrzeć tylko w głębokiej hipnozie.

Była to skała - nieco większa niż przeciętne, ale poza tym zupełnie zwyczajna. W jej wnętrzu znajdował się generator jądrowy, komputer, niewielki silnik raketowy, system podtrzymywania życia -i Lila. Czy raczej ktoś, kto mógł się nią stać; klon, który - po wgraniu do pamięci wspomnień Liii - byłby Lila sprzed pięciu lat.

- Naprawdę minęło już pięć lat?

-I sześćdziesiąt dni i trzy godziny Poprawionego Czasu Starej Ziemi.

- Wierzyć się nie chce.

Znowu spojrzała na dwie strzałki. Dzieliła je spora odległość.

- Sto czterdzieści jeden tysięcy osiemset dziewięćdziesiąt pięć kilometrów, jak skałą rzucił - uzupełniła Solstice.

- No cóż, obiecałyśmy, prawda?

- Czekałam, kiedy to powiesz.

Pierwszy raz spotkały ją sześć lat temu. Lila założyła prywatną stację badawczą na Janusie w nadziei, że status satelity jako pogranicza, na którym stykają się ze sobą społeczeństwa ludzi i par oznacza również mniejszą czujność i mniej rygorystyczne egzekwowanie praw genetycznych. Parameter-Solstice poznały ją w czasie jednej ze swoich nieczęstych wypraw na Janusa i polubiły od pierwszej chwili. Rzadko zdarzało się im coś podobnego. Ludzie i pary zwykle nie utrzymują ze sobą kontaktów.

Para kręciła się w okolicy małego laboratorium podczas pobytu na Janusie, a kiedy miała zamiar go opuścić, zaproponowała, żeby Lila przeniosła całe przedsięwzięcie na teren Pierścieni. Lila nie chciała posuwać się aż tak daleko, ale przedstawiła im swój pomysł stworzenia automatycznej stacji na skraju Pierścieni. Obawiała się, że zostanie złapana. Parameter-Solstice obiecały zająć się przebudzeniem jej klonu, gdyby kiedykolwiek zaszła taka potrzeba.

Czekała je teraz długa droga. Pośpiech nie wchodził w grę. Chociaż w swoich podróżach mogły rozwijać prędkość pięćdziesięciu kilometrów na godzinę, każdego dnia musiały się zatrzymywać, żeby się pożywić. Dotarcie do Liii miało im zabrać rok.

- Cóż, każda podróż zaczyna się od pierwszego kroku - stwierdziła Solstice. - Ruszajmy.

Rozdział czwarty

Nieczęsto odwiedzam disneylandy. Pomysł, żeby grzebać w błocie gołymi rękami i jeść żywność, która wyrosła w ziemi, wydaje mi się nieszkodliwy, ale dość głupi. Sprawia, że zaczynamy tęsknić do czegoś, czego nigdy nie dostaniemy; czegoś, co na zawsze pozostanie nieosiągalne na księżycowym niebie. To prowadzi do snucia fantazji równie szalonych jak te, które od tak dawna stanowiły obsesję Tweeda: odzyskanie Ziemi, wyzwolenie naszej rodzimej planety spod władzy Najeźdźców.

Wychowałam się otoczona metalem i nigdy nie czułam się z tego powodu pozbawiona czegoś. Nie wzruszały mnie opowieści o Starej Ziemi. Odnajdziemy nasze granice nie poprzez próby odtworzenia przeszłości, ale szukając we własnym wnętrzu. Próbowałam tego dokonać i skończyłam w pudle.

Tweed musiał ustawić termostat w swoim prywatnym rajku na ponad czterdzieści stopni. Z gorąca byłam mokra jak mysz. Może rośliny potrzebowały lata, ja — z całą pewnością nie. W dodatku jakiś okropny insekt zaplątał mi się w futro na nodze. Przyroda. Ściągnęłam grubą togę i próbowałam się ochłodzić, podczas gdy Tweed przemyślał nad moim losem.

Lila zauważyła, że Tweed daje znak mężczyźnie stojącemu na skraju lasu. Zamarła w napięciu. Co się dzieje? Jeśli zdecydował, że nie jest warta jego zainteresowania - nadal nie wiedziała, do czego jest mu potrzebna - sprawy mogły się potoczyć bardzo szybko. Uważnie obserwowała Vaffę. Przysięgła sobie, że jeśli ją zaatakują, da się im we znaki.

Tweed oddalił się pośpiesznie. Vaffa odprężyła się trochę, kiedy zniknął jej z oczu. Siedziała w trawie i głaskała węża. Ta żeńska forma miała dwa i pół metra wzrostu, była pozbawiona piersi, niemal bez grama tłuszczu i zupełnie bezwłosa. Skórę miała bladą niczym trup. Wysłannik śmierci: oszczędna w ruchach, silna i zabójcza.

Któs biegł przez łąkę w ich kierunku. Lila zastanawiała się, co mogło go zmusić do biegu w taki upał. Czy grozi jej niebezpieczeństwo? Obawy okazały się bezpodstawne. Najpierw spostrzegła tatuaż, potem rozpoznała twarz.

- Witaj, Mari.

- Cześć - sapnęła. - Czy to nie cudowne? To znaczy, znaleźć się tutaj.

-Mhm.

Lila zamierzyła się na coś brzęczącego; na ręce dostrzegła czerwony ślad. Krwiopijca!

- Cześć, Vaffa.

Kobieta skinęła Mari głową. Ciało mediko pokryte było potem, ale wydawała się z tego bardzo zadowolona. Stała przez chwilę, czekając aż uspokoi się jej oddech.

- Masz iść ze mną - powiedziała.

- Po co?

- Żeby ci zrobić nagranie. SzeF kazał. Chodź, to potrwa tylko chwilkę.

Lila wiedziała, że potrwa to znacznie dłużej, ale ruszyła za Mari ścieżką prowadzącą w głąb lasu. Odwróciła się i zobaczyła, że Vaffa podąża za nimi, bardziej zajęta wężem niż Lila. Nie pochlebiali to Lili. Chciałaby myśleć o sobie jako o kimś niebezpiecznym, jednak

na Vaffie nie robiła większego wrażenia. Cóż, może to i lepiej. Może pewnego dnia spotka Vaffę niespodzianka.

Lila oczekiwała, że zostanie zabrana do bardziej konwencjonalnej części posiadłości Tweeda. Zamiast tego wyszły na polanę otoczoną gęstym lasem. Niedaleko szumiął wodospad. Mari przyniosła ze sobą torbę; teraz postawiła ją na ziemi i przywołała gestem Lilę. Na trawie leżała rozpostarta cienka plastikowa płachta.

- Tutaj? - zdziwiła się Lila. - Nie potrzebujesz...

Ale Mari właśnie otwierała coś, co wyglądało na pieniek. W środku błysnął metal.

- Czemu nie? Nie przejmuj się, na pewno ci się spodoba.

Lila musiała przyznać, że otoczenie sprzyjało relaksowi bardziej niż standardowo wyposażona sala operacyjna. Może dzięki temu łatwiej opanuje zdenerwowanie. Nie była odosobniona w swoim lęku przed nagraniem pamięci. Mogła sobie powtarzać w nieskończoność, że to, czego się obawia, po prostu nie może się zdarzyć; nie może obudzić się po nagraniu i usłyszeć, że umarła, a teraz jest kilkanaście lat później. To nie ona usłyszy coś takiego, ale klon. Ludzka świadomość jest linearna, umysł tkwi w ciele, w którym żyje, na zawsze. Nagranie wspomnień służy temu, żeby można było wszczepić drugą świadomość, dokładnie taką, jak jej własna, w inne ciało, również identyczne z jej własnym. Ona sama nigdy nie będzie uczestniczyć w życiu, jakie stanie się udziałem klonu, chociaż będzie on posiadał wszystkie jej wspomnienia do chwili nagrania.

Próbowała się odprężyć, podczas gdy mediko ją podłączała. Mari zaczęła obracać tarcze na swojej czarnej torbie; Lila poczuła, że robi się słaba i drętwieje jej ciało. Od tej chwili nie mogła już widzieć, co robi mediko, ale dobrze знаła całą procedurę. Wierzch jej głowy został otwarty - zobaczyła krew na rękach Mari, kiedy znalazły się w zasięgu jej wzroku.

W mózgu Liii znajdowały się niewielkie metalowe gniazda, wszczepione tam, kiedy miała trzy lata. Pozwalały jej podłączać się

do komputera i równocześnie służyły jako kanały dla nośnika nagrania: łańcuchów kwasu ferrofotonukleinowego, FPNA. Mari przymocowała taśmę magnetyczną do czoła Lili. W trakcie nagrania urządzenie przez trzy minuty będzie analizować jej podświadomość.

Było to dość proste w praktyce, ale niewiarygodnie skomplikowane w teorii. Lila często się zastanawiała, czy ludzie kiedykolwiek nauczyliby się dokonywać nagrań, gdyby nie informacje z Gorącej Linii z Wężownika.

Pamięć to proces holograficzny. Wspomnienia nie są przechowywane w jednym miejscu, ale rozproszone w całym mózgu. Nie mogą być nagrywane i odtwarzane w liniowym procesie, jak informacja na taśmie magnetycznej, przesuwającej się obok głowicy. Zapamiętany obraz musi zostać uchwycony cały w jednej chwili, jak fotografia albo hologram. Stało się to możliwe dzięki FPNA. W trakcie nagrania każda nić, zawierająca miliardy bitów, przeplata się ze wszystkimi pozostałymi. W przeciwieństwie do zwykłych hologramów, gdzie każdy fragment błony fotograficznej zawiera informację o całym obrazie, pojedyncza nić FPNA sama w sobie jest bezużyteczna. Jedynie w kombinacji z innymi - jest ich w sumie czterdzieści sześć - daje sensowny obraz. Taśma nagraniowa miała wzbudzić impulsy magnetyczne przenikające cały mózg, tworząc kod o niemal nieskończonej liczbie permutacji.

Lila nigdy się nie zastanawiała, czy ów proces rzeczywiście jest w stanie zarejestrować wszystko. Pojęcia takie jak dusza, karma czy atman nie robiły na niej większego wrażenia. Znała ludzi, którzy umarli i zostali przywrócenii do życia drogą klonowania i wgrywania wspomnień, i nie zauważała w nich żadnej różnicy.

Mari pstryknęła jakimś przełącznikiem; ostatnią rzeczą, jaką zobaczyła Lila, była jej uśmiechnięta twarz.

Kiedy się obudziła, twarz nadal tam była i nadal się uśmiechała. Lila rozpromieniła się w odpowiedzi, zadowolona, że już po wszystkim. Zaczęła się podnosić.

- Chwileczkę, nie tak szybko - powstrzymała ją Mari, rozbawiona. - Muszę cię najpierw odłączyć i zaszyć ranę.

Coś się nie zgadzało. Spojrzała jeszcze raz i zdała sobie sprawę, że zmiana dotyczy tła. Zmieniło się coś w głębi, za Mari.

Liście na drzewach. Przedtem były zielone, teraz mieniły się czerwienią, złotem i purpurą.

- O, Boże, nie. Nie, ja... to mi się nie podoba. Ja nie chcę... Mari dotknęła lekko jej czoła.

- Nie zmuszaj mnie, żebym cię wyłączyła.

Lila opadła na posłanie. Stopniowo uświadomiła sobie, że na skraju pola widzenia, między Mari a sklepieniem drzew, dostrzega wianuszek wpatrzonych w siebie twarzy. Był tam Tweed, Vaffa i... drugi Vaffa. Mężczyzna i kobieta.

Mari skończyła swoją pracę.

- Pozwól, że ci pomogę - powiedziała. - Sama nie dasz rady.

Lila pozwoliła się podnieść do pozycji siedzącej, a potem postawić na nogi. Przez moment czuła zawroty głowy, ale szybko odzyskała równowagę. Pozwalała sobie czuć, nie ośmielając się myśleć: trawa pod stopami, włosy muskające jej twarz, chłodna skóra na nagich ramionach Mari, której dotykała ręką, gra mięśniów jej nóg.

Mari objęła ją w pasie i zaczęła prowadzić dokoła, jak pijaną.

- Zaraz odzyskasz czucie w nogach - powiedziała uspokajająco. - Ćwiczyłam cię w trakcie całego procesu wzrostu, kiedy byłaś w zbiorniku. Jesteś silna. Po prostu jeszcze do tego nie przywykłaś. Czujesz się na siłach sama iść?

Lila skinęła głową, bojąc się odezwać. Mari puściła ją; stała na przeciw Tweeda. Trzymał w ręce jakieś papiery.

- A więc umarłam - powiedziała. Spojrzał na kartkę i postawił znaczek.

- Czy nikt nie ma mi nic do powiedzenia?

Tweed nie odpowiedział, po prostu popatrzył na kartkę jeszcze raz i zrobił kolejny znaczek. Vaffa-mężczyzna spoglądał na wierzchołki

drzew, uśmiechał się. Lila po raz pierwszy zobaczyła uśmiech na jego twarzy. Kobieta zasłaniała ręką usta, Lila uświadomiła sobie, że ona też stara się pohamować śmiech. Czyżby to z niej się śmiali? Jak mogli?

- Czy ktoś byłby mi łaskaw powiedzieć, co tu się dzieje, do cholery?

Tweed oddał kawałek kartki i wręczył go Lili. Spojrzała na papier, podniosła wzrok na Tweeda, potem jeszcze raz była zmuszona popatrzeć na to, co tak bardzo obawiała się zobaczyć.

„A więc umarłam”.

„Czy nikt nie ma mi nic do powiedzenia?”

„Czy ktoś byłby mi łaskaw powiedzieć, co tu się dzieje, do cholery?”

Słowa były wydrukowane, obok każdego zdania namalowano wyraźny znak. Poczula, że znowu kręci jej się w głowie. Ujrzała zjawę: ogromnego łosia o kryształowym porożu odbijającym błękitne światło słoneczne, stojącego na skraju polany. Urojenie? Odwróciła wzrok. Chciała się wydostać z tego obłąkanego miejsca.

- Lepiej usiądź i odpocznij - powiedziała Mari, otaczając ją ręką w pasie, bo pod Lila ugięły się kolana. - Chyba powinnaś się wypłakać.

- Nie! Płakać będę później. Teraz chcę wiedzieć, co się dzieje.

- I dowiesz się - powiedział Tweed. Skinął i Vaffa-mężczyzna rozłożył dla niego krzesło. Tweed usadowił się na nim. - Mari, mówiłem, żebyś nie przeszkadzała.

- Przepraszam, szefie - pokornie odparła Mari. - Ja chyba po prostu nie mogę... kiedy ktoś się martwi, ja tylko...

- Mniejsza o to. Powiniennem był cię stąd odesłać. Zresztą, nieważne. Lilo, jak już zdążyłaś zauważyć, nie jesteś tym, kim sądziłaś, że jesteś. Jesteś klonem. Może wiesz, co się stało z pierwotną Lila. Mam podstawy przypuszczać, że układała swoje plany jeszcze zanim dokonano nagrania. A nawet jeśli nie, na pewno weszła w układ ze mną z... z nastawieniem, które nie było najlepsze. Czy wiesz, o czym mówię?

- Mówisz, że próbowałam uciec. I że mi się nie udało.

Spojrzała na Vaffy. Nie sposób było cokolwiek wyczytać z wyrazu ich twarzy.

- Właśnie. Planowałaś to od chwili, kiedy się dowiedziałas, że nie zostaniesz stracona.

- Chyba nie ma sensu zaprzeczać, prawda?

- Nie, nie ma.

Szkoda - pomyślała, ale nie odważyła się tego powiedzieć. Mógł to mieć gdzieś zapisane. Poczula, jak coś w niej narasta, coś, co domagało się wyzwolenia. Powitała to z radością, nawet jeśli oznaczało dla niej śmierć. Miała ochotę zedrzeć skórę z jego twarzy, odsłonić kości i wbić w nie zęby. Chciała go zabić. Patrzyła w ziemię, czując jak rośnie w niej żądza krwi. Już miała skoczyć...

Zobaczyła parę bosych stóp. Jej wzrok powędrował w górę nóg, po bezwłosych genitaliach i płaskiej piersi do łysej czaszki. Kolana były ugięte, ręce lekko odsunięte od ciała. Ściągnięte wargi odsłaniały modnie ufarbowane zęby. Vaffa marzyła o tym, żeby Lila zaatakowała. Osloniła Tweeda przed Lila, zanim myśl o ataku pojawiła się w głowie dziewczyny. Złość spłynęła do żołądka i uformowała twardy węzeł. Vaffa odrobinę się odprężyła.

- Wiedziała, gdzie ma stanąć - mówił Tweed. - Zauważyłaś? -Tak.

- Twoje zachowanie można przewidzieć.

- Rozumiem.

- Chcesz się dowiedzieć, co ci się wcześniej przydarzyło? Masz cztery miesiące zaległości.

- Chyba będzie lepiej, jeśli się zgodzę.

Byłam głupia. Teraz widziałam, Jak śmiesznie łatwo poszła mi ucieczka.

Zabrali mnie na trening przetrwania w amazońskim disneylandzie. Trzysta kilometrów kwadratowych kontrolowanego klimatu tropikalnych lasów deszczowych, dwadzieścia kilometrów

pod powierzchnią Aristillusa. Było to w głębi łądu, w części, której publiczność nigdy nie ogląda, gdzie deszcze padają cały czas i ubranie gnije na tobie od dławiącej wilgoci.

Wracaliśmy do domu publicznymi korytarzami. Tym razem pilnował mnie tylko jeden strażnik; Vaffę odwołano w ostatniej chwili. Ukradłam próbkę skóry, której miałam potrzebować, z warsztatu Mari. Czekałam na właściwy moment. Strażnik odwrócił wzrok...

Rzuciłam się w tłum. W dwie sekundy znikłam mu z oczu. Po trzydziestu sekundach znajdowałam się dwa poziomy niżej i tysiąc metrów na wschód na chodniku przecinającym całe miasto i wracałam po własnych śladach. Przeszłam przez odprawę celną dzięki próbce skóry ukrytej w dłoni i wsiadłam do pociągu na Claviusa.

Pociąg został zatrzymany pod pozorem wypadku. Półgodziny później drzwi otworzyły się z sapnięciem na dobrze znanej stacji. Zastanawiałam się, co ze mną zrobią.

Vaffa, kobieta, której twarz poznałam tak dobrze. Popatrzyłam w dół na ciemny metalowy przedmiot w jej dłoni, potem znów na jej obnażone zęby. Nadal nie rozumiałam.

Lila wymiotowała. Jej żołądek był od dawna pusty, ale nie mogła przestać. Mari podtrzymała ją, klęczącą na trawie nad kupką żdłci i płynu ze zbiornika, które z siebie wyrzuciła. Tweed odłożył fotografie.

- Vaffa jest bardzo sumienna - stwierdził. - Kiedyś ci już mówiłem, że są przydatne.

Spojrzał przelotnie na mężczyznę i kobietę. Lila dostrzegła coś w jego wzroku i zastanowiła się przez moment, czy to możliwe, żeby on też się ich obawiał.

- Możemy kontynuować?

Usiadła na piętach. Obok stała Vaffa, kobieta, która zastrzeliła kogoś, kto wyglądał dokładnie tak, jak Lila, a potem trzymała skrwa-

wionę ciało o zapadniętej twarzy i brzuchu, żeby ktoś inny mógł zrobić zdjęcie.

- Zostało jeszcze coś?

- Obawiam się, że tak. Niełatwo się poddajesz. Gdybyś łatwo ulegała, nie byłabyś osobą, o jaką mi chodzi.

- I więcej zdjęć?

- Tak. Musisz je zobaczyć.

- No, to bierzmy się do roboty.,

Byłam głupia.

Rozumiałam to teraz i błagałam o wybaczenie swoje dwa poprzednie wcielenia. Przez swój błąd zmarnowałam ich śmierci. Wydawało się mało prawdopodobne, że dana mi będzie jeszcze jedna szansa.

I cena: Mari, Mari...

Może Tweed nie ożywi mnie po raz kolejny. Albo, jeśli to robi, może nie powie mi o Mari i moim wstydzie.

W drzwiach pokoju stanął Vaffa. Powitałam go z radością.

Tweed zapalił następne cygaro. Wydmuchał kłąb dymu; Lila spostrzegła, że Vaffa odsunęła się o krok i zmarszczyła nos.

- Kiedy uciekałaś za pierwszym razem - zaczął - zobaczyłaś szansę, którą ci podsunąłem i wykorzystałaś ją.

Łoś -jak się okazało, nie był halucynacją - wyszedł na polanę i zaczął skubać trawę za jego plecami. Podczas gdy Tweed mówił dalej, Lila obserwowała światło załamujące się na rogach łosia. Nie chciała myśleć.

- Za drugim razem pojęłaś lekcję, ale nie tę, o którą mi chodzi ło. Postanowiłaś, że będziesz ostrożniejsza. Podsunąłem ci tę samą okazję, a ty mądrze z niej zrezygnowałaś. Tym razem miałaś zamiar sama sobie coś zorganizować.

- I co zrobiłam?

- W ten sposób dochodzimy do sedna tego niesmacznego wypadku. Nie powiem ci, w jaki sposób próbowałaś uciec. Potrafisz powiedzieć, dlaczego?

Lila próbowała się domyślić, ale wiedziała tylko, że czuje się złapaną w pułapkę. To wszystko nie miało sensu.

- W porządku. Nie oczekuję, że przyswoisz sobie wszystko od razu. Trochę potrwa, zanim się przyzwyczaisz. Chcę, żebyś spróbowała zrozumieć jedno: zrobiłaś wszystko, co w twojej mocy, żeby ode mnie uciec. Tym razem nikt ci nie pomagał. Planowałaś przez dwa miesiące, stwarzając pozory, że ze mną współpracujesz. W końcu ułożyłaś plan. Musisz zrozumieć, że był to najlepszy plan, najaki cię stać - zagrział. Wszyscy spojrzeli na niego. Kiedy chciał, potrafił być znakomitym mówcą.

- To właśnie miało ci uświadomić całe to przedstawienie ze scenariuszem. Widziałem już dwa razy, jak cię ożywiano. Za każdym razem reagowałaś dokładnie tak samo. Nie miałaś wyboru: nie możesz być nikim innym niż sobą. Za każdym razem zaczynałaś ze wspomnieniami identycznymi jak w dniu, kiedy dokonano ostatniego nagrania, tutaj, na tej polanie. Za każdym razem stawałaś się nieco inną osobą. Prawdziwa Lila była głupia, nie potrafiła przewidywać w dostatecznym stopniu i zapłaciła za to. Druga była bardzo sprytna. Zabiła Mari i dotarła tak blisko, jak to tylko...

- Co zrobiła?

- Słyszałaś.

Mari była tuż obok.

- Lilo, nie rób sobie...

Lila odsunęła się od niej wstrząśnięta.

- Nie, to niemożliwe! Mogłabym zabić... to - wskazała na Vaffy.

- Mogłabym zabić obie te rzeczy. Ale nie Mari.

- Nie powiedziałem, że nie miałaś skrupułów- powiedział Tweed.

- Vaffa twierdzi, że wyglądałaś, jakbyś czuła ulgę, kiedy cię zabijał.

- Lilo, nie mam ci tego za złe - odezwała się Mari. - Wiem, że

to zabrzmiało dziwnie, ale poznałam cię... poznałam cię już dwa razy. Lubię cię. Zrobiłaś to, co uważałaś za konieczne, poza tym zaczekałaś, aż mi zrobili nagranie pamięci. Straciłam tylko parę dni. Szef mówił, że to było bezbolesne, że oszczędziłaś mi cierpienia.

- To prawda - potwierdził Tweed. Uważnie przyglądał się Liili.

- Ale nie mogę uwierzyć...

- Musisz. I wiesz o tym. Poznałem cię na wylot. Istnieją oznaki, do których się mogę odwołać; reakcje, których nie jesteś w stanie przede mną ukryć. Jeśli je dostrzegę, będę wiedział, że postępujesz zgodnie ze scenariuszem. Ty z kolei nigdy nie będziesz tego pewna.

Jego tuste palce, wyliczające argumenty, były jak pręty klatki zamykające się wokół niej.

- Zostawiam cię, żebyś sobie przemyślała to, co powiedziałem. Kiedy zdecydujesz, że chcesz współpracować, przyjdź mi to powie dzieć. Wybór należy do ciebie. Tym razem chcę usłyszeć stanowczą decyzję, a nie kłamstwa, które opowiadałaś mi w więzieniu. Dość już czasu i energii straciłem na ciebie.

Wyszedł, Vaffa-mężczyzna podążył za nim jak wierny pies. Lila i Mari zostały zupełnie same, bo wydawało się, że druga Vaffa całkowicie o nich zapomniała. Lila przyglądała się, jak próbuje zwabić węża na ziemię, potem wspina się do niego w górę po pionowym pniu.

Zapadła nieprzyjemna cisza.

- Chciałabym wiedzieć, co powiedzieć - szepnęła Lila.

- Powiedz, że zrobisz to, czego on chce. Nie masz innego wyjścia.

- Nie... nie o tym mówiłam. Zdaje się, że... że nie mam wyboru. Przynajmniej na to wygląda. Chodziło mi o to, że nie wiem, co powiedzieć tobie.

- Nie musisz nic mówić. Ty nic nie zrobiłaś. Jeśli chodzi o ciebie, mam tylko dobre wspomnienia. Kto został zraniony? Ktoś, kto był kiedyś mną i ktoś inny, kto był tobą.

Lila żałowała, że nie może spojrzeć na całą sprawę w taki sposób. Wiedziała, że zawsze już będzie się wstydzić tego, co zrobiła tamta osoba. Ale jedynym sposobem, żeby sobie z tym poradzić, było patrzeć na całe zdarzenie tak, jak Mari.

- Zrobiłam ci nogi takie, jak lubisz - odezwała się mediko.

Lila spojrzała w dół. Nie pomyślała, że jej nogi powinny wyglądać inaczej, ale oczywiście była to prawda. W genach nie było informacji o futerku.

- Dziękuję. To miło z twojej strony.

- Wiedziałam, że ci się spodoba.

Lila zacisnęła zęby. Mari nie chciała jej sprawić przykrości, ale nigdy nie będzie już mogła słuchać tych słów bez emocji. Nie była zadowolona, że jest osobą, której zachowanie można przewidzieć. Wcale się jej to nie podobało.

- Chyba lepiej pomówię z szefem - zdecydowała, zastanawiając się, czy to samo powiedziała ostatnim razem.

Rozdział piąty

Pomyślcie, jak wyglądało moje życie.

Pięćdziesiąt lat przeżyłam dość normalnie. Co parę lat, jak wszyscy, robiłam sobie nagranie pamięci. Potem mnie aresztowano.

Zapisy, które posiadałam, skonfiskowano i przetrzymywano w oczekiwaniu na wynik procesu. Kiedy mnie skazano, zostały zniszczone razem z próbką tkanki, z której wyhodowano by mój klon, gdybym kiedykolwiek umarła.

Po odroczeniu wyroku Mari musiała mi zrobić kolejny zapis. Prawdopodobnie podali mi jakiś narkotyk; nie stanowiło to najmniejszego problemu.

Przedstawiono mi klon wyhodowany przez Tweeda; posłano go do Dziury zamiast mnie (to znaczy zamiast kogo? Ostatecznie, była mną w takim samym stopniu, jak ja sama. Za bardzo to wszystko skomplikowane).

Tamta osoba — moje prawdziwe ja; chociaż trudno mi się pogodzić z faktem, że żyję w sklonowanym ciele — zdołała przeżyć tylko kilka tygodni po tym, jak dokonano kolejnego nagrania na polanie w lesie. Powrót do punktu wyjścia, pierwszy krok przygnębiająco powtarzającego się cyklu. Zbudzono moje nowe „ja”.

pozbawione wspomnień z okresu między nagraniem a śmiercią oryginału. Drugi klon poszedł tą samą drogą. Przez dwa czy trzy miesiące udało mu się przeżyć bezpiecznie, potem uciekł, został złapany i zabity. Numer czwarty — ja, do cholery — budzi się w lesie i widzi nad sobą uśmiechniętą Mari. Ale tym razem Mari również jest klonem. Numer trzeci zabił ją podczas ucieczki.

Wyobraź to sobie w przestrzeni czterowymiarowej. Wyobraź sobie długą gąsienicę, jakiej używa się w szkole dla zilustrowania tego procesu. Początek gąsienicy to niemowlę, wynurzające się z pochwy matki albo z placentorium. Na przeciwnym końcu znajduje się moment śmierci. Rób znaczki na gąsienicy za każdym razem, kiedy dokonywany jest zapis pamięci. Każdy znaczek to potencjalne odgałęzienie.

Osiem albo dziewięć miesięcy temu, po odroczeniu wyroku, pęd wypuścił cztery „odgałęzienia” (a może pięć albo sześć? Kiedy siedziałam w więzieniu, Tweed musiał wyhodować kilka moich klonów, ponieważ teraz był w stanie ożywić mnie następnego dnia po każdej kolejnej śmierci. Musiał też mieć klony Mari, bo w przeciwnym razie nie mogłaby się zjawić w dzień po tym, jak numer trzeci ją zabił). Każde z nich zaczynało w tym samym punkcie, jego wspomnienia kończyły się w dniu, kiedy Mari dokonała nagrania. Trzy zginęły. Posuwałam się teraz, sekunda za sekundą, wzdłuż czwartej gałęzi.

Pięć lat temu sama zrobiłam sobie nagranie w kapsule orbitującej wokół Saturna, stwarzając szansę powstania jeszcze jednej gałęzi. W żaden sposób nie mogłam się dowiedzieć, czy istnieje kolejna Lila, ale było to możliwe. Miałam nadzieję, że jej nigdy nie ujrzę. Raz już spotkałam siebie; dowiedziałam się wtedy o sobie rzeczy, których wolałabym nigdy nie poznać.

Ale skoro się tak stało, skoro zobaczyłam, do czego potrafię się posunąć, żeby się tylko utrzymać przy życiu, postanowiłam żyć:

Postanowiłam żyć wiecznie.

Trening przetrwania w trudnych warunkach zajął Liii trzy miesiące. Zorientowała się, że odbywa kurs przyspieszony.

Nigdy się nie skarżyła, chociaż całe przedsięwzięcie wydawało się jej równie głupie, jak męczące. Nie miało najmniejszego sensu, chyba że Tweed zamierzał stworzyć przyczółek na Starej Ziemi.

Mimo to godziła się na wszystko, od Amazonii po Egipt. Spędziła tydzień w każdym z głównych disneylandów. Partia Wolnej Ziemi wydała mnóstwo pieniędzy, żeby dostać pozwolenie wstępu w najdziksze rejony parków przyrodniczych. W zamian mieli przyjemność smażenia się w pustynnym słońcu i nabawienia odmrożeń na Syberii.

Lila znalazła się w grupie dwudziestu osób. Wszyscy pozostali byli nowicjuszami, z wyjątkiem Vaffy-kobiety, która towarzyszyła Liii i której wszystkie zadania wydawały się łatwe. Lila poznała dobrze Wolnych Ziemian. Podejrzewała, że wielu z nich przejawia o wiele mniejszy fanatyzm niż Tweed w sprawie wyzwolenia rodzimej planety. Znaczną część skusiła perspektywa mocnych wrażeń.

Nauczyła się darzyć wielkim szacunkiem Tweeda. Wiedziała, że za każdym razem, kiedy pozwalał jej na kontakt z kimś, kto nie należał do ścisłego wewnętrznego kręgu Wolnych Ziemian, ryzykował gardłem. Mogłaby powiedzieć komuś, skąd uciekła. Tweed nie miał pewności, że wszyscy w jej grupie są dostatecznie oddani sprawie i że nie znajdzie się wśród nich ktoś, kto doniesie o tym rządowi. Gdyby się tak stało, gdyby odkryto, że Tweed uprowadził ją z Zakładu, wpadłby jak w recyklar.

Ale był w tym haczyk: Lila wydałaby również na siebie wyrok śmierci. Tweed wiedział, że do tego się nie posunie.

Polubiła życie w dziczy, chociaż nigdy by się do tego nie pi[^]yznała. Mozolna wędrówka w śnieżycy nie była przyjemna, ale noc spędzona w igloo z pięcioma towarzyszącymi pod przykryciem ze skóry niedźwiedzia polarnego -jak najbardziej. Przeżyła wiele równie miłych chwil.

Ale było też osamotnienie, o wiele trudniejsze do zniesienia niż fizyczne niewygody. Podczas roku spędzonego w Zakładzie przywykła do samotności. Teraz znowu zapragnęła mieć przyjaciół, znaleźć kochan-

ka. Nie mogła jednak zaprzyjaźnić się z nikim ze swojej grupy. Nie wyobrażała sobie, jak można kochać kogoś i nie mdc się przed nim otworzyć, powiedzieć mu wszystkiego, a na to nie mogła sobie przecież pozwolić. Istniały sekrety, których musiała strzec. Z mieszkańcami rezydencji Tweeda było jeszcze gorzej. Oni znali wszystkie jej tajemnice, ale wiedzieli, że nie jest jedną z nich. Traktowano ją uprzejmie, ale jej nie ufano. Jediną osobą, do której mogłaby się zbliżyć, była Mari. Lila wiedziała, że Mari ją lubi, jednak różniły je poglądy. Mari uważała eksperymenty genetyczne na ludzkim DNA za coś złego; Lila sądziła, że marzenia Wolnych Ziemian są szalone. Nie znajdowały wielu wspólnych tematów.

Tak więc czuła się osamotniona w tłumie. W pewien sposób było to gorsze niż zamknięcie w więzieniu. Zaczęła się trzymać na uboczu podczas nocy przy ognisku, kiedy wszyscy zbierali się, żeby wspólnie śpiewać, słuchać opowieści i kopulować. Jeśli się kopuluje na plaży, to potem trzeba spędzić cały dzień na wytrzeptywaniu z siebie piasku" - twierdziła. Szukała partnera tylko wtedy, kiedy pragnienie stawało się nie do zniesienia; z biegiem czasu jej najbardziej zaufanymi kochankami stało się własnych pięć palców.

Czuła się samotna, życie seksualne było okropne, a w dodatku zaczęła się obawiać, że zostanie złapana przez agentów rządu. Byłoby straszne, gdyby schwytano ją teraz, po tym co przeszła i wszystkich haniebnych czynach, których się dopuściła. Gdyby ją stracono, poprzednie śmierci w jakiś sposób poszłyby na marne.

Nie spotkała Tweeda od dnia swojego przebudzenia. Podejrzewała, że wtedy pojawił się, żeby jej reakcje pozostały nie zmienione. Chciał jej udzielić pewnej lekcji i spowodować, by nauczka tę kojarzyła z jego osobą. Psychologicznie było to bez zarzutu i niewątpliwie mu się udało. Lila przekonała się, że czuje przed nim obawę.

Od tamtego dnia sprawiał wrażenie, jakby się nią nie interesował. Próbowala się z nim zobaczyć, ale jego zastępcy zbywali ją. Szeft był zawsze bardzo zajęty.

Świadomość, że jest dla niego ważna do tego stopnia, że nie wahał się zaryzykować porwania z więzienia, w dziwny sposób dodawała jej otuchy. Z czasem musiała zmodyfikować ten obraz. Kiedy zorientowała się, że przechodzi standardowe szkolenie dla tajnych agentów - co oznaczało wielu, może nawet setki innych, podobnych do niej - ogarnęło ją przygnębienie. Być może nie znaczyła dla Tweeda więcej niż Mari, której następczynią mógł wynajść w każdym biurze pośrednictwa pracy na Lunie.

Im więcej się nad tym zastanawiała, tym bardziej upewniała się, że wpadła w tryby maszyny, zbudowanej na długo, zanim ją uprowadzono. Wolni Ziemianie mieli w Zakładzie ogromne wpływy; Mari była w stanie wyhodować klon - co trwało pełne pół roku

- w jego murach bez obawy, że zostanie odkryta. W świetle tego wszystkiego Lila zaczęła się zastanawiać, czyjej bieg przez próżnię rzeczywiście był koniecznością. A może stanowił swego rodzaju test? Wolni Ziemianie najwyraźniej lubowali się w nich; jej trening

- zakładając, że miał w ogóle jakiś sens - był nie kończąca się serią sprawdzianów w środowiskach, z którymi najprawdopodobniej nigdy by się nie zetknęła, bo wszystkie bez wyjątku występowały tylko na Ziemi.

Tweedowi najwyraźniej nie zależało na samej Liii, ale na ludziach takich, jak ona. Zdobywając się na jak największy obiektywizm, Lila znalazła tylko trzy cechy, które odróżniały ją od pozostałych. Była naukowcem, ale z pewnością mógł sobie pozwolić na zatrudnienie takich specjalistów, jakich potrzebował. Była skazanym przestępcą, jednak w najśmielszych fantazjach nie potrafiła znaleźć przyczyny, dla której mogłoby to dla niego mieć jakieś szczególne znaczenie. Musiało więc chodzić o przedmiot prowadzonych przez nią badań, o pracę, która doprowadziła do jej uwięzienia.

Nikt nie był bardziej zdumiony niż sama Lila, kiedy się przekonała, że stopniowo, ale nieuchronnie zmierza w stronę zakazanych obszarów. Miała czas się nad tym zastanowić w więzieniu, a jeszcze

więcej obecnie, w trakcie treningu. Krok po kroku przypominała sobie zdarzenia, które uczyniły ją Wrogiem Ludzkości. Nadal ją to zdumiewało.

Chciała zostać lekarzem. Odkąd pamiętała, miała zręczne ręce, a w dzieciństwie jej ulubioną zabawką był „mały chirurg”. Przeprowadzała operacje na sobie i swoich znajomych, utrzymując się dzięki temu na fali najnowszych tendencji w chirurgii plastycznej.

Ale matka i nauczyciele wiedzieli, że została stworzona do wyższych celów i zachęcali ją do zdobycia zawodu wymagającego kwalifikacji. Nie protestowała; należała do czytelników -jak wszyscy jej przodkowie, począwszy od czasów sprzed Inwazji - i pochłaniała każdą książkę, jaka jej wpadła w ręce. Jej nauczyciele znali swój fach; w końcu sama uwierzyła, że zawsze chciała zostać inżynierem genetykiem.

Była dobra w tym, czym się zajmowała. Jej usług poszukiwały wielkie kompanie; pracowała dla wielu z nich, zanim zdecydowała się działać na własną rękę. Jej specjalność stanowiły produkty żywnościowe; dziedzina zaniedbywana przez wiele lat, która obecnie znowu zaczynała się cieszyć zainteresowaniem.

Podczas gdy większość jej kolegów koncentrowała się na hydroponicznych nowinkach - tworzeniu wymyślnych kombinacji istniejących smaków, które po kilku miesiącach szły w zapomnienie - Lila skupiła się na podstawowych artykułach. Raczej ulepszała to, co już istniało, niż dokonywała wynalazków. Odniosła sukces. Kompanie produkcyjne wiedziały, że przy potężnych nakładach na reklamę i promocję są w stanie stworzyć przejściowy popyt na każdy niemal produkt. Jednak na dłuższą metę robiły pieniądze wydając patenty genowe na zmodyfikowane drzewa wołowinowe i jajeczne.

Lila skupiła się na drzewach wieprzowinowych. Udało się jej poprawić ich płodność i smak różowego wewnętrznego mięszu, zmniejszając równocześnie stosunek tłuszczu do mięsa w bekonie. Pieniądze zdobyte dzięki temu przeznaczyła na podniesienie swoich kwalifikacji, co otwarło przed nią nowe perspektywy.

Dzięki pracy nad drzewami wieprzowinowymi uświadomiła sobie, że istnieje wiele gatunków podstawowych, zaniebawianych tylko dlatego, że przegrały w konkurencji ze sztucznie stworzonymi liniami genetycznymi. Swego czasu pszenica, soja, ziemniaki, kukurydza i ryż stanowiły podstawę pożywienia ludzkości. Obecnie nikt nawet nie wiedział, jak wyglądają.

Wszystkie jednak były przechowywane w Banku Życia, podobnie jak każda roślina i zwierzę, występujące w przeszłości na Starej Ziemi. Zaświatało jej, że przez całe życie jadła wyłącznie sztucznie stworzone rośliny, które powstały ponad czterysta lat temu. Wydawało się, że era wynalazków w genetyce roślin należy do przeszłości, bo od czasów kiedy cywilizacja ludzka zapuściła korzenie w Ośmiu Światach, nie odkryto żadnego całkowicie nowego artykułu żywnościowego. Nie zaprzętała sobie głowy pytaniem, dlaczego tak się stało; zabrała się z zapalem do pracy.

Tak powstało drzewo bananomięsne, które okazało się natychmiastowym i nieprzemijającym sukcesem. Jak wskazywała jego nazwa, za podstawę służyła mu roślina, ale smak nie był pochodną niczego. Było to coś zupełnie nowego i wszelkie próby porównywania jego smaku do smaku kurczaka czy dziczyzny okazywały się chybione.

Lila nie rozgłaszała tego faktu, ale mięso bananowe najbardziej przypominało smakiem mięso ludzkie. Pierwszym moralnie dwuznacznym posunięciem, zrobionym niewinnie i z żądzy wiedzy, było włączenie fragmentu kultury tkankowej pochodzącej z jej własnego ciała do puli próbek, których używała badając ludzkie preferencje smakowe. Pierwszy nielegalny czyn, jakiego się dopuściła, polegał na wprowadzeniu zmian do kultury tkankowej i transplantacji odcinków ludzkiego DNA do genów banana.

Mięso bananowe sprawiło, że stała się bogata. Nie bajecznie bogata, ale dość, żeby umożliwiło jej to zajęcie się znowu dawną pasją: ludzkim ciałem.

Pamiętała szczęśliwe dni, kiedy zabawiała się modyfikowaniem własnego wyglądu. Mimo że nadal uważała to za zamknięty okres w swoim życiu - obecnie pogardzała większością kosmetycznych modyfikacji - w dalszym ciągu ją to fascynowało.

Rozmyślała o serii niezwykłych przypadków genetycznych, które nadały kształt życiu jej i innych Judzi. Należała do czytelników; wielu nimi nie było. Analfabetyzm tłumaczono powszechnie wrodzonym brakiem predyspozycji do czytania - a w skomputeryzowanym, nasyconym obrazami świecie niewiele zawodów wymagało tej umiejętności. Lila akceptowała ten fakt, chociaż zawsze miała wrażenie, że większość ludzi nie nauczyła się czytać po prostu dlatego, że byli za mało inteligentni.

Nie czuła się z tego powodu lepsza. Ojej zdolnościach zdecydował przypadek; odbierała to raczej jako obelgę. Jej inteligencja nie była jej własną zasługą, ale została zdeterminowana w chwili, kiedy dwie gamety po omacku wpadły na siebie w placentorium. Zmagając się z ograniczeniami nakładanymi przez przepisy prawa genetycznego, zaczęła dociekać ich przyczyn i odkryła ze zdumieniem, że trwający od pięciuset lat zakaz prowadzenia eksperymentów na ludziach pierwotnie został pomyślany jedynie jako moratorium. W tamtych czasach miało to wiele sensu, ludzkość znajdowała się w trakcie zmiany, przyszłość stała pod znakiem zapytania. Ale jak długo miało tak trwać? Obecnie w społeczeństwie były reprezentowane wszystkie mutacje, które mogły się pojawić w niewielkiej puli genowej tych, którzy przeżyli Inwazję. Choroby i defekty genetyczne zostały wykorzenione dawno temu, przed wprowadzeniem zakazu. Rodzaj ludzki był zdrowy, ale czy zmierzał dokądkolwiek?

Jej zdumienie jeszcze wzrosło, kiedy poznała reprodukcyjne aspekty genetyki. Lila nie była genetykiem ani hodowcą. Podobnie jak budowniczy maszyny wie niewiele o metalurgii, tak i Lila miała jedynie mgliste pojęcie o prawach dziedziczności. Jej praca polegała na tym, żeby wziąć coś, co już istnieje i za pomocą technik mani-

pulacyjnych pochodzących z Gorącej Linii z Wężownika przekształcić to według własnej woli. Zagłębiła się w świat cech recesywnych i chowu wsobnego. Zaczęła się zastanawiać, czy ludzie nie zmieniają się z czasem w idiotów, z powodu braku linii wyznaczającej kierunek zmian.

Próbowała wzbudzić zainteresowanie tą sprawą wśród innych inżynierów genetyków, ale bez powodzenia. Najwyraźniej nie istniała żadna partia polityczna, do której mogłaby się odwołać w swoich wysiłkach, żeby uchylić zakazy prawa genetycznego. Jeśli w społeczeństwie ludzkim istniało tabu, które zajęło miejsce seksu, była to genetyka. Nikt nie chciał się zająć tym problemem po prostu dlatego, że nikt nie postrzegał go jako problemu. Przyjmowano go za coś nieuniknionego, oczywistego; ludzkie DNA jest nietykalne.

Lila przez rok rozmyślała o otwierających się przed nią możliwościach.

Mogła o wszystkim zapomnieć. Byłoby to całkiem rozsądne posunięcie i nawet teraz nie wiedziała, dlaczego właściwie zdecydowała się ciągnąć całą sprawę. Czasami bezwład innych zaczynał krążyć w jej żyłach jak narkotyk; kojący, przekonujący. Jeśli wystarczyło to twojej babce, dlaczego miałoby nie wystarczać tobie?

Mogła też ostrożnie kontynuować badania. I w końcu to właśnie zrobiła. Tyle tylko, że okazała się nie dość ostrożna.

Za przewodnika służyły jej wiadomości z Gorącej Linii. Z ogromnej liczby zakodowanych przekazów nieustannie spływających Linia, dziewięćdziesiąt pięć procent było nieprzetłumaczalne. Ale Lila słyszała plotki, że część z nich, być może znaczna część, w jakiś sposób dotyczy ludzkiego DNA. Kazała swojemu komputerowi przeglądać dane, które znalazły się w ogólnie dostępnych zbiorach. Pracowała na ślepo, sama niezbyt dobrze wiedząc, czego szuka. Dziedzina ta była tak słabo zbadana, że musiała się cofnąć do zbiorów pochodzących sprzed czasów Inwazji, zanim natrafiła na pierwsze znaczące prace z interesującej ją dziedziny. Wiedziała, że jest to zajęcie

dla setek naukowców, ludzi podobnych tym, którzy w dawnych czasach prowadzili badania podstawowe i -jak podejrzewała -już wymarli. Doszła do wniosku, że nie wykształcono jej na badacza; była inżynierem, w najlepszym razie dłubaczem.

Wszystko wydawało się na dobrej drodze. Nie zawracała sobie głowy pytaniem, skąd mieszkańcy Wężownika znają tak dobrze genetykę człowieka. Przyjmowano, że wiedzą wszystko. Od wieków ludzie czerpali z tego strumienia informacji. Lila założyła bazę na Janusie i rozpoczęła pierwsze nieudolne eksperymenty na własnych komórkach jajowych. Nie miała zamiaru produkować żywych ludzkich istot. Wprowadzała zmiany i hodowała zarodek do stadium płodu, a następnie to, czego się dowiedziała, wykorzystywała w następnym doświadczeniu.

Nie była pewna, czego szuka. Nie była pewna, dlaczego to robi. Niekiedy podejrzewała, że realizuje marzenia małej dziewczynki, która uwielbiała się bawić w mediko.

Ale czasami stawał jej przed oczami pewien obraz. Lila nie wiedziała, skąd się brał; wydawało się, jakby nie pochodził od niej, nie był wytworem jej własnego umysłu. Była to mglista, ale głęboko ją poruszająca wizja ludzkości rozproszonej we wszechświecie, odrodzonej, przemienionej.

Towarzyszyła jej jedna szczególnie wyraźna scena. Widziała ją we śnie każdej nocy. Ona biegła przez wysoką trawę, pod drzewami, w blasku niebieskiego słońca. Był to piękny odcień błękitu, przenikający głęboko jej skórę. Kwiaty kołysał lekki wiatr. Ktoś biegł obok niej.

Dla zamieszkała w Ziemskiej Przystani, kieszonkowym disneylandzie Tweeda, w szafasie z trawy, który musiała sobie sama zbudować.

Pierwszą osobą, która zjawiała się u niej każdego dnia, była Mari. Lila nie mogła opuszczać Ziemskiej Przystani bez eskorty. Próbowwała kilka razy, ale nie potrafiła odnaleźć wyjścia przez łożysko strumienia. Sztuczki z hologramami sprawiały, że było ono do-

stępne praktycznie tylko z jednej strony. Tak więc każdego ranka przychodziła Mari, zawiązywała jej oczy i prowadziła na zewnątrz przez wodę.

Tym razem, kiedy doszły do grobli nad strumieniem, Mari nie sięgnęła po chustkę.

- Co mamy w tym tygodniu? Himalaje? - spytała Lila obojętnie.

- Nie - odpowiedziała Mari. - Wyjeżdżasz.

- Dzisiaj?

To miało sens. Gdyby wcześniej знаła datę wyjazdu, mogłaby wyznaczyć sobie termin ucieczki.

- Tak. Weź mnie za rękę i bądź dzielna. Jest trochę nieprzyjemnie, póki się człowiek nie przyzwyczai.

Poprowadziła ją do drzewa na drugim brzegu strumienia. Lila była pewna, że oglądała je dokładnie. Zaczęły obchodzić drzewo dookoła...

Lila poczuła lekkie mdłości; wydawało się, że ziemia przechyliła się w dół. Zawahała się. Obraz był skrzywiony, jakby patrzyła przez butelkę. Mari pociągnęła ją za rękę.

- Teraz do góry - powiedziała. - Są trzy stopnie. Nie potknij się.

Lila przełknęła ślinę i postawiła nogę w powietrzu. Pod bosą stopą czuła beton. Wspiwała się, chociaż wyglądało, że schodzi w dół stromego zbocza.

- Skręć w lewo, potem jeszcze raz w lewo. Zamknij oczy, będzie ci łatwiej.

Ale Lila nie posłuchała. Widywała podobne hologramy w wesołych miasteczkach, chociaż żaden nie był równie doskonały. Znalazły się w korytarzu zalanym wodą.

- Możesz mi powiedzieć, gdzie mnie zabierają? - spytała Lila. - Żebym wiedziała, co mam zapakować.

Mari roześmiała się.

- Nie mam pojęcia, naprawdę.

Zatrzymały się na chwilę w laboratorium Mari. Lila opuściła je godzinę później, pozbawiona lewego płuca. Na jego miejsce wszcze-

piono jej generator skafandra nullowego. Nigdy dotąd nie używała czegoś podobnego. Skafander sugerował, że prawdopodobnie wysyłają ją na Marsa albo na Wenus, ponieważ tylko tam były one niezbędne do przeżycia. Lila dotykała z zaciekawieniem niewielkiego metalowego kwiatka poniżej obojczyka, służącego równocześnie za zawór wydechowy i człon regulacyjny skafandra, podczas gdy Mari tłumaczyła jej, jak się nim posługiwać. Szyja trocheja bolała w miejscu, gdzie mediko zainstalowała dwuosuszny aparat nadawczo-odbiorczy i woder, stanowiące uzupełnienie skafandra.

Kiedy przedstawiono ją Iphisowi, była już pewna, że opuszcza Lunę. Mężczyzna z całą pewnością przybył z przestrzeni kosmicznej, ponieważ nie miał nóg. Najwyraźniej przerwa w podróży była zbyt krótka, żeby usprawiedliwić kosztą ponownego ich przeszczepienia. Siedział, przypięty paskami, w miękko wyמושczonym koszu przymocowanym do pająkowatego chodzika.

Vaffa-kobieta pojawiła się tuż obok Liii.

- Gdzie Tweed? - spytała Lila.

- Kazał ci powiedzieć, że nie może przyjść - odparła Mari. - Vaf-fa z tobą poleci. Prosiłam, żeby mi pozwolił wam towarzyszyć, ale będę mu potrzebna, bo ma przylecieć kolejny więzień, który... och, miałam ci tego nie mówić. Zresztą, to i tak nie ma znaczenia. - Ucałowała Lilę. - Nienawidzę pożegnań - powiedziała odwracając wzrok. - Uważaj na siebie. Może się jeszcze kiedyś spotkamy.

- Mam nadzieję.

Lila nie widziała statku. Za Iphisem i Vaffą ruszyła składaną rurą prosto do pomieszczeń mieszkalnych. Kabiny nie były duże. Iphis dźwignął się z chodzika i usadowił w fotelu, Vaffa odłączyła korytarz od śluzy wejściowej.

- Zajmijcie miejsca - powiedział Iphis. - Za dwie minuty startu jemy.

Lila spróbowała jeszcze raz.

- Gdzie lecimy?

- Na Tytana.

Zgodnie z planem mieli dokonać zmiany kursu koło Jowisza. Pomysł nie spodobał się Liii, ale postanowiła siedzieć cicho - ostatecznie nie ona płaciła za bilet, nie miała więc prawa narzekać na obsługę.

Parę dni przed wykonaniem manewru Vaffa przyniosła nieoczekiwaną wiadomość:

- Wcale nie lecimy na Tytana. To znaczy, ja tak, ale ty nie.

- A co ze mną?

- Wysyłają cię na taki mały księżyc, nazywa się Posejdon.

- A gdzie to, u diabła, jest?

Vaffa i Iphis wymienili spojrzenia. Lila miała nieprzyjemne wrażenie, że nazwa powinna jej coś mówić.

-Jot-osiem. Jot kreska v jeden jeden jeden. Rzymskie cyfry - odpowiedziała Vaffa.

-Jeden z księżyców Jowisza o ruchu wstecznym - wyjaśnił Iphis.

- Okruch skały o średnicy jakichś dwudziestu kilometrów, dwadzieścia milionów kilometrów od Jowisza.

- Ale przecież to jest...

- Nielegalne? - roześmiała się Vaffa. Iphis przyłączył się do niej.

- Powiedz to Najeźdźcom.

- Najeźdźcy - mruknęła Lila.

Rozdział szósty

„Dlaczego nie możemy wrócić do domu”. Oralne zajęcia kooperacyjne, 5 machów, (kategoria: analfabeci, transkrypcja z holotaśmy)

Przybyli w roku 2050 starego stylu. (Dwa obiekty wielkości asteroidów pojawiające się w Układzie Słonecznym. Skierowane w górę zwierciadło teleskopu w Palomar. Astronom pochylający się nad okularzem). Decelerowali w drodze na Jowisza.

Dwojgu astronautom, Purunkicie i Mizinchikowowi, nakazano przerwać regularny rejs dostawczy do bazy na Marsie. (Zdjęcia archiwalne P & M wsiadających na pokład statku „U Thant”. Cięcie na aktorów na pokładzie: sprawdzają instrumenty, odbierają przekazy radiowe, włączają silniki, jedzą posiłki, kopulują). Rozkazano im skręcić w stronę Jowisza i zatrzymać się z pustymi zbiornikami. Rozkaz brzmiał: siedzieć cicho, obserwować, czekać na przybycie automatycznego zbiornikowca. (Zdjęcia przetworzone: P & M przy iluminatorze statku, w tle widoczny Jowisz. P jest czarna jak noc. Obejmuje M. Jest w ciąży.)

Jeden z obiektów rzeczywiście wszedł na orbitę Jowisza. Drugi w ostatniej chwili zmienił kurs i skierował się w stronę Ziemi. Wylądował na Oceanie Spokojnym niedaleko równika. Od tej chwili liczono Pierwszy Rok Okupacji Ziemi. (Materiał informacyjny: dwuwymiarowe

zdjęcia statku Najeźdźców - kuli o nierównej matowej powierzchni, średnicy dwudziestu metrów, częściowo zanurzonej w wodzie.)

Nieliczne wiadomości, jakie mamy o Najeźdźcach, pochodzą od Purunkity i Mizinchikowa, jedynych ludzi, o których wiadomo, że byli na pokładzie statku obcych i wrócili stamtąd. Oto, co się im przydarzyło. (Statek obcych łączy się z „U Thant”, pochłania go. Kamera podąża za P, M i ich małą córeczką przez wypełnione wodą tunele wykute w skale.) Spotkali doktor Ellen Bronson i jej dwóch towarzyszy, którzy badali statek pływający w wodach Pacyfiku. Naukowcy przebywali na jego pokładzie dwadzieścia cztery godziny, w dniu kiedy statek wyładował. Tego dnia astronauta byli oddaleni od Jowisza o trzy miesiące drogi.

Jeśli opowieść astronautów jest prawdziwa, czas i przestrzeń we wnętrzu statków istnieją w specyficzny sposób. Nie mamy podstaw, żeby w to wątpić.

Doktor Bronson uchodzi za jedyną istotę ludzką, która widziała obcych na własne oczy i przeżyła to spotkanie. (B wchodzi samotnie do ogromnej hali, wielkiej jak wnętrze sztucznego asteroidu. Pomieszczenie jest do połowy wypełnione wodą. W głębi niewyraźne postacie stworzone za pomocą efektów specjalnych symbolizują Najeźdźców. Zbliżenie twarzy B, na której maluje się przerażenie i zaskoczenie. B odwraca się i ucieka.)

Bronson twierdzi, że przeżyła coś dziwnego. W tajemniczy sposób dowiedziała się wielu rzeczy. Kiedy spotkała się z Purunkitą i Mizinchikowem nie potrafiła wyjaśnić, jak to się stało. (Pięć postaci zgromadzonych wokół ognia rozpalonego na plaży we wnętrzu statku, szepczących do siebie). Nie wiadomo, czy można wierzyć jej opowieści, ale to jedyne, czym dysponujemy. Oto, co powiedziała:

Najeźdźcy pochodzą z olbrzymiej gazowej planety podobnej do Jowisza. Przybyli do Układu Słonecznego nie po to, by podbić Ziemię, ale by spotkać mieszkańców Jowisza. Bronson utrzymuje, że Jowiszanie są inteligentni i bardzo przypominają Najeźdźców. (Se-

kwencja animowana: atmosfera Jowisza. Obok przepływają ogromne niewyraźne cienie).

Najazd na Ziemię miał drugorzędne znaczenie. Został dokonany ze względu na trzy zamieszkujące ją inteligentne gatunki: kaszaloty mieczniki i delfiny butelkonose. (Zdjęcia archiwalne ssaków morskich).

Bronson twierdzi, że we wszechświecie istnieje kilka poziomów inteligencji. Na szczycie znajdują się Jowiszanie i Najeźdźcy. Poziom niżej - delfiny i wieloryby. Ludzie, ptaki, pszczoły, bobry, mrówki i korale nie są uważane za gatunki inteligentne.

Nie wiadomo, czy cokolwiek z tego można traktować poważnie. Ale nie dysponujemy innymi informacjami.

Ludzkości nie udzielono wyjaśnień. Nie pojawili się żadni ambasadorowie, nie przedstawiono nam żadnego ultimatum. Ludzie próbowali walczyć, ale ich opór został całkowicie zignorowany. Bomby wodorowe nie eksplodowały, czołgi nie ruszały z miejsca, broń przestała działać. (Panika na ulicach, ujęcia z powietrza: korki na autostradach). Nikt nigdy nie widział Najeźdźcy. Na fotografiach widoczne są zamazane kształty na niebie, obserwatorzy nie dostrzegli ich jednak, kiedy robiono zdjęcia. Być może owe kształty są Najeźdźcami. (Nieruchome, dwuwymiarowe ujęcia walących się budynków, zniszczonych ulic, na niebie widoczne wielobarwne wiry).

O ile można stwierdzić na podstawie informacji przesyłanych, zanim umilkły nadajniki, Najeźdźcy nigdy nie zabili człowieka. Ograniczyli się do zniszczenia dosłownie każdego wytworu cywilizacji ludzkiej. Po ich przejściu zostawała goła ziemia, kiełkujące pędy i trawa.

W ciągu następnych dwóch lat umarło z głodu dziesięć miliardów ludzi.

Posejdon to nieregularny okruch skalny. Ze wszystkich obiektów krążących wokół Jowisza ten jest najbardziej oddalony. Jako wsteczny i nachylony pod kątem stu pięćdziesięciu stopni do równika planety, jest jednym z trudniej dostępnych ciał niebieskich w Układzie Słonecznym.

„Earthhome II” był nieważkościowym frachtowcem przeznaczonym do przewozu nieporęcznych, mniej potrzebnych towarów. Porusza się po trasach hiperbolicznych, a nie po liniach prostych, jak statki wysokoprzyspieszeniowe.

- Moje gratulacje, kapitanie - powiedziała Lila. - Dobra robota.

- Słucham? A, chodzi o podejście?

Wzruszył ramionami, ale widziała, że jest zadowolony. W czasie dwudziestodwudniowej podróży zdążyła go całkiem nieźle poznać.

- Słowo - ciągnęła. - Większość pilotów w dzisiejszych czasach przypomina operatorów komputera. Podróżowanie z nimi jest strasznie nudne.

- No cóż, nie będę się o to spierał.

- Przypomina mi pan czasy, kiedy ludzie po prostu ruszali przed siebie. Bez asekuracji: żadnych czekających na nich stacji z paliwem, żadnych transmisji, nic. I zdaje mi się, że pan to lubi.

Uśmiechnął się do niej.

- Chyba bym tego nie robił, gdyby było inaczej. Ale to prawda, zawsze wydawało mi się, że urodziłem się zbyt późno. Zapomnieliśmy, co to przygoda. Najbardziej niebezpiecznym przeżyciem, jakie dotąd miałem, to ten lot, a na dodatek jest nielegalny. Musiała się pani zastanawiać, w jaki sposób udaje się nam latać na Jowisza.

Wyjaśnił jej system Tweeda.

Krażenie po orbicie Jowisza i lądowanie na księżycach było zabronione. Istniała jednak furtka: można go było wykorzystać do zmiany kursu, jeśli leciało się dalej. Statki pasażerskie nigdy tego nie robiły - zbyt wielu ludzi bało się choćby zbliżyć do gazowej planety. Ale niezależni piloci chętnie korzystali z tej możliwości, bo pozwalała im oszczędzić czas i paliwo.

Sztuczka polegała na posiadaniu dwóch statków. Tweed kupił jeden na Plutonie, a następnie zgłosił jego zaginięcie. Drugi, identyczny, nabył i zarejestrował oficjalnie. Teraz oba miały takie same

numery identyfikacyjne. Co ważniejsze, oba miały tego samego kapitana. Lila leciała na pokładzie „Earthhome II”, pilotowanego przez Iphisa II. Oprócz tego istniał też „Earthhome I” i Iphis I, klon, którego numer drugi nigdy dotąd nie spotkał i pewnie nie spotka.

- Urząd celny ze swej natury interesuje się jedynie statkami przybywającymi - wyjaśniał Iphis. - Wyruszam na Tytana, podając jako pasażera tylko Vaffę. Lecę na Jowisza, a w tym samym czasie mój klon i druga Vaffa startują z Posejdona. Iphis I zastępuje mnie na obranym kursie. Na Tytanie wszystko się zgadza, bo drugi statek do trze tam wioząc tylko to, co zadeklarowałem na Lunie. Nawet jeśli zauważyli moje spaliny tutaj, w rejonie księżyców, nikt nigdy o tym nie wspomniał. Pewnie myślą, że to Najeźdźcy coś knują.

Lila spoważniała na wzmiankę o Najeźdźcach. Minęło już dwadzieścia godzin, odkąd minęli Jowisza. Nie chciała o tym pamiętać. Znowu wyjrzała przez iluminator.

- Zdaje się, że o tej porze miał mnie pan gdzieś wysadzić?

Księżyc zrobił się nieprzyjemnie duży; nie widziała już jego konturów. Na powierzchni coś się poruszało. Zaskoczona, zdała sobie sprawę, że to jakiś człowiek. A więc znajdowali się aż tak blisko.

- Proszę się nie martwić. Nie ląduje się takim statkiem na ka myku. Byle pierdnięcie posłałoby nas na orbitę.

Zerknął przez iluminator, sięgnął do sterów. Nie licząc szarpnięć silników korekcyjnych, statek wydawał się nieruchomy.

- Zaraz ściągną nas na linach i przycumują. Może pani już wyjść, jeśli ma pani ochotę.

Odbił się ze swojego fotela. Lilę zdumiała sprawność, z jaką się poruszał. Wiedziała, że w stanie nieważkości nogi są zawadą przy każdej niemal pracy. Nie zdawała sobie sprawy, że mogą stanowić prawdziwe zagrożenie. Pierwszego dnia lotu trzy razy omal nie rozbiła sobie głowy. Do tej pory latała jedynie statkami 1 g.

Stwierdziła, że rozgląda się w poszukiwaniu czegoś. Skafander. Głęboko zakorzeniony odruch powstrzymywał ją przed wejściem do

śluzu jedynie w kilcie i podkoszulku. Przypomniła sobie upiorny moment ucieczki z więzienia. Odsunęła wspomnienia. Złościło ją, że ulega irracjonalnym lękom. Wiedziała, że skafander nullowy działa bez zarzutu; parę godzin lotu od Jowisza, kiedy poziom promieniowania niebezpiecznie wzrósł, włączył się samoczynnie.

Kiedy Vaffa i Iphis wyszli na zewnątrz, zamknęła się w śluzie i nacisnęła przycisk. Na nagiej skórze poczuła gęsią skórę, potem pojawił się skafander i zaczęła walczyć o oddech. Pokonała odruch, żeby nabrać powietrza.

Nielatwo się było przyzwyczaić do skafandra nullowego. Niektóre jego właściwości jedynie wprawiały w zakłopotanie. Na przykład to, że człowiek wyglądał jak ubrany w lustro, otaczające ściśle całe ciało w odległości jednego do półtora milimetra i odwzorowujące każdy załamek skóry. Kiedy Lila patrzyła na siebie, widziała odbicie wszystkiego, co ją otaczało, zniekształcone jak w gabinecie luster. Inne cechy wywoływały prawdziwą panikę. Lila oddychała powietrzem przez pięćdziesiąt siedem lat i Nielatwo jej było nagle przestać.

Skafander został wyposażony w połączenie z układem nerwowym, tłumiące odruchy, które wywołują skurcze przepony. Ale to wszystko nie było aż tak proste. Głęboko poniżej poziomu, na którym kontrolowane jest trawienie, praca serca i oddychanie, tkwiła prymitywna mała, inteligentna akurat na tyle, by sobie zdać sprawę, że nie oddycha, ale nie na tyle, by zrozumieć, że skafander robi to za nią. W efekcie cały czas było się na granicy paniki.

Lila wiedziała, że da sobie z tym radę. Inni sobie dawali; na Merkurym i Wenus ludzie używali skafandrów od dziecka. Jednak przez pierwszych pięć minut po prostu stała oparta o ścianę śluzu, próbując opanować dreszcze. Przekonała się, że pomaga jej myślenie o procesie utrzymującym ją przy życiu. Wyobraziła sobie nieregularny metalowy implant, który Mari umieściła na miejscu jej lewego płuca. Zawierał generator pola nullowego, zapas denu na trzydzieści godzin i sztuczne pęcherzyki płucne, łączące się z jej układem krwiono-

śnym. Skafander umożliwiał wymianę gazową i robił to o wiele efektywniej niż płuca. Drgania pola nullowego wywoływały ruchy pompujące niemal czysty dwutlenek węgla przez zawór wydechowy poniżej obojczyka. Był to system wspomagający, podobnie jak dwuuszne radio, które mogła uruchomić bezgłośnie formułując słowa.

Poczuła się lepiej. W dole, jakieś pięć metrów niżej, widziała powierzchnię o brudnoszarej barwie. Miejscami, szczególnie wokół przystani „Earthhome”, podjęto próby wyrównania. Dalej rozciągał się nierówny, zmrożony krajobraz. Między metalowymi słupkami rozciągnięto pajęczynę srebrnych lin. Był to posejdoński odpowiednik sieci dróg.

Wyjście ze śluzy wydawało się dobrym pomysłem, ale po paru sekundach Lila uświadomiła sobie swój błąd. Spadając miała czas obliczyć przyspieszenie grawitacyjne, które wynosiło prawie jeden centymetr na sekundę kwadratową, czyli sześć tysięcznych grawitacji na Lunie. Wylądowała - zbyt gwałtownie, mocno odbijając się w górę. Kiedy spadała ponownie, lekko już przerażona, miała nieco więcej czasu na obliczenia. Na szczęście prędkość ucieczki była trochę większa niż siła, z jaką potrafiła się odbić. Według standardowych warunków lunariańskich studnia grawitacyjna miała głębokość trzystu trzydziestu metrów.

Zbliżając się do powierzchni po raz drugi, była ostrożniejsza. Chwyła się liny i przyholowała do ziemi. Lina miała taki sam lustrzany połysk jak ciało Liii. Patrzyła, jak jej srebrzyste dłonie zaciskają się na niej. Zauważyła, że w chwili dotknięcia skafander stopił się z liną bez śladu połączenia.

Podeszła do lustra, przez które weszli pozostali. Było to kolejne pole nullowe, chroniące wejścia do podziemnych korytarzy. Spróbowała przez nie przejść, ale udało się jej wsunąć do środka tylko głowę. Wewnątrz była Vaffa; z lekkim uśmiechem unosiła się w skalnym korytarzu. Lila cofnęła się, zdjęła spódnicę i podkoszulek, które nie zostały okryte przez skafander. Musiał istnieć jakiś sposób, żeby je

wnieść do środka, ale nie miała pojęcia, jaki. Weszła, zostawiając ubranie na zewnątrz.

Vaffa nadal tam była, podała coś Liii. Była to hermetyczna walizka.

- Musisz się jeszcze trochę nauczyć o polach nullowych - powie działa. - Może przez nie przeniknąć jedynie coś, co zostało opakowane w inne pole. Z wyjątkiem niektórych pól, dostrojonych w taki sposób, żeby wpuszczały do wnętrza światło o określonej częstotliwości. Dzięki temu możesz widzieć, kiedy jesteś w skafandrze.

Lila była zła, ale nie miała zamiaru nic mówić. Wzięła od Vaffy pojemnik i wróciła na zewnątrz. Powierzchnia zwierciadła była od środka przezroczysta. Liii wydawało się, że wygląda przez otwarty szyb. Kiedy przeszła przez pole, skafander ponownie uformował się wokół jej ciała.

- To coś w rodzaju inicjacji? - burknęła, wracając ze swoimi rzeczami. Pobyt w próżni nie zrobił im dobrze. Materiał, z którego była uszyta spódnica, zawierał lotny plastik, który zaczął parować.

- Nie - odpowiedziała Vaffa. - Niezupełnie. Chociaż nigdy nie zaszkodzi ci przypomnieć, że tutaj wszystko jest inaczej.

Przerwała, żeby spojrzeć na zniszczone ubrania, kiedy je Lila wyjmowała.

- Mam nadzieję, że to nie były twoje ulubione. Lila nie odpowiedziała.

- Udzielę ci kilku pożytecznych rad - powiedziała Vaffa.

Lila spojrzała na nią z lekkim zdumieniem. Vaffa nie należała do osób robiących cokolwiek z własnej inicjatywy.

- Za darmo?

- Pewnie - roześmiała się Vaffa. - Po pierwsze, kiedy wybierasz się na zewnątrz, uważaj, żeby ci włosy nie wchodziły do oczu. Pole ciasno przyciska je do głowy, jeśli będziesz miała włosy na twarzy, zakryją ci oczy.

- Dzięki. Postaram się o tym pamiętać.

- Po drugie, musisz uważać z mówieniem. To urządzenie, które masz w gardle, włącza się za każdym razem, kiedy formułujesz słowa. Jeśli zaczniesz myśleć o czymś zbyt intensywnie, może się okazać, że wszyscy dookoła cię słyszą.

- Zapamiętam.

Korytarz miał kolisty przekrój i wyglądał na nie wykończony. Ktoś go po prostu wywiercił, nie zadając sobie trudu, żeby wyrównać podłogę. Namalowane sprayem pasy żółtego i zielonego koloru wyznaczały podłogę i sufit, strzałki wskazywały kierunek ruchu. Lila wiedziała, że z czasem wszystko nabierze sensu, ale na razie, po trzech zakrętach, prawie zupełnie straciła orientację. Idzie w górę czy w dół, w prawo czy w lewo? Zagłębienie do pomieszczeń, które odgałęziały się od korytarza co pięćdziesiąt metrów, nie pomagało w niczym; meble były przymocowane do wszystkich możliwych powierzchni.

Vaffa zabrała ją do warsztatu mediko. Poważna kobieta siedziała na krześle za biurkiem przymocowanym do tylnej ściany.

- Mari! - zawołała Lila i bez zastanowienia rzuciła się naprzód. Poczula jak krew uderza jej do twarzy. Uszy jej płonęły.

- Rozumiem, że poznałaś mojego klona na Lunie - powiedziała Mari podpływając w ich kierunku. - Wiem też, co jej zrobiłaś.

-Ja... przepraszam, ja...

- Nic nie mów. Ty nic nie zrobiłaś. To był numer trzeci, pamiętam, a ty jesteś numer czwarty. I nie zrobiłaś tego mnie. Tak czy inaczej sądzę, że zrozumiesz, dlaczego nie mam ci wiele do powiedzenia. Lepiej weźmy się do pracy.

Praca, jak się okazało, miała głównie medyczny charakter. Mari zrobiła Lili badania i zaczęła leczenie, które miało trwać przez cały czas jej pobytu na Posejdonie, a którego zadaniem było przeciwdziałać skutkom nieważkości. Postawiła sobie za punkt honoru utrzymać u wszystkich mieszkańców stacji tonus mięśniowy taki, jak przy standardowym ciężeniu 0,9 g. Mari - podobnie jak Lila - wierzyła, że po-

zwalanie ludzkim mięśniom, by zaadaptowały się do niskiej grawitacji jest na dłuższą metę niebezpieczne.

Lila dostała środek uspokajający, który miał jej pomóc w przezwyciężeniu poczucia braku orientacji i została zaprowadzona do niewielkiej kabiny. Kazano jej spać przez osiem godzin, po czym miała się zapoznać z obowiązkami, jakie ją czekają w stacji.

Rozdział siódmy

Baza na Posejdonie była labiryntem katakumb, zbudowanych ponad czterdzieści lat wcześniej. Chodniki przerastały skałę niby szlaki termitów kawałek zbutwiałego drewna; były opuszczone w osiemdziesięciu procentach.

Lila odkryła puste odcinki pierwszego dnia swego pobytu w stacji, kiedy kazano jej się rozejrzeć po okolicy i zapoznać ze wszystkim. Niektóre korytarze kończyły się lustrami. Kiedy przez nie przechodziła, wokół jej ciała formował się skafander, chroniąc przed próżnią, rozciągającą się po drugiej stronie.

Posejdon stanowił o wiele większą inwestycję, kiedy Tweed był prezydentem i mógł na niego w tajemnicy przeznaczać pieniądze podatników. Teraz, gdy Tweeda zdjęto z urzędu i miał do dyspozycji tylko własne fundusze i zasoby partii, musiał wprowadzić oszczędności. Mimo to, jak na jednego człowieka, stacja nadal stanowiła spore przedsięwzięcie: osiemdziesięciu dorosłych więźniów, ich dzieci i nieokreślona liczba strażników, którzy co do jednego byli klonami wszechobecnej Vaffy.

Nie sposób określić, ile Vaff znajdowało się na miejscu, po prostu dlatego, że nigdy nie zbierały się wszystkie naraz w tym samym

czasie. Miały wydzielony własny obszar w obrębie stacji, otoczony polami nullowymi tak dostrojonymi, że pozwalały przechodzić Vaffom, ale zatrzymywały wszystkich pozostałych. Vaffy występowały w dwóch standardowych formach, męskiej i żeńskiej, obu całkowicie pozbawionych włosów. Było ich co najmniej sześć, chociaż równie dobrze mogło ich być dwa razy tyle. Nie dało się powiedzieć, w jaki sposób dzieliły między siebie warty ani jak wiele pozostawało w danym momencie za nieprzekraczalną ścianą.

Wartownicy nie sprawiali kłopotów. Więźniowie mieli prawo poruszać się po całej bazie z wyjątkiem kwater strażników i jak długo wykonywali powierzone im zadania, nikt im nie przeszkadzał. Każda Vaf-fa była uzbrojona w ręczny laser. Wielkim kosztem nauczono się, że broń ta jest skuteczna, kiedy strzela się z niej do więźniów i zupełnie bezużyteczna, jeśli chodzi o likwidację Vaff. Lasery przebijały pole nullowe jedynie pod warunkiem, że po drugiej stronie nie stała Vaffa. Niektórzy próbowali tak przestroić generatory swoich skafandrów, żeby odbijały promienie o częstotliwości, na jakiej pracowały lasery. Działało to bez zarzutu, jednak tylko na zewnątrz, kiedy skafander był włączony. A zapas powietrza w płucu starczał jedynie na trzydzieści godzin. Kiedy buntownicy powracali, zabijano ich.

Lila szybko dowiedziała się tego wszystkiego. Swobodnie dyskuutowano na temat podejmowanych w przeszłości prób ucieczki i chętnie słuchano nowych pomysłów. Jednak każda propozycja Liii okazywała się nierealna. Panowała powszechna opinia, że ucieczka z Posejdona jest niemożliwa. Lila miała na ten temat własne zdanie, ale sama przed sobą musiała przyznać, że sytuacja nie wygląda dobrze.

- Tak czy inaczej, wszystko jest lepsze od siedzenia w celi śmierci - stwierdziła.

- Nie wiem. Może i tak.

Mężczyzna, który towarzyszył jej w tej chwili, nazywał się Gathay. Spotkała go w mesie parę minut wcześniej; przysiadł się do niej, kie-

dy jadła śniadanie. Poza nimi nie było nikogo w całym pomieszczeniu; rozkład dnia Liii nie został jeszcze zsynchronizowany z rozkładem reszty mieszkańców stacji.

Mesa należała do miejsc, w których utrzymywano ciężenie na zasadzie siły odśrodkowej; obracała się wolno we wnętrzu skały. Istniało jeszcze drugie, większe koło, używane jako sala gimnastyczna, gdzie trenowano biegi i podnoszenie ciężarów, i trzecie, gdzie mieściły się sypialnie z kojami dla tych, którzy nie lubili spad w stanie nieważkości.

Cathay był wysokim, szczupłym mężczyzną. Miał mnóstwo nieporządnych brązowych włosów, długie nogi i chłopięcą twarz z nie pasującymi doń bokobrodami. Przystojny bez przesady, co bardzo się Liii podobało. Czują do niego wyraźny fizyczny pociąg, chociaż go nawet nie dotknęła ani nie wiedziała, jak pachnie, a to nieczęsto się jej zdarzało. Dzięki chirurgii kosmetycznej, uroda była tania i powszechna, ale ograniczała się do około tuzina standardowych wzorów. Wszystkie już dawno znudziły Lile. Wygląd mężczyzny działał na nią proporcjonalnie do tego, w jakim stopniu odbiegał od aktualnej mody.

- Więc nie zostałeś porwany z Zakładu? - zapytała, wycierając z talerza resztki syropu klonowego kawałkiem naleśnika.

- Zostałem porwany, ale nie z Zakładu. Czy raczej moje geny zostały porwane.

-Więc nie zrobiłeś nic... to znaczy, żeby zasłużyć na pobyt tutaj? Chcesz jeszcze kawy?

- Tak, proszę. Znalazłem się tu wyłącznie dlatego, że zaufałem Tweedowi. Powinienem być wiedzieć, chociaż kto mógł się wtedy tego spodziewać?

Lila postawiła przed nim biały plastikowy kubek i odchyliła się na krześle. Wyciągnęła nogi przed siebie i postawiła sobie ciepły kubek na brzuchu.

- Okay - ciągnął Cathay. - Miałem problemy, przyznaję. Ale nie siedziałem w więzieniu. Tweed zjawił się u mnie z interesującą pro-

pozycją. Powiedział, że... - urwał, odwracając wzrok od Lili. Zerknął na nią przelotnie, westchnął i mówił dalej, nie patrząc jej w oczy.

-Jestem nauczycielem. Byłem. Nie ma sensu tego przed tobą ukrywać. Wywalili mnie ze Stowarzyszenia Edukacyjnego. Moim zdaniem, niesprawiedliwie, ale nie mam ci tego jak udowodnić.

Znowu podniósł wzrok. Lila wzruszyła ramionami i uśmiechnęła się do niego.

- Nie robi mi to najmniejszej różnicy - powiedziała. - Pamiętaj, ja jestem Wrogiem Ludzkości.

- Kolejna bzdura - odparł swobodnie. - Mamy tu takich więcej. Paru jest rzeczywiście stukniętych, ale większość to tacy sami ludzie, jak reszta. Posunęli się trochę za daleko, ale zwykle robili to w imię takich czy innych ideałów.

Podniósł brwi, ale Lila nie czuła się gotowa, żeby o tym rozmawiać. Jeszcze nie; nie z kimś, kogo dopiero poznała. -I co dalej?

- No więc Tweed powiedział, że znajdzie mi robotę. Byłem w rozpaczliwej sytuacji. To się ciągnęło już pięć lat. Potrzebuję dzieci, naprawdę. A poza tym umowa zakładała, że zrobię dla Tweeda dwie rzeczy. Po pierwsze, miałem uczyć w jakimś odległym, bliżej nie określonym miejscu. Po drugie (myślałem, że to stanie się później, kiedy już skończę z pierwszym, rozumiesz), żeby pracować dla niego na Plutonie. Nie mówił, o jaką pracę chodzi, a mnie było wszystko jedno. Po paru latach miał mnie wypuścić i wprowadzić do Stowarzyszenia pod zmienionym nazwiskiem.

- I co się stało? - Lila wypiła sobie do kawy jeszcze jedną łyżeczkę cukru, w nadziei, że zabije to nieznośną gorycz. - Żarcie tutaj jest straszne.

- Prawda? Rozumiesz, powinienem był nabrać podejrzeń, kiedy powiedział, że mnie przywróci do Stowarzyszenia. To znaczyło, że ma dostęp, nielegalnie, do jakichś wysoko postawionych komputerów rządowych. On za dużo może. Wiesz, o co mi chodzi?

- Aha. Obawiam się, że tak. Co mu się udało zdobyć? Twoje na granie?

Cathay uśmiechnął się.

- Mhm. Wychodzi na to, że od początku chciał, żebym dla niego robił obie rzeczy równocześnie. Podejrzewam, że posłał mnie na Plutona. Wziął nagranie i wdrukował je w klona. We mnie.

- Okantował cię?

- Właśnie. Jest tu z dziesięciu takich, jak ja. Ludzi, którzy weszli z Tweedem w układy i obudzili się w sklonowanych ciałach.

-To rzeczywiście wstrętne. Czy on nie ma żadnych... boja wiem, zasad? Wstydu?

- Nie wiem. Ale kiedy mu na czymś zależy, bierze to. W taki czy inny sposób.

- Więc wszyscy pozostali tutaj to ludzie tacy, jak ja? Skazani więźniowie?

- Nie, tych jest może z piętnastu. Zdaje się, że was lubi. Reszta została ukradziona, tak po prostu. Większość to naukowcy. Tweed uznał, że ich potrzebuje. Najwyraźniej łatwiej mu ukraść nagrania i próbki tkanek i wyhodować sobie własnych, niż porywać oryginały.

-Jest w tym jakaś logika. Unika rozgłosu. Nikt nawet nie wie, że zostało popełnione przestępstwo.

Cathay podniósł się, żeby ponownie napełnić kubki. Przez chwilę siedzieli w milczeniu, patrząc jak do mesy napływają ludzie. Choć nikt się do nich nie przysiadł, Cathay witał się z wieloma.

-Jak dotąd nikt mi nie powiedział, po co Tweedowi inżynier genetyk - przerwała Lila. - Co ja tu będę robić?

Cathay wykrzywił się do niej.

- Na początek wyhoduj lepszy kawowiec. Potrafiłabyś?

- Może - roześmiała się. - Jestem całkiem niezłą kucharką, a zdaje się, że przydałby się wam ktoś taki. To dlatego Tweed mnie tu przysłał?

- Nie powiedział, dlaczego. Ale skoro umiesz gotować, może jest mniej bezwzględny, niż myślałem.

- Wszyscy inżynierowie genetycy uczą się gotowania - powiedziała Lila zmuszając się, żeby dokończyć kawę. - Zaczęłam karierę od wynalezienia rośliny, która produkowała jajka z dwoma żółtkami i o grubych skorupkach. Dla jakiejś kompanii z Merkurego. Żeby zaoszczędzić na bonach żywnościowych i nie obrzydzić sobie jajek do końca, nauczyłam się gotować na tysiąc sposobów. Naprawdę nie masz pomysłu, po co mógłby mnie potrzebować?

- Pomysł to może i mam. Większość ludzi tutaj to planetolodzy, fizycy, chemicy od nieorganiki, inżynierowie mechanicy i tak dalej. Co parę miesięcy wysyłamy sondy w górne warstwy atmosfery Jowisza. Czasem łapiemy jakieś żywe organizmy. Pewnie chcą, żebyś się nimi zajęła.

Lila słuchała zafascynowana. Od dawna wiadano, że na Jowiszu istnieje życie, nikt go jednak nigdy nie badał.

- Dlaczego ja? Moja działka to modyfikowanie organizmów, nie ich badanie.

Cathay wzruszył ramionami.

- Nie mnie o to pytaj. Ale nie wyobrażaj sobie, że będziesz tu prowadzić czysto naukowe eksperymenty. Cokolwiek każą ci robić, celem jest zwyciężenie Najeżdźców.

- W dalszym ciągu wygląda na mało prawdopodobne, żeby potrzebowali moich umiejętności.

Cathay podniósł się.

- Co ci mam powiedzieć? Tweeda czasem bardziej interesuje sam człowiek niż jego specjalność. Mówią, że to dlatego okrada więzienia. Chce mieć gabinet osobliwości, a nie trust mózgow. Trochę tak, jakby wybierał kółko zębate do maszyny ze względu na ładny kolor, a nie dlatego, że ma właściwy rozmiar zębów.

- Cholernie dobry sposób dowodzenia armią. Gdzie idziesz?

- Zabawić się na zewnątrz - wyszczerzył zęby. - Robię obchód.

Tam, na górze, mam trzydziestu siedmiu uczniów. Nie rób takiej zdziwionej miny, tutaj wszystko wygląda inaczej. Jeden z nich to mój własny drugi syn. Aha! Teraz cię zgorszyłem!

-Nie, ja... zaskoczyłeś mnie. Z czasem się przyzwyczaję. Mogę iść z tobą?

Lila mówiła prawdę; nie była zgorszona, zaszokowała ją wiadomość, że złamana została najbardziej podstawowa zasada ludzkiej cywilizacji - „Jedna Osoba, Jedno Dziecko”; że cała społeczność mnożyła się jak chciała.

Windą udali się do cylindrycznego pomieszczenia w centrum, na osi koła, potem ruszyli korytarzami. Posuwali się przed siebie odpychając od ścian rękami i nogami. Lila nabierała w tym wprawy.

Nie widziała zbyt wielu dzieci. Jak się wkrótce przekonała, dlatego że spędzały większość czasu w opuszczonych pomieszczeniach. Cathay sięgnął po lampę; w ślad za nim przekroczyła jedną z nullowych barier. Wkrótce w ich aparatach rozległy się głosy. Potem zaczęli się natykać na dzieci, w grupkach po dwoje lub troje, zajęte własnymi sprawami. Wyglądało na to, że lubią Cathaya, w każdym razie na tyle, żeby pozwolić mu przedstawić się obcej kobiecie. W Liii narastało jednak przekonanie, że tu, w dole, w opuszczonych pieczarach istnieje odrębna społeczność. Odgrywano skomplikowane przedstawienia, mające niewiele wspólnego z rzeczywistością, wzorowane na programach telewizyjnych i edukacyjnych komiksach.

Były to dziwne dzieci. Ale, pomyślała, muszą takie być. Wiele dorastało w towarzystwie braci i sióstr. Z trudem potrafiła sobie wyobrazić, w jaki sposób mogło to na nie wpłynąć. Przeżyła prawdziwy szok, kiedy zobaczyła, że jakieś dziecko uderzyło drugie, mniejsze. Cathay nic nie powiedział, więc sama ruszyła w ich stronę.

- Zostaw - ostrzegł mężczyzna. - Nic na to nie poradzisz.

-Ale...

- Wiem. Na początku trudno mi się było z tym pogodzić. Ale sama zobacz. Już po wszystkim, widzisz?

Z ulgą stwierdziła, że sprzeczka nie trwała długo. Miała jednak silne poczucie, że młodsze z dzieci zostało skrzywdzone i powiedziała to.

- Pewnie tak. Musiało się poddać, ustąpić pola, bo jest słabsze. Zrozum, jestem jedynym nauczycielem całej tej grupy. Uznałem, że przede wszystkim powinienem nauczyć ich jak sami mają rozwiązywać swoje konflikty. To wszystko, co mogę zrobić. Panują tu twarde prawa, ale jak na razie nikt nie zginął.

Lila zaczynała rozumieć, jak bardzo różniły się te dzieci od lunariańskich.

Dla mieszkańców Posejdony obecność Cathaya była swego rodzaju zwycięstwem. Na początku nie rzucano się to w oczy, ale porządek społeczny opierał się na skrajnie brutalnych zasadach. Ludzie dostawali się tu w wyniku porwania albo zamiast śmierci. Na miejscu szybko dowiadywali się, że mają pracować i tylko to się liczy. Obowiązywały dwie zasady: wypełniać polecenia i nie próbować ucieczki. Jedyną karą za wszelkie wykroczenia była śmierć.

Poza tym Tweeda nie obchodziło, czym się zajmują. Vaffy nieustająco sprawdzały, czy nikt nie buduje napędu do rakiety ani nadajnika. Pierwsze było tak skomplikowane, trudne do ukrycia i wymagało tak wiele czasu, że spróbowano tego tylko raz. Drugie równało się samobójstwu, chociaż Tweed nigdy o tym nie powiedział. Gdyby Osiem Światów kiedykolwiek dowiedziało się o Posejdonie, Tweed byłby skończony. Ale oznaczałoby to również śmierć wszystkich mieszkańców stacji. Nawet ci, których porwano, byli nielegalnymi klonami. Konfederacja z żalem musiałaby się ich pozbyć, jako że zgodnie z prawem mogła istnieć tylko jedna osoba z danym genotypem. Vaffy nigdy nie znalazły nadajnika.

Badania posuwały się powoli. Tweed nie miał zamiaru rozgłaszać swojej obecności wobec Najeźdźców i Jowiszan. Jowisza obserwowano nieustannie przez wszystkie instrumenty znane nauce, od czasu do czasu wysyłano sondę w jego atmosferę. Naukowcy z Posej-

dona wiedzieli o olbrzymiej planecie więcej niż ktokolwiek inny w Układzie Słonecznym, ale nadal nie było to wiele.

Drugi aspekt badań prowadzonych na Posejdonie stanowiło projektowanie nowych broni, które mogłyby zostać wykorzystane w przyszłej wojnie z Najeźdźcami.

Mieszkańcy stacji mieli mnóstwo wolnego czasu i pełną swobodę, jeśli chodzi o jego wykorzystanie. Kiedy stało się jasne, że pozostaną tu do końca życia, zaczęli się decydować na posiadanie dzieci. W pewnym momencie jakaś kobieta doszła do zdumiewającego wniosku, że nie musi poprzestać na jednym potomku.

Tweed był zachwycony. Wysłał nawet socjologa, żeby zbadał jedyną społeczność poza Pierścieniami, która mnoży się bez ograniczeń. Miał nadzieję wykorzystać to, czego się dowie, jako wzorzec dla przyszłego społeczeństwa na Ziemi, po zwycięstwie nad Najeźdźcami.

Dzieci stały się przyczyną jedyne zorganizowanego buntu, który został uwieńczony sukcesem. Rodzice zebrali się razem i poinformowali Tweeda, że życzą sobie nauczycieli, albo ustanie wszelka praca. Zorganizowano pierwszy i jedyny strajk. Żądano dwudziestu nauczycieli. Dostali Cathaya i obietnicę, że jeśli bunt się powtórzy, zginą. Tweed był w stanie to zrobić i zastąpić ich kolejnym zbiorem identycznych klonów, ale niechętnie by się na to zdecydował. Oznaczałoby to bowiem utratę wiedzy i umiejętności zdobytych przez mieszkańców Posejdona od czasu ostatniego nagrania.

- Próbowali mnie przekonać, żebym się dał sklonować, jak Vaffy - powiedział Cathay. - Jestem pewien, że to praktyczne rozwiązanie, ale nie mogłem się zdecydować. Czułem się chory na samą myśl o tym. Nie chcę być tuzinem ludzi.

- Nie musisz mi tłumaczyć - odparła Lila. Zadrżała. - Też dostaję od tego gęsiej skórki.

Grupa złożona z pięciorga srebrzystych dzieci zbliżyła się korytarzem. Zatrzymały się na chwilę, dość długą, żeby Cathay zdążył je przedstawić.

- ...Olympica, Cypris, ta mała tutaj to Izolda. A ten przystojniak który tam stoi, to mój syn, Cass.

Cass był wysokim chłopcem. Lila oceniła go na około dwanaście lat, potem musiała się dobrze przyjrzeć, sprawdzając czy rzeczywiście jest chłopcem. Zastanawiała się cały czas, czy kiedykolwiek się przyzwyczai do widoku ludzi, których ciała są wyrzeźbione z lustra. Chciała wrócić do środka. Nie widziała twarzy dzieci, tylko skrzywione odbicia.

Cathay zauważył jej skrepowanie i poprowadził z powrotem poprzez labirynt do zamieszkałych korytarzy. Lila wzięła głęboki oddech - pierwszy od ponad godziny.

Czekał na nich Vaffa-mężczyzna. Niedbale bębnił palcami po kaburze, w której miał ukrytą broń; wydawało się, że dobrze wie, kogo szuka.

- Masz zacząć pracę z tą zmianą - powiedział. - Chodź za mną, pokażę ci, co masz zrobić.

Rozdział ósmymy

Tweed musiał mnie porwać „na wszelki wypadek”. Nie pojmowałam, jaką rolę przeznaczał mi w swoich planach. Nie powiem, żeby mnie to szczególnie przygnębiało; nie czułam palącej potrzeby, aby go wesprzeć w walce z Najeźdźcami. Sympatyzowałam z jego zamierzeniami w teorii, ale po prostu nie sądziłam, żeby były możliwe do zrealizowania. Prowadzić wojnę z Najeźdźcami, to jak próbować się przeciwstawić prawu grawitacji.

Jednak wielu pracowników Tweeda miało do wykonania zadania — o ile można tak powiedzieć — bardziej znaczące. Oglądałam rysunki i modele nowych broni, gotowych do wprowadzenia do produkcji. Czekano tylko, aż Tweed zostanie ponownie wybrany i uzyska dostęp do rządowych czeków in blanco, którymi dysponował w przeszłości. Odkryto oszałamiające nowe zastosowania teorii pola nullowego, między innymi istniało urządzenie zdolne generować sferyczne pola na dużą odległość. Pomysł polegał na tym, żeby zamknąć Najeźdźcę w jednym z nich, a potem zmniejszyć je do rozmiarów atomu. Trudno sobie wyobrazić organizm zdolny przeżyć coś takiego. Potem wystarczyło wyłączyć pole. I już. Kieszonkowa bomba atomowa.

Widziałam projekty statków wojennych, jakich nie budowano od czasów sprzed Inwazji. I całą resztę wojennej galanterii, od wyposażonej w serwo mechanizm potęgujący siły zbroi do strzelb, czołgów i granatów, bomb termojądrowych i neutronowych. Na papierze Posejdon był lepiej uzbrojony niż którakolwiek z planet Konfederacji Ośmiu Światów.

Tylko do czego mieliśmy strzelać?

Lila była w stanie wykonać dzienny przydział pracy w ciągu około godziny. Dlatego często zostawała w laboratorium, raczej dla zachowania pozorów niż z innych powodów.

Z badawczego punktu widzenia pierwszy miesiąc był bardzo interesujący. Rezerwa próbek pobranych z atmosfery czekała na analizę. Lila wiedziała co nieco o typach związków organicznych spotykanych w atmosferze Jowisza z tego, co wyczytała o starożytnych badaniach prowadzonych przed Inwazją. Chemicy i planetolodzy z Posejдона dodali wiele do tych podstawowych informacji i zebrali trochę zarodników i mikroorganizmów. Mniej więcej rok wcześniej sonda zderzyła się z jakimś organizmem. Nie był bardzo duży; jego masa nie przekraczała masy dorosłej myszy; w przeciwnym razie sonda zostałaby zniszczona.

Pod względem strukturalnym nie zachowało się wiele: grudka galarety zamrożona w mieszaninie metanu i amoniaku. Jednak na poziomie komórkowym można się było o nim wiele dowiedzieć. Lila zrobiła to w ciągu pierwszego tygodnia, pracując po dwanaście-czternaście godzin na dobę. Zmapowała chromosomy, które zachowały się w nieuszkodzonych komórkach. Organizm przypomina pod wieloma względami zwierzęta zebrane przez sondy w górnych warstwach atmosfery Urana.

Współpracowała z Cheą, specjalistą w dziedzinie chemii nieorganicznej, chcąc się dowiedzieć jakich chemicznych właściwości można oczekiwać od organizmu tego rodzaju. Odkryto, że podob-

nie jak pewne wyższe formy życia z Marsa, organizmy zamieszkujące górne warstwy atmosfery gazowych olbrzymów są zdolne wykorzystywać katalizatory i polimery w sposób, jaki na Ziemi uzyskiwano jedynie w rafineriach. Organizm badany przez Lilę nie stanowił wyjątku. Pod koniec trzeciego tygodnia znalazła pozostałości układu rozrodczego. Udało się jej sklonować jedną z komórek. Komórka rozrosła się w przejrzystą kulę wypełnioną wodorem, która żyła parę godzin w zbudowanej przez Lilę prowizorycznej komorze jowiszowej, po czym pękła. Jej ścianki były zbudowane z winylu. Na spodniej stronie znajdowało się nabrzmienie w kształcie krzyża, zawierające struktury kostne.

Po dokonaniu tego, pozostała praca była rutyną. Z resztek okazji Lila stworzyła kulturę tkankową i zaczęła szukać sposobów jej uśmiercenia. Była to czysta loteria. Gdyby miała do czynienia z organizmem o gospodarce wodno-tlenowej, znalazłaby tuzin metod, żeby go zaatakować, po prostu badając jego geny i konstruując odpowiedni wirus. Ale nikt nie zajmował się dotąd genetyką organizmów z Jowisza. Prawie cała praca Lili z ziemskimi organizmami ypiła się na obliczeniach komputerowych, nie istniały jednak programy do analizy genów nie pochodzących z Ziemi. Żeby zniszczyć jowiszowe organizmy, musiała wprowadzać zmiany w różnych przypadkowych punktach chromosomów, a potem czekać i patrzeć, co się będzie działo.

- Ale Tweed potrzebuje czegoś, co by zabijało Jowiszan - zauważył Chea pewnego dnia. - Czy w ten sposób uda ci się to odkryć?

Lila wzruszyła ramionami.

- Równie dobrze jak w każdy inny. Chociaż nie, to mało prawdopodobne. Może uda mi się znaleźć coś, co zabije te organizmy. Ale nie Jowiszan, jeśli masz na myśli inteligentne istoty, żyjące w głębi.

Znajdowała się w zbiorniku ogrodniczym razem z Cheą, Cathayem i Jasią, głównym planetologiem. Sadzili nową odmianę drzew wieprzowinowych stworzoną przez Lilę. Miała ona dostarczyć bekonu prze-

wyższającego znacznie to, czym się żywili do tej pory. Klęczeli na ciepłej czarnej ziemi i rozmawiali ze sobą przesadzając malutkie roślinki. Nad ich głowami jarzył się centralny rdzeń zbiornika, dalej w głębi widzieli odległą ścianę obracającego się cylindra. Wszyscy mieli okulary przeciw-słoneczne, ich ciała pokrywał płyn z nitrem chroniącym przed promieniowaniem ultrafioletowym i pot. To były szczęśliwe dni.

Lila spędzała większość czasu pracując w ogrodzie - w hydroponicznej szkółce albo na zewnątrz, na skrawku gruntu, który przygotowała dla roślin odpornych na próżnię, które sama skonstruowała. Jedzenie poprawiło się wyraźnie i mieszkańcy stacji zaczęli ją uważać za coś w rodzaju bohatera. Lila uwielbiała pracę z roślinami, ale niezbyt lubiła gotować. Uczyla Cassa i troje innych dzieci, jak się to robi. Dawało jej to wiele przyjemności, żałowała tylko, że standardowy dzień nie ma więcej godzin.

- Więc uważasz, że Jowiszanie są podobni do tego stworzenia?

- Nie ma powodu, żeby tak sądzić - odparła Lila. - A Jasmina potrafiłaby ci pewnie podać setkę przyczyn, dla których nie powinniśmy tego oczekiwać.

Jasmina wyjęła z wiadra kolejną roślinkę i zaczęła wygrzebywać dołek w ziemi. Była drobną kobietą o dużych oczach i zręcznych dłoniach. Jasne włosy nosiła zaplecione w grube warkocze, a wokół szyi miała futrzany kołnierz. Była to jej jedyna modyfikacja chirurgiczna. Zanim przybyła Lila, Cathay przez dwa lata dzielił z Jasminą pokój, a teraz oboje zapraszali Lilę, żeby się do nich przyłączyła. Dziewczyna nie mogła się zdecydować. Dobrze się jej mieszało z Cheą. Okazał się najlepszym współpracownikiem, jakiego kiedykolwiek miała. Ta faza ich znajomości została zamknięta, kiedy ukończyli pracę nad organizmem z Jowisza. Chea zajął się innymi sprawami, widywali się więc rzadziej niżby sobie tego życzyła.

- Na razie nic jeszcze nie można powiedzieć na pewno - po twierdziła Jasmina, uklepując ziemię wokół sadzonki. - To znaczy, czy to, czego się Lila dowiedziała o organizmach żyjących w wyższych

warstwach, odnosi się też do tych z niższych warstw. Ale to mało prawdopodobne.

- Dlaczego? - kiedy dyskusja schodziła na tematy naukowe, Cathay okazywał się zupełnym ignorantem, czym się zresztą w ogóle nie przejmował. Pogodnie przyznawał się do swojej niewiedzy. Nie był nauczycielem zawodu ani przedmiotów teoretycznych; uczył dzieci analizowania swoich osobowości, odkrywania i rozwijania własnych możliwości.

- Wiemy już sporo o atmosferze Jowisza - powiedziała Jasmina. - Ma układ warstwowy. Na górze wodór, potem amoniak, wodorosiarczki amonu, woda, następnie płynny wodór, wszystko w różnych stanach krystalicznych albo stopione, albo rozpuszczone jedno w drugim. Nie ma powodów przypuszczać, że organizm Liii przeżyłby, gdyby opadł kilkaset kilometrów w głąb.

- I mnóstwo powodów, by sądzić, że nie - dodała Lila.

- Mówiłaś, że miał komorę gazową z wodorem - powiedział Cathay. - Więc jak mógł się unosić w warstwie wodoru?

Lila roześmiała się.

- Dobre pytanie. Sama się nad tym zastanawiałam i, prawdę mówiąc, nie wiem na pewno. Myślę, że to, co widzieliśmy, może być wczesnym stadium rozwoju. Te organizmy mogą powstawać w niższej warstwie i produkować wodór, żeby wypełnić swoje balony i wznieść się do słońca. Potem potrzebowałyby czegoś jeszcze, by się tam utrzymać. Dokoła jest mnóstwo energii do wykorzystania. To bardzo niespokojne miejsce.

- Niewykluczone, że na Jowiszu istnieje kilka biosfer - wtrąciła Jasmina. - Być może częściowo mieszają się ze sobą, tak jak sugerowała Lila i ten jej okaz mógł rzeczywiście powstać w niższej warstwie, a potem wznieść się wyżej. Ale trudno to będzie zbadać, szczególnie w dolnych warstwach, gdzie prawdopodobnie żyją jowiszanie.

- Dlaczego myślisz, że są na dole?

- Cóż, ja... masz rację. Mogą żyć wyżej. Ale nie sądzę, nawet z rachunku prawdopodobieństwa wynika inaczej. Istnieje tak wiele

warstw, które mogą zamieszkiwać. Sondy, które posłałam, wyróżniły trzydzieści siedem odrębnych środowisk, ułożonych jak w cebuli. Niektóre z nich mieszają się ze sobą w zależności od warunków atmosferycznych, co stwarza jeszcze więcej możliwości. Ale trudno sobie wyobrazić organizm, który mógłby żyć we wszystkich na raz. Sondy, zanim zamilkły, znalazły jądro z gorącego metalicznego wodoru. Nie wierzę, żeby jakakolwiek istota potrafiła tam przetrwać, ale idę o zakład, że życie w warstwie, która leży tuż powyżej jest możliwe.

-A co tam jest?

- Płynny wodór, ale gorący. Jakieś dwanaście tysięcy stopni. Ciśnienie trzy miliony atmosfer. Nie pytaj mnie, co tam żyje. Ale jestem pewna, że nie przypomina tego, co badała Lila. Jeśli Najeźdźcy i Jowiszanie tam mieszkają, sprawa jest przegrana. Do końca świata się do nich nie dobierzemy.

Rozmowa przygnębiła Lilę. Nigdy wcześniej nie pracowała nad wymyśleniem nowych broni; nigdy nie zastanawiała się nad podobnymi sprawami. Nieprzyjemnie było dowiedzieć się, że jej badania mają tylko jeden cel: zniszczyć to, co odkryła.

Rozdział dziewiąty

Po skończeniu pracy w laboratorium i w ogrodzie, Lila często udawała się na „wyprawy badawcze” z Cathayem, Cassem i Jasiiną albo tylko jednym z nich. Mniej więcej po miesiącu Jasmina stwierdziła, że przestało ją to bawić. Miała sto pięćdziesiąt lat i była najstarsza w grupie. Urodziła swoje dziecko ponad sto lat temu, odkryła, że właściwie nie lubi dzieci i nie zdecydowała się na kolejne na Posejdonie.

Sytuacja ich trojga robiła się coraz bardziej niezręczna. Lila zamieszkała z Cathayem i Jasiiną, przez pewien czas wszystko układało się dobrze. Stopniowo stało się jednak jasne, że Jasmina bardziej zainteresuje się Lila niż Cathayem. Cathay był nieszczęśliwy i trochę zazdrosny o Lilę. Jasmina zaczęła przebąkiwać o zmianie płci, co jeszcze bardziej odsuwało od niej Cathaya, który zdecydowanie czuł się mężczyzną i nie przejawiał zainteresowania przedstawicielami swojej płci. Lila, ze swojej strony, lubiła oboje. Była osobowością zdecydowanie kobiecą - chociaż nie w takim stopniu, jak Cathay męską - i przeżyła jako mężczyzna tylko trzy ze swoich pięćdziesięciu siedmiu lat. Jasmina zaliczała się do większości nie wykazującej stałych preferencji.

Mijały miesiące. Jasmina, z pomocą Mari, zmieniła płéć. Przez krótki czas wydawało się, że to dobre rozwiązanie dla wszystkich, ale w końcu Jasmina odsunęła się od Liii i Cathaya, którzy z kolei zgadzali się ze sobą we wszystkich sprawach, z wyjątkiem jednej.

- Zwariowałaś. Bez zgody Tweeda nigdy się stąd nie wydostaniemy.

- Więc zostaniemy tu na zawsze.

Nie chciała zaczynać kłótni na ten temat. Nic jednak nie mogła poradzić, że irytuje ją zgoda Cathaya na uwięzienie. Patrząc na niego widziała siebie samą za dziesięć lat.

- Masz rację - przyznał. - To znaczy, chyba że wierzysz w zwycięstwo nad Najeźdźcami.

- Nie wierzę, nawet przez chwi...

- ...bo wtedy w całym Układzie powitaliby nas jak bohaterów. W przeciwnym razie pewnego dnia okaże się, że skończyły mu się pieniądze albo zdudził go cały ten pomysł.

- I pozbędzie się nas.

- Właśnie. Chyba nie sądzisz, że mi się to podoba? Ale, do diabła, co możemy na to poradzić?

- Możemy poświęcić wszystkie siły próbując coś zrobić!

- Tak, tak. Bardzo chętnie. Masz jakiś konkretny pomysł?

Lila stłumiła gniew, wolała spokojną dyskusję. Za każdym razem kończyło się tak samo: podaj mi konkretne propozycje, powiedz, jaki masz plan. I za każdym razem, kiedy wspominała o jakimś, na wół uformowanym i bardzo niedopracowanym, wynajdywali w nim setki wad.

- Nie myślałam o niczym konkretnym - przyznała po raz kolejny.

- W porządku. Dlaczego więc nie wymyślisz czegoś i nie...

- Ale bez pomocy nigdy tego nie zrobię! Zrozum, poddanie się to najpewniejszy sposób, żeby tu zostać na zawsze! Wiem, że dotychczasowe moje plany były chybione. Ale wszyscy patrzycie na to z takim defetyzmem. Nawet ty! Nie mogę tego zrozumieć.

Przerwała. Nie chciała na niego krzyżeć, widziała, że poczuł się dotknięty. Objęła go. Przez chwilę nie reagował, ale w końcu odwzajemnił uścisk.

Lubiła go za to. Był uważnym kochankiem, dobrym człowiekiem, kimś, komu mogła zaufać.

- Znam parę osób, które pracują nad wydostaniem się stąd - powiedział. - Ale słyszałem, że też utknęli w martwym punkcie. Mogłabyś z nimi porozmawiać. Mieli plan, żeby ruszyć cały ten cholerny księżyc. Ale to czyste szaleństwo.

- O to tylko mi chodzi; żeby porozmawiać z kimś, kto chce się stąd wyrwać.

- Właśnie z jednym rozmawiasz. Wszyscy chcemy stąd uciec. Ale jedyni, którzy nadal nad rym pracują, to Vejay i Niobe.

Vejay unosił się pod sufitem w swoim pokoju; zawieszony na jednej stopie, grzebał w pudle pełnym papierów. Pomieszczenie było mocno zagrożone, do wszystkich sześciu ścian przymocowano meble i pudełka.

- To proste, serio - mówił. - Parę razy nawet to robili, w pasie asteroidów. Tylko pochłania masę energii.

Znalazł to, czego szukał - wymiętoszoną, złożoną po wielokroć kartkę błękitnego papieru - i zaczął ją rozkładać w powietrzu. Lila przekreśliła się i wdrapała do niego. Kiedy znalazła się bliżej, zmarszczyła nos. Vejay nie był zbyt lubiany, na każdej cywilizowanej planecie miałby kłopoty z prawem, bo często zapominał o kąpieli.

Nie zawsze pamiętał też o jedzeniu i w ogóle nie ćwiczył. Tak bardzo zaniedbał przyjmowania swoich pigułek na przyrost mięśni, że została z niego skóra i kości z odrobiną mięśni, niezbędną, by się poruszać w stanie nieważkości. Mari powiedziała Liii, że jest zdrowy, jak długo nie będzie miał do czynienia z grawitacją. Vejay wierzył w dostosowanie do istniejących warunków; na Posejdonie oznaczało to, że ważył trzydzieści kilogramów.

Trudno o większe przeciwieństwo Vejaya niż trzecia osoba w pokoju. Niobe Tancerka stanowiła pod względem fizycznym ideał. Każdy mięsień w jej ciele był pięknie ukształtowany; tworzyły wzór złożony z wdzięcznych wypukłości i wgłębień na jej rękach, nogach, plecach i brzuchu.

- To przyzwoity napęd rakietowy - mówił Vejay. - Ale działa dobrze tylko na duże masy. A sama dziura jest w stanie przeważyć każdy statek, o jakim słyszałem. Znajduje się po drugiej stronie, dokładnie naprzeciw nas. Byłaś ją zobaczyć?

- Nie, miałam zamiar, ale nie wydawało mi się to zbyt ważne. Teraz się pewnie wybiorę.

- Powinnaś. Jest naprawdę ciekawa, bo znajduje się na powierzchni księżycy. Gdyby posadzić coś takiego na Lunie i poszło jakoś nie tak, po prostu zagłębiłaby się pod powierzchnię i zaczęła wirować. Raz-dwa byłoby po Lunie.

Lila zadrżała. Nikt nie lubił czarnych dziur.

Łatwo byłoby je traktować, jak jeszcze jedną naukową abstrakcję, gdyby skromnie trzymały się z dala od ludzkich spraw. Kiedy pierwszy raz zaczęto o nich mówić, sądzono, że mogą powstać jedynie w miejscach wypalonych ogromnych gwiazd. Gdy jądrowe ognie płonące we wnętrzu gwiazdy nie są w stanie dłużej podtrzymać jej masy, siła grawitacji bierze górę; gwiazda zaczyna się zapadać w siebie. W końcu osiąga rozmiary i gęstość, przy których prędkość ucieczki staje się większa od prędkości światła.

W pewnym momencie stwierdzono jednak, że kiedy powstawał wszechświat, w czasie Wielkiego Wybuchu, uwolniły się siły dostatecznie potężne, by doprowadzić do powstania niewielkich czarnych dziur, niektórych mniejszych niż jądro atomu. Wkrótce potem teoria została zmodyfikowana. Chociaż dziury mogły powstawać w taki sposób, szybko wyparowały, oszczędzając astronomom kłopotów i bólów głowy.

Teoria ta utrzymała się do czasu Inwazji. Wkrótce potem odkryto niewielkie „kwantowe” czarne dziury w strefie komet, tuż poza

orbitą Plutona. Tajemnicze obiekty były bardzo niewielkie; średnica największych wynosiła ułamek milimetra. Ale siłę ciężkości wytwarzały potężną. Jeśli znalazły się w pobliżu obiektu materialnego, niszczyły go, uwalniając przy tym ogromne ilości energii. Energię tę można było gromadzić i przesyłać z elektrowni orbitalnych do odbiorników na powierzchni.

Dwieście lat temu jedna z nich zerwała się z holu, kiedy wprowadzano ją na orbitę Plutona. Wywierciła dziesięciometrową dziurę przez sam środek planety. Ciśnienie wypychało lawę na powierzchnię, powodując wstrząsy i powstanie wulkanów, co powiększyło jeszcze zniszczenia.

- Dlaczego tutaj się to nie zdarzy? - spytała.

- Może się zdarzyć - odparł Vejay. - Ale to nie jest duża dziura, a Posejdon to kamyk. Spadałaby wolno, i bez trudu byłibyśmy ją w stanie złapać po drugiej stronie. Zobacz, widzisz jak to działa?

Lila przyglądała się rysunkowi, podczas gdy Vejay go objaśniał. Używanie czarnej dziury do wytwarzania energii dla stacji uważała za rozrzutność; liczby potwierdzały jej przekonanie. Dziura mogła dostarczyć dość energii, żeby zaspokoić potrzeby małego miasta; Posejdon wykorzystywał jej niewielki ułamek, z czego i tak większa część była przeznaczana na podtrzymywanie dziury wbrew sile ciężenia.

- Na razie siedzi sobie, o tutaj - pokazał Vejay. - Pod nią znajdują się pole nullowe w kształcie misy.

Wskazał półkulę unoszącą się nad powierzchnią Posejдона, skierowaną otworem na zewnątrz.

- Pole chroni sprzęt przed przegrzaniem, a skały przed stopieniem. Dlatego można podejść tuż pod samą dziurę, żeby obsłużyć urządzenia wspomagające - wskazał trzy ogromne budowle na powierzchni.

- Dziura ma własny ładunek i jest utrzymywana przez te trzy ogromne elektromagnesy.

- W jaki sposób ma to nam pomóc w ucieczce?

Vejay przechylił głowę, przyglądając się wykresom, jakby je widział po raz pierwszy. Zmieszany, podniósł wzrok.

- Czy kształt pola nullowego nic ci nie sugeruje? Mógłby być co prawda lepszy i, jak przejmujemy kontrolę, zmodyfikujemy go, ale nawet teraz by działało.

Lila spojrzała ponownie. Oczywiście, dlaczego wcześniej na to nie wpadła?

- Dysza wydechowa rakiety.

- Właśnie. Dziura siedzi sobie w misie skierowanej na zewnątrz Posejdona. Jeśli wrzucić do środka materię - cokolwiek, byle nie za dużo - siła ciężenia dziury to zgniecie. Tak mocno, że może tam zajść dowolna reakcja jądrowa, jaka ci przyjdzie do głowy. Mnóstwo materii ulega zniszczeniu, a to oznacza energię, którą możemy wykorzystać na nasze potrzeby.

Nawet przy tych ilościach, które ładujemy do niej obecnie, powstaje słaby ciąg, bo misa jest otwarta z jednego końca. Jest tak mały, że praktycznie nie da się go mierzyć, szczególnie gdy uwzględnić masę Posejdona, a zresztą sama dziura przeciwdziała przyspieszeniu. Więc jedyne, co musimy zrobić, to wrzucać do niej skały, tak jak robiliśmy to do tej pory. Tylko że zamiast używać pyłu i wydzielać go zakraplaczem, potrzebujemy taśmociągu. Musimy mieć stały dopływ paliwa.

No więc rozwiązaliśmy drugi problem. Teraz został nam tylko pierwszy.

Lila zmarszczyła brwi.

- Może jestem tępa, ale...

Niobe roześmiała się.

- Nie martw się. Na początku też mi się wydawało, że wszystko jest jasne. Vejay, za bardzo się pospieszyłeś. Ona widzi to pierwszy raz.

- Przepraszam - powiedział. - W porządku. Chodzi o to, gdzie

mamy polecieć, kiedy już wyeliminujemy Vaffy. W każdym z Ośmiu Światów zostalibyśmy wszyscy zlikwidowani jako nielegalne klony. Poza tym, możemy lecieć wszędzie. Dlatego sugeruję, żeby wybrać się gdzieś naprawdę daleko.

- Mówisz o podróży międzygwiazdnej?

- A o czym by innym? Z tym napędem można by osiągnąć prędkość bliską prędkości światła. Pewnie nie uda się nam popchnąć tego z przyspieszeniem większym niż jedna dwudziesta g, ale w końcu byśmy dotarli. Na Alfę Centauri za jakieś dwadzieścia lat.

- Ale co z masą... Aha, już wiem.

- Będzie jej pod dostatkiem. Oczywiście, użyjemy masy samego Posejdona, tak jak teraz.

Lila zastanawiała się nad tym przez chwilę. Wszystko było tak strasznie daremne, ponieważ - mimo że Vejay o tym nie mówił - zbudowanie napędu przy wykorzystaniu ciężkiego sprzętu, którego używano do drażenia korytarzy, w ciągu jednej nocy było nierealne.

-Jak myślisz, ile czasu zabrałoby przygotowanie tego wszystkiego?

Wzruszył ramionami.

- Gdybyśmy ciężko pracowali, bez żadnych nieoczekiwanych komplikacji, dwa tygodnie.

Tymczasem Vaffa przeprowadzała inspekcję każdego dnia. Wszystko zawsze sprowadzało się do Vaffy.

Źle sypiam. Spotkanie z Vejayem i Niobe rozbudziło moje nadzieje, zaostrzyło apetyt na zrobienie czegoś, co rzeczywiście przyczyniłoby się do ucieczki. Byłam równie daleka realizacji moich marzeń jak dotychczas, ale czułam się inaczej. Rozwiązaliśmy łatwiejszą stronę równania wolności. Problemy nadal piętrzą się przed nami. Co najmniej sześć problemów, być może dziesięć, wszystkie imieniem Vaffa.

Vaffę można zabić. Jest to trudne, ale zostało dokonane dwa razy w ciągu tych wszystkich lat, przez zrozpaczonych więźniów. Setki razy słyszałam obie historie. Vaffę należało zwabić w pułapkę i otoczyć, koniecznie pod powierzchnią. Na zewnątrz były równie odporne jak ich skafandry. Choćby je żywcem pogrzebać pod toną skały, pola nullowe ochronią je i pozwolą przeżyć, dopóki starczy zapasu powietrza — mnóstwo czasu, żeby się wyratować.

Pogrzebać wszystkie razem ? Trzeba by wysadzić cały księżyc, a gdzie byśmy się wtedy podzieli ?

- Co to jest?

- Cukrowe dzieci. Nie żartuj, naprawdę nie wiesz, co to takiego?

Lila nie wiedziała. Mieszkały w dużym szklanym słoju o wąskiej szyjce, który znalazła w kryjówce Cassa. Najwyraźniej mu się znudziły, ale miały się dobrze.

Dno słoja wysypano ciemną ziemią, na której rosło pięć miniaturowych wiązów, trzy świerki Douglasa i dużo mchu. Była tam grotka w skale, a u wejścia do niej stały trzy dwunogie figurki, wysokie na milimetr. Miały białe ciała i ciemne główki. Wyglądały zupełnie jak ludzie.

- Zdaje się, że mają nawet twarze - powiedziała schylając się niżej.

- Nie żartujesz. Naprawdę nigdy wcześniej ich nie widziałaś?

- Naprawdę.

Mówiąc to, miała jednak dziwne wrażenie, że nie jest to prawda. Potrząsnęła głową, ale wrażenie nie ustąpiło.

- Mają twarze. Ale przyjrzyj się dokładniej.

Z boku słoja umieszczono szkło powiększające. Lila spojrzała przez nie i złudzenie przysło. To, co wyglądało jak włosy, okazało się zabarwionym szkieletem zewnętrznym, kryjącym fasetkowe oczy. „Twarze” składały się z dwóch kropek i kreski. Istoty miały segmentowane ciała jak marionetki albo...

- Mrówki. To są mrówki.
- Pochodzą od mrówek - potwierdził Cass. - Zmodyfikowali je.
Koło pasa widać trzecią, zredukowaną parę nóg.

Liii zrobiło się niedobrze, ale nie mogła oderwać oczu od stworzeń.
Z grotty wyszły następne, krocząc chwiejnie na nogach, gestykulując rękami.

- Obrzydliwe - powiedziała.

Bała się, że zwymiotuje.

Cass skrzywił się.

- No, rozumiem, o co ci chodzi. Dostałem je, kiedy byłem mały i teraz nie wiem, co z nimi zrobić. Nie mogę po prostu ich zabić, to byłoby nie w porządku.

- Tweed pozwolił ci...

- Czasami możemy zamawiać różne rzeczy. Zestaw do budowy tego przyszedł z transportem z Luny parę lat temu. Wszystkie dzieciaki wspaniale się bawiły. Szkoda, że nie poprosiłem o kocie jajka.

Lila czuła oszołomienie. Czuła, jakby grunt usuwał się jej spod nóg, narastało w niej wrażenie *deja vu*. Na próżno wyteżała pamięć. Coś się w niej budziło; nie potrafiła temu zapobiec.

- Nie mogą żyć poza słojem - wyjaśniał Cass. - Specjalny rodzaj podłoża, czy *coś*, więc nawet jeśli uciekną, nie ma obawy, że się rozmnożą. Chyba nie przeżyłyby długo... Hej, wszystko w porządku?

- Po prostu przez chwilę nic nie mów, dobrze?

Wpatrywała się w małych więźniów. Czy chodziło jedynie o fakt, że nie są na wolności? Nie rozumiała, dlaczego miałyby się tym aż tak bardzo przejmować. Nigdy nie lubiła oglądać zwierząt w klatkach, głównie z tego powodu unikała pracy z żywymi organizmami. Ale to nie tłumaczyło aż tak gwałtownej reakcji.

Cofnęła się myślą o kilkanaście lat. Pamiętała, że kiedyś, w butelce zupełnie podobnej do tej, widziała kolonię cukrowych dzieci.

Raz... nie, dwa razy. Zaraz. Była pewna, że zdarzyło się to trzy razy. Stała tam, patrząc...

Przez głowę zaczęły jej przebiegać jakieś cyfry. Widziała je, jakby były obiektami materialnymi, miały wymiary i masę. Zaczęła sobie przypominać.

- Pomogłam je stworzyć - powiedziała cicho.

-Co?

- Byłam w grupie badawczej, która stworzyła tę linię mrówek. To było dwadzieścia pięć lat temu, pracowałam dla Copernicus Biological Labs. Ja i Thessa, i Zaire i... Yaokaha. Na patencie jest moje nazwisko. Przez rok były wielkim hitem, bardzo dobrze się sprzedawały i... - urwała. Cass czekał w milczeniu obok niej, wyglądał na zaniepokojonego.

Żołądek trochę się uspokoił, ale nadal widziała cyfry.

- To był poważny problem - powiedziała, jakby czytała z książki. - Baza w Pierścieniach na nic by mi się nie zdała, gdybym w czasie przesłuchania powiedziała komuś, gdzie się znajduje. A z drugiej strony, nie mogłam jej tak po prostu zostawić. Musiałam mieć do niej dostęp, w razie gdybym nie została uwięziona. Musiałam wiedzieć i nie wiedzieć równocześnie.

- O czym ty mówisz? - przerwał jej Cass. - Lilo, zaczynam się...

- Sugestia hipnotyczna - mówiła dalej, jakby go nie słyszała. - Nie wiedziałam, co mnie może spotkać w więzieniu. Musiałam pogrzebać informację tak głęboko, żebym nie mogła jej sobie przypomnieć do śmierci, żebym nawet nie wiedziała, że tam jest. Nie mogłam zaufać nikomu, pozwolić, by mi dostarczył bodźca wyzwalającego, a jednak położenie bazy musiało być możliwe do odtworzenia, gdybym nie została arestowana. Musiałam więc skojarzyć bodziec z czymś, na co natykałam się mniej lub bardziej przypadkowo. I niezbyt często. Nie każdego dnia, ani nawet co tydzień. Zdarzyło mi się to trzy razy w ciągu pięciu lat. Za każdym razem starannie grzebałam to w pamięci.

- Cukrowe dzieci o czymś ci przypomniały?

Spojrzała znowu na figurki. Wybór był właściwy. Biedne stworzonka. Czy kiedykolwiek próbowały się wydostać ze swojej butelki? Kiedy układała plan, nie wiedziała, że przeżyje własną egzekucję, a natknięcie się na Posejdonie na cukrowe dzieci zakrawało wręcz na cud. Ale udało się.

- Wiem. Wiem, gdzie to jest.

Rozdział dziesiąty

Plotki krążyły od miesiąca; wreszcie miano przeprowadzić próbną eksplozję, praktyczny test jednego z typów broni do użycia w walce z Najeźdźcami. Kiedy Lila usłyszała, o jaką broń chodzi, nie chciała wierzyć. Z pewnością Tweed nie posunie się tak daleko.

Ale wkrótce ogłoszono to oficjalnie. Zaniepokojenie było powszechne, nikt jednak nie potrafił wymyślić, jak do tego nie dopuścić. Tweed miał zamiar uwolnić czarną dziurę, znajdującą się po drugiej stronie Posejdona, pozwolić jej przewiercić Jowisza na wylot, a potem siedzieć i czekać na reakcję. Na Posejdonie panowało ogólne przekonanie, że jeśli Jowiszanie odpowiedzą, Tweed nie będzie potrzebował radia, żeby ich usłyszeć. Odpowiedź pozna cały Układ Słoneczny.

Lila przedyskutowała kwestię z Niobe i Vejayem, spędzała całe godziny na rozmowach z Cathayem i Cassem. Oni również byli przerażeni. Starła się zdecydować, jaką przyjąć linię postępowania. Zdaniem Cathaya próba powstrzymania Tweeda równała się samobójstwu. Najlepsze, co mogą zrobić, to mieć nadzieję, że Najeźdźcy zignorują atak. Ostatecznie Jowisz jest dużą planetą. Być może dziura nie trafi na żadnego z nich w trakcie swej wędrówki.

Lila oponowała gwałtownie, popierana przez Niobe, Vejaya i Cassa.

- Wiesz, co ja myślę? - spytała. - Że to najlepszy moment, by spróbować przejąć Posejdona.

Czekała, aż się uspokoją. Oddychała głęboko, zdecydowana bronić swojego zdania. Gdyby zdołała przekonać ich, może przekonałaby też siebie samą. Nie chciała umierać, a to, co proponowała, nawet jej wydawało się niebezpieczne.

- Mówię wam, nie ma lepszej chwili, żeby próbować się stąd wyrwać niż teraz, kiedy jedyna alternatywa wygląda równie źle. Mam zamiar zaryzykować. A wy?

Dyskusja przeciągnęła się długo w noc i pozostała nie rozstrzygnięta. Jedyne, co udało się Liili osiągnąć, to zgodę na dalsze rozważanie zaistniałej sytuacji i zapewnienie o poparciu, jeśli przedstawi konkretny plan.

Miała plan, ale wymagał jeszcze dopracowania. Jego ostateczny kształt zależał od tego, w jaki sposób potoczą się sprawy, ale jak się wydawało, pierwszym niezbędnym krokiem było dostanie się na pokład statku, który miał ustawić dziurę w odpowiednim położeniu przed spuszczeniem jej na Jowisza. Gdyby udało się tego dokonać, mieliby dość czasu, żeby się zastanowić, w jaki sposób ukraść statek i wrócić po pozostałych.

Zagadnęła Vaffę, czy może użyć statku, by zdobyć kolejne próbki biologiczne. Przekonywała, że połączenie obu zadań ma sens. Holownik elektromagnetyczny mógłby najpierw ustawić dziurę na kursie, prowadzącym przez centrum Jowisza, a potem, po niewielkiej zmianie kierunku, umieścić zestaw instrumentów badawczych w atmosferze.

Po przedyskutowaniu tego z innymi klonami i sprawdzeniu wytycznych, dostarczonych przez Tweeda, Vaffa wyraziła zgodę. Lila oznajmiła, że będzie potrzebowała kogoś do pomocy i zaproponowała Yejaya. Yaffa natychmiast się sprzeciwiła, powołując się na jego

złą reputację. Lila szybko wymieniła Cathaya. Nie chciała, by Vaffa zaczęła podejrzewać, że planują ucieczkę.

Chociaż Tweed potrafił doskonale przewidzieć jej zachowanie, nie wiedział, jak Lila zareaguje wobec nieoczekiwanej sposobności. Jej plan polegał właśnie na tym, żeby postawić się w takiej sytuacji.

Kazała Vejayowi wymyślić sposób, w jaki Cathay mógłby zabić albo obezwładnić pilota holownika i, przy odrobinie szczęścia, przejąć kontrolę nad statkiem. Celowo nie obmyślała żadnych sposobów pozbycia się Vaffy. Nie tylko dlatego, że wydawało się to niemożliwe; była przekonana, że jakikolwiek plan ostatecznie obróciłby się przeciw niej. Sytuację należało rozegrać bez przygotowania. Powinna dostać się na statek i obserwować rozwój wypadków.

Starala się nie myśleć o tym zbyt wiele, bo cały pomysł wydawał się jej szalony.

Tweed zaskoczył wszystkich i niemal doprowadził do klęski całego zamierzenia. Gdy Lila przyniosła nowinę, co się naprawdę ma zdarzyć, konspiratorzy pospiesznie zebrałi się na radę.

- Tak to jest, jak się wierzy plotkom - powiedziała Niobe.

- Powinniśmy byli o tym pomyśleć - skarżył się Vejay. - Przecież gdybyśmy się pozbyli naszej dziury, mielibyśmy za mało energii. Zapasowy generator fuzyjny ledwie by wystarczył na nasze potrzeby.

- Sądziłam po prostu, że Tweeda to nie obchodzi - tłumaczyła się Niobe.

Tweed kupił drugą dziurę na wolnym rynku na Plutonie. Leciła na Lunę, żeby się stać dziewiątą orbitalną elektrownią, ale władze nie wiedziały, że zanim to nastąpi, planuje on przepuścić ją przez Jowisza.

Czysto, oszczędnie, jak na Tweeda przystało. Przed wykonaniem każdego ruchu przygotowywał przynajmniej dwa alternatywne plany działania. Dziura umieszczona na orbicie księżyca miała mu przynieść ogromne zyski, wystarczające na pokrycie wydatków poniesionych w związku z projektem. Potężny elektromagnetyczny holownik, trans-

Portujący ją z Plutona, miał uwolnić dziurę po jednej stronie Jowisza, zaczekać, aż przebije się przez planetę i pochwycić po drugiej stronie.

Lila zauważyła, że w dalszym ciągu można by użyć niewielkiego rakietowego skutera z Posejdoną i spotkać się z większym statkiem, kiedy będzie przelatywał obok księżyca. Vaffa przemyślał to i w końcu się zgodził. Nawet jeśli Vaffy podejrzewały jakiś spisek, nie obawiały się wypożyczyć skutera. Miał on jedną szczególną właściwość: eksplodował, jeśli znalazł się w określonej odległości od studni grawitacyjnej Jowisza. Kolejne z niezliczonych zabezpieczeń mających zapobiec ucieczkom.

Był to standardowy model, niewiele więcej niż szkielet z doczepionym silnikiem i siedzeniami. Kiedy zbliżał się do ogromnego holownika, trzy z czterech foteli zajmowały srebrzyste postaci.

Nadlecieli od przodu, pozwalając, żeby holownik zrównał się z nimi. Nikt nie chciał się znaleźć za rufą drugiego statku. Gdzieś tam, z tyłu, utrzymywana na niewidzialnych linach siły magnetycznej, znajdowała się czarna dziura o rozmiarach nie większych niż łebek od szpilki i masie średniej wielkości asteroidu. Nie byłoby dobrze zbliżyć się do niej za bardzo.

Lila analizowała wszystkie czynniki, czekając na okazję, która -o ile nastąpi - mogła trwać zaledwie ułamek sekundy. Jeden członek załogi na holowniku. Vaffa -jedynek człowiek w kontakcie ze statkiem. Domowej produkcji kapsuła z gazem ukryta w sondzie atmosferycznej, sonda przyczepiona na zewnątrz skutera. Broń Vaffy w kaburze u jego boku. Czasy i kursy: dwadzieścia minut do rzucenia lin, kiedy dziura zostanie uwolniona i statek usunie się jej z drogi, trzydzieści minut do zmiany kursu, tak aby umieścić sondę na właściwej trajektorii, żeby przeczesać jowiszową atmosferę.

Cathay miał się dostać na statek jako pierwszy - śluza przepuszczała jedną osobę na raz. Potem wszystko zależało od niego. Jeśli uda mu się zagazować pilota, trzeba będzie obezwładnić Vaffę. Może da się to zrobić przez zaskoczenie.

Kiedy znaleźli się w odległości dziesięciu metrów od holownika, Vaffa rzucił linę magnetyczną i ciasno przyholował skuter do kadłuba statku. Wszyscy troje podskoczyli, nagle uwolnieni, i zaczęli operację cumowania. Lila widząc, że Cathay zmierza w stronę, gdzie była ukryta bomba, ustawiła się tak, żeby zasłonić go przed Vaffą.

- Wiem, co chcecie zrobić - cicho odezwał się Vaffa.
- Inspekcję - odparła Lila z rozpaczliwą determinacją. - Musimy...
- Pozwól, że sam sprawdzę.

Sięgnął po laser.

Lila zahaczyła jedną nogą o skuter i rzuciła się w jego stronę. Uderzyła go głową w brzuch, aż zgiął się w pół. Zobaczyła, że Vaffa zamierza się, żeby uderzyć ją w twarz pistoletem, jego uścisk osłabł na moment. Rąbnęła go w nadgarstek i broń poleciała w przestrzeń.

- Śluza! - krzyknęła. - Do śluzy, pośpiesz się!

Nie widziała, co robi Cathay. Vaffa chciał ją uderzyć w szczękę, ale siła ciosu obróciła go i chybił. Kierował nim instykt, jednak przy braku ciężenia był to poważny błąd. Zauważył to i miał właśnie zmienić taktykę, kiedy sobie uświadomił, że zbyt się oddalił od holownika. Chwytał Lilę za stopę, właśnie w chwili gdy próbowała się złapać rozporki skutera. Szarpnął; Lila straciła uchwyt. Oboje zaczęli dryfować coraz dalej od skutera, niezbyt szybko, ale bez możliwości powrotu o własnych siłach. Chyba że...

Lila kopnęła jeszcze raz, trafiając Vaffę w szczękę. Odrzut odwrócił ją plecami do statku. Miała zamiar odepchnąć Vaffę od siebie i dzięki temu dostać się z powrotem. Ale on też dostrzegł tę możliwość i kiedy tylko przestała kopać, zaczął się po niej piąć. Jeszcze parę chwil i to on ją odepchnie od holownika.

Strząsnęła go z siebie, aż znowu trzymał ją tylko za kostkę, i nie przestawała kopać, tym razem obiema nogami. Zdawało się jej, że słyszy trzask, kiedy trafiła go piętą w zębra. Z całą bezwzględnością uderzyła w to samo miejsce drugi raz. Zgiął się z bólu i puścił ją. Unosiła się swobodnie, bardzo wolno obracając wokół osi.

Nie było się czego obawiać, pod warunkiem że Cathayowi uda się zdobyć kontrolę nad statkiem. Zobaczyła Vaffę, wirującego z szybkością jednego obrotu na sekundę, potem spostrzegła holownik. Znajdowała się około piętnastu metrów od niego; na razie trudno było powiedzieć, w jakim kierunku się posuwa.

I wtedy usłyszała, że Vaffa wzywa statek.

- Cathay! On rozmawia z pilotem. Musisz go dopaść, zanim się połączy z Posejdonem i przekaże im, co się tutaj stało, bo jak nie...

Urwała, uświadamiając sobie, że Cathay, jeśli znajduje się na statku, nie może jej usłyszeć. A jeśli nie dostał się na statek, to i tak wszystko stracone.

Upłynęły trzy długie minuty. Lila upewniła się tylko w jednym: że nie przybliżyła się do statku. Odpływała coraz dalej. Zresztą i tak nie miało to znaczenia. Naprzeciw niej rosła sylwetka Jowisza, wypełniająca niebo. Dokładnie w centrum planety tkwił holownik, zwrócony do niej rufą. Gdzieś za nią, w kierunku, w którym zmierzała, była dziura.

- Dotrzesz tam pierwszy, Vaffa - krzyknęła, nie dbając już o nic. - Jak ci się to podoba?

Przez chwilę nie było odpowiedzi. W końcu usłyszała jego głos, pełen napięcia i bólu.

- Dlaczego to zrobiłaś?

- Chyba nie umiałabym ci wyjaśnić. Ale prawie mi się udało. Może jeszcze się uda. Trzymam za to kciuki.

Odpowiedź nie nadeszła. Wydało jej się, że słyszy jęk. Parę sekund później była tego pewna. Niewyraźny dźwięk, od którego włosy jeżyły się na głowie. Zidentyfikowała go po chwili. Był to subwokalizowany krzyk Vaffy, wychwycony przez woder w jego gardle i wzmocniony. Brzmiał w nim niewypowiedziany ból. Potem cisza. Lila zmartwiła się. Chyba nie uderzyła go aż tak mocno?

- Lila? Żyjesz jeszcze? Słyszysz mnie?

- Tak, jestem! Udało ci się!

- Trochę trwało, zanim dostroiłem nadajnik do częstotliwości skafandra. Cholera, szkoda, że cię tu nie ma. Przerazają mnie te wszystkie guziki.

Godzinami kazali mu ćwiczyć na modelach zbudowanych przez Vejaya. W razie potrzeby potrafił zmienić kurs i utrzymać się na nim, dopóki nie zdarzy się nic nieprzewidzianego.

- Dasz sobie radę. Musisz odciąć dziurę i to szybko. Zdaje się, że Vaffa nie żyje; pole magnetyczne chyba zaburzyło pracę generatora jego skafandra. Nie znam się na fizyce na tyle, żeby wiedzieć, co takie pole może zrobić, ale nie brzmiało to przyjemnie. Czy mógłbyś... to znaczy, trochę się pospieszyć, rozumiesz? Nie wiem, ile mi jeszcze... - przerwała, uświadomiwszy sobie, że ulega panice.

- Momencik. Zaraz będzie po wszystkim. - Usłyszała, że mruczy coś do siebie, potem krzyknęła triumfalnie. - Gotowe. Wszystkie wskazują zero. Udało mi się?

- Zaraz się dowiem. A teraz musimy coś szybko postanowić. Żadne z nas nie chce tam wpaść do środka. Musisz trochę zwiększyć prędkość. Vejay mówił, że pole grawitacyjne dziury jest słabe nawet przy niewielkiej odległości, ale bardzo szybko rośnie, kiedy się do niej zbliżasz. Ja sobie dam radę. Ale ty musisz uratować statek, żebyśmy mogli wrócić i...

- Za późno. Nie miałem ci kiedy powiedzieć, ale pilot połączył się z Posejdonem, zanim go zagazowałem. Wiedzą, że przejeżdżamy statek. Będą na nas czekać. To nie ma sensu, Lilo.

Głos mu się załamał. Och, Boże. Vejay i Niobe, i Cass, czekający na zewnątrz w nadziei, że ona i Cathay wrócą na pokładzie holownika...

- Cathay, przewidzieliśmy taką możliwość. Wiedzą, co mają robić. Jeśli padną na nich podejrzenia, schowają się gdzieś z Cassem i przeczekają. Musimy się stąd teraz wynieść, żebyśmy mogli potem wrócić z bronią, którą da się użyć.

- Masz rację. My...

Wszystko zaczęło się dziać równocześnie. Coś jasno rozbłysło za Lila. Spróbowała się obrócić, ale zrezygnowała. To musiał być Vaffa, wciągnięty przez dziurę, zgnieciony przez potężną grawitację do stanu zdegenerowanej materii, uwalniający całą energię zgromadzoną w atomach swojego ciała w postaci promieniowania.

Jakby nie dość na tym, holownik drgnął. Wystrzeliła z niego cienka włócznia światła, odbiła się od skafandra Liii. Silniki plunęły ogniem.

Jowisz przesłonił całe niebo. Był piękny. Musiała to przyznać, choć śmierć zaglądała jej w oczy. Nawet jeśli miało to potrwać dłużej, wołała zginąć w taki sposób, niż dostać się do dziury.

Od chwili, kiedy dwie godziny temu automatyczny pilot wykonał zaprogramowany manewr (szczegóły, nie kończące się szczegóły; jak mogła je wszystkie objąć myślą?) Lilę ogarnęła paraliżująca obojętność, przekonanie, że nie uniknie śmierci. Nie znaczy to, że poddała się bez walki; wraz z Cathayem przedyskutowali wszelkie możliwe sposoby ratunku. Ale kiedy gwiazdne tło nad jej głową zaczęło się obracać, wiedziała, że jej los jest przesądzony. Rozminęła się z dziurą, nadal jednak znajdowała się zbyt blisko.

Vaffa chybił również, o włos. Został sprasowany do rozmiarów punktu, zbyt małego, by go dostrzec; zniknął w rozbłysku anihilacji. Trwało to może sekundę, potem nie było już nic.

Lila nie dotarła aż tak blisko. Dziury stanowiły zagrożenie nie tylko dlatego, że groziło wessanie do środka. Prawdopodobieństwo, że tak się stanie, było niewielkie, jeśli wziąć pod uwagę ich mikroskopijne rozmiary i ogrom przestrzeni rozciągającej się wokół. Ale samo znalezienie się w pobliżu mogło mieć tragiczne konsekwencje. Wraz ze zbliżaniem się do dziury ciężenie gwałtownie rosło. Gdyby Lila weszła na ciasną hiperboliczną orbitę, napięcia wywołane przez siły pływowe działające z różną siłą na poszczególne części jej ciała rozerwałyby ją na kawałki. Albo, gdyby znalazła się tak blisko jak Vaf-fa, zostałyby zgniecione do rozmiarów neutrino.

Miała szczęście, jednak nie dość szczęścia. Znajdowała się na tyle daleko, że nie groziła jej natychmiastowa utrata życia, ale z całą pewnością weszła na orbitę dziury.

Spokojnie przedyskutowała sytuację z Cathayem. Uważał, że osiągnie ją za pomocą skutera, póki mu nie powiedziała, co zobaczyła kiedy odpaliły silniki. Przyspieszenie wyrwało kruchy skuter z doku i zniszczyło go. Cathay zaproponował więc, że spróbuje zbliżyć się do niej, ale to nie wchodziło w grę. Nawet najbardziej doświadczony pilot nie ośmieliłby się aż tak zbliżyć do dziury.

W pewien sposób Cathay cierpiał bardziej niż Lila. Nadal musiał dokonywać wyborów, podejmować decyzje; żadna nie była łatwa. Lila powiedziała mu o tym z brutalną obojętnością kogoś, czyj los jest przesądzony.

- Nie możesz wrócić na Posejdona, nie teraz. Będą na ciebie czekać. Musisz wierzyć, że z Cassem i pozostałymi wszystko w porządku. Poleć na Saturna. Trzymaj się współrzędnych; uważaj, żebyś nie zszedł z kursu. Nadawaj na częstotliwości, którą ci podałam. Mało prawdopodobne, żeby Parameter oddaliła się za bardzo od bazy, nawet przez rok. Ja też gdzieś tam będę. Musisz znaleźć nas obie. Parameter ci pomoże. Masz holownik, broń jakoś zdobędziesz. Wtedy wróć po dzieci. Wróć, Cathay.

- Dobrze. Jeszcze chwilę. Nie mogę cię tak zostawić.

- Musisz. Nie chcę, żebyś mnie słyszał, kiedy... kiedy przyjdzie koniec. Nie chcę.

Czuła, jak pod cienką warstewką pozornego spokoju narasta w niej panika; starała się nadać głosowi rozkazujące brzmienie.

- Ruszaj. Zrobiłeś wszystko, co mogłeś.

Dopiero kiedy poczuła lekki ucisk na plecach, zaczęła się zastanawiać jak zginie.

Opadała łukiem, jak meteor, w jowiszową atmosferę, chroniona przez skafander. Otoczył ją pomarańczowy blask, tak jasny, że nie widziała nic więcej. Przestała się obracać, siła aerodynamiczna usta-

wiła ją plecami do planety, z rękami i nogami wyciągniętymi przed siebie. Spadała coraz wolniej; wiedziała, że z powodu sztucznego płuca, tłoczącego tlen do jej krwi, czekają długa śmierć.

Skafander zrobił się sztywny. Wrażenie, że coś próbuje jej wyrwać ręce i nogi ze stawów minęło. O tym, że nadal się porusza, świadczyło jedynie uczucie, jakby żołądek przykleił się jej do pleców. Niewidzialna siła rozciągała skórę na jej twarzy na boki, piersi szukały schronienia pod pachami.

Nie wiedziała, jak długo to trwało. Prawdopodobnie na krótki czas straciła przytomność, ale nie pamiętała ani chwili, kiedy zemdlała, ani momentu przebudzenia. Nacisk ustąpił. Osiągnęła prędkość graniczną dla górnej warstwy atmosfery, opadała teraz jedynie pod wpływem siły ciężenia, niemal nieważka. Rozejrzała się w poszukiwaniu dziury; powinno być widać wpadające do niej gazy. Potem przypomniała sobie, że atmosfera nie spowolniła ruchu dziury w najmniejszym stopniu; do tej pory powinna się znajdować w połowie drogi przez wnętrze planety. A więc to Jowisz ją zabije.

Powietrze było przezroczyste, wokół piętrzyły się chmury. Od czasu do czasu gwałtowne podmuchy wiatru szarpały nią na boki.

Miała wrażenie, że czas się zatrzymał. Z początku, ulegając staremu nawykowi, zastanawiała się, jak długo potrwa, zanim dotrze do ciemnych chmur w dole, jaka temperatura panuje na zewnątrz, w którym momencie gęstość gazów sprawi, że zamiast spadać będzie się wśród nich unosić. Potem już tylko patrzyła. Widok zapierał dech. Skoro i tak ma umrzeć, mogła trafić gorzej niż zginąć samotnie, w takim otoczeniu.

Nie trwało to długo. Zanurzyła się w warstwę chmur i widoczność spadła do zera. Ledwie mogła dostrzec własną srebrzystą dłoń, którą trzymała tuż przed twarzą, żeby mieć pewność, że ciągle jeszcze żyje. Zastanawiała się, czy można umrzeć i nawet tego nie zauważyć.

Fakt, że jej umysł nie chce przestać pracować, zaczynał ją drażnić. Nic nie widziała i nie mogła nic zrobić, więc na nowo podjęła

rozważania. Co ją zabije? A może będzie żyć, dopóki nie wyczerpie się zapas tlenu? To by była lekka śmierć; stopniowo tracić świadomość, zasnąć i nie obudzić się więcej.

Pomyślała o zaworze skafandra, metalowym kwiatku pod obojczykiem, przez który dwutlenek węgla i ciepło wydostawały się z jej ciała. Wykonano go z bardzo odpornego metalu, ale mógł się przecież stopić, zatkać - cokolwiek. Wtedy śmierć byłaby szybsza - i prawdopodobnie bardziej bolesna. Tak czy inaczej, nie miała na to najmniejszego wpływu. Na myśl, że mogłaby nie dotrzeć do warstwy płynnego wodoru, poczuła ukłucie żalu. To z pewnością widok godny zobaczenia.

Potem stwierdziła trzeźwo, że widoczność byłaby pewnie równie kiepska, jak w tych zakichanych chmurach, w których się znalazła.

Wychyła z warstwy obłoków. Poniżej rozciągała się rozległa, zamglona przestrzeń. W dodatku, mimo chmur w górze, było o wiele jaśniej, niż się spodziewała.

Z jakiegoś powodu strach powrócił z paraliżującą siłą. Nie mogła go opanować w żaden sposób. Część jej umysłu jeszcze raz rozważyła położenie, dochodząc do wniosku, że nie ma szans na przeżycie, ale nie chciała się z tym pogodzić.

Znowu straciła przytomność, a może tylko zdolność jasnego rozumowania. Chmury znajdowały się teraz o wiele bliżej, mieszanina szkarłatnych i fioletowych kształtów obrzeżonych jasnymi iskrami - (*białe, o szarych postrzępionych spodach*) - kłębiących się i wijących niby kocioł pełen węgorzy elektrycznych.

Poniżej ledwie rozróżnialne, złociste kształty rzucały się w dół z brzegu chmur - (*nade mną, unosi się na błękitnym niebie*) - w bardziej przejrzyste powietrze, potem znowu znikwały we mgle. Prawie na pewno były to żywe istoty. Lila zastanawiała się, czy są to Najeźdźcy, przedstawiciele inteligentnego gatunku z Jowisza, a może po prostu jakieś zwierzęta.

(Ziemia pode mną była miękka, ustępliwa. Nabrałam jej w dłoń; przesypała się między palcami. Piasek. Wtulilam się weń

głębiej, chciałam się ukryć. Wiatr chłodził mi ciało, pędził nade mną białe chmury po błękitnym niebie. Z chmury rzucił się w dół złocisty kształt) - i znowu na wybrzeże z chmur. Zbliżały się coraz bardziej. Lila odzyskała spokój, obojętnie zastanawiała się, czy chcą ją pożreć. Oczy bolały ją od patrzenia...

(Z lewej, potem z prawej, oddalał się ode mnie, nagle... Au! Zrobiłam zęza, zaczęła mnie boleć głowa. Ukryłam twarz w dłoniach, z ulgą powitałam ból, kiedy wcierałam w twarz drobny żwir. Tarzałam się w piasku, znowu, i jeszcze raz; twardy grunt, wilgoć) -wznosił się, zmierzał prosto w jej stronę. Jej oczy nie potrafiły określić kształtu. W środku - o ile można powiedzieć, że istota miała środek - był otwór, przez który Lila dostrzegła drzewo - (drzewo) -czuła ziarenka piasku w ustach, i wodę - (przelewała się nade mną, toczyła mnie, ciągnęła za sobą, wypełniała usta i nos) - sól i piach, i ogłuszający huk. Zagubienie, czas biegnący gdzieś obok, narastające w żołądku mdłości...

Stałam wśród fal zataczając się jak pijana; naga, ociekająca wodą, oszołomiona. Zrobiłam krok i upadłam, kiedy ziemia usunęła mi się spod nóg. Na czworakach wymiotowałam w spienioną wodę. Zaczęłam sięczołgać przed siebie, otumaniona, skupiając całą uwagę na mokrych pasmach włosów zwieszających się przed moimi oczyma, kołyszących się tam i z powrotem. Patrzyłam na swoje dłonie chwytające piasek, jakby należały do kogoś innego.

Słońce zachodziło. Była to najpiękniejsza rzecz, jaką Lila widziała w swoim życiu.

Skuliła się pod stertą gałęzi, przyciskając kolana do piersi. Wiatr dmuchał znad oceanu, przejmował ją zimnem. Lila szczękała zębami. Groziło jej, że zamarznie, zanim nadejdzie świt; nie miała pojęcia, jak temu zaradzić.

Nie potrafiła sobie przypomnieć, w którym momencie usławiła sobie, że żyje, że nie jest w zaświatach. Wiele godzin przeleżała

na piasku, obojętna; jej umysł wypełniało zbyt wiele niepojętych zdarzeń. Racjonalizm wracał stopniowo, ostrożnie, gotów wycofać się w każdej chwili.

Pomogło jej zimno. Pod wpływem niewygody musiała wziąć się w garść, wczłogać pod osłonę mizernego drzewa, zwinąć w kłębek dla ochrony przed chłodem.

Patrząc na ocean, z zachodzącym słońcem za plecami, uświadomiła sobie, że wie, gdzie jest. Jedna po drugiej weszły gwiazdy; migotały słabo. A więc mrugały naprawdę, nie tylko w bajkach.

Zapadła noc. Po długich godzinach zimna i narastającego głodu Lila zobaczyła, jak coś wznosi się nad powierzchnią oceanu. Luna.

Siedziała na skraju kontynentu północnoamerykańskiego, patrząc na Atlantyk.

Teren był płaski. Od kilku godzin szła na południe wzdłuż plaży. Raz zapuściła się kilkaset metrów w głąb łądu, ale grunt był tu podmokły i ugiął się pod nogami, a chmury owadów zrywały się do ataku. Jej skórę pokrywały ślady ukąszeń.

Jak dotąd nie układała żadnych planów, po prostu szła przed siebie. Miała nadzieję, że uda się jej znaleźć schronienie i rośliny nadające się do jedzenia. Obejrzała dokładnie jakieś zielone jagody i brązowe wodorosty, spróbowała ich, po czym ruszyła dalej. Musiałaby być znacznie bardziej głodna, żeby się zmusić do ich przełknięcia. Odsuwała od siebie myśl, by chwycić zwierzęta. Mięso, które jadła dotychczas, pochodziło zawsze ze zmutowanych roślin. Nie przyszło jej do głowy, że jej wysiłki mogą się skończyć niepowodzeniem. Jakaś częścią umysłu nadal wierzyła, że to disneyland pod powierzchnią Luni. Łatwo byłoby w to uwierzyć, gdyby nie zwiększony ciężar. Kostki i łydki pulsowały jej od obciążenia i ciągłego potykania się w piasku.

Plaża skończyła się; na zachodzie majaczył brzeg dużej zatoki. Lila usiadła na piasku i patrzyła ponad wodą na łąd po drugiej stronie. Zbyt daleko, żeby płynąć. Musiała się zdecydować, co zrobić:

wrócić po własnych śladach, czy też wędrować dalej wzdłuż wewnętrznego brzegu zatoki. Z miejsca, gdzie się znajdowała, nie potrafiła ocenić, czy rzeczywiście jest to zatoka, czy też znalazła się na wyspie.

Z zaskoczeniem uświadomiła sobie, jak bardzo jest zmęczona. Było jej gorąco, kręciło się jej w głowie. Piasek wydawał się niezwykle miły w dotyku, kiedy się na nim wyciągnęła; ułożyła się na boku, żeby osłonić twarz od słońca. W parę minut zapadła w sen.

Obudził ją ból, jakiego nie zaznała nigdy w życiu.

Z krzykiem zerwała się na nogi. Zdawało się jej, że płonie, rozpaczliwie starała się ugasić ogień. Ale kiedy dotknęła skóry, ból stał się jeszcze większy.

Nic w dotychczasowym życiu nie przygotowało jej na to. Kiedy parę razy zdarzyło się, że się zraniła, ból łatwo było ukoić; stacje pierwszej pomocy znajdowały się na każdym rogu. Po piętnastu minutach, kiedy palenie nie ustępowało i nie zmniejszało się, wpadła w histerię. Jak szalona biegła na oślep wzdłuż plaży, póki nie upadła.

Po dłuższej chwili zauważyła, że chociaż cierpi tak samo, jak przedtem, potrafi to znieść. Usiadła, otarła łzy i przyjrzała się swojemu ciału. Od ramion po kostki była czerwona jak rak. Oparzenie słoneczne pierwszego stopnia; spaliła sobie całą skórę na plecach.

Nie spodziewała się, że na Ziemi może ją spotkać coś podobnego. Atmosfera powinna działać jak filtr przeciw promieniom ultrafioletowym, jak inaczej mogłyby przetrwać żywe organizmy? Nigdy wcześniej nie potrzebowała się zastanawiać nad szkodliwymi skutkami promieniowania słonecznego. Zawsze dotychczas, kiedy miała z nim do czynienia, znajdowała się albo w skafandrze, albo za osłoną z plastyku w miejskim solarium.

Uświadomiła sobie, jak wiele będzie się jeszcze musiała nauczyć.

Grunt był teraz mniej bagnisty. Przez jakiś czas szła plażą wzdłuż skraju zatoki, jednak kiedy brzeg zaczął skręcać, zdecydowała się ru-

szyc w głąb ładu. Nad wodą nie było nic do jedzenia; liczyła, że na ładzie bardziej jej się poszczęści.

Zauważyła, że kiedy posuwa się na północ - o ile była w stanie określić kierunki świata - nie napotyka większych przeszkód. Gdy skręcała na wschód albo na zachód, drogę przegradzały głębokie parowy. Drzewa i krzewy zasłaniały widok, więc dopiero kiedy wspięła się na niewielki pagórek i rozejrzała, uświadomiła sobie, że znajduje się w ruinach miasta. Szła wzdłuż szerokiej ulicy. Po obu stronach w równych rzędach ciągnęły się zagłębienia, w większości zarośnięte jeżynami i do połowy wypełnione wodą. Niegdyś stały tu domy; teraz nie zostało nic prócz piwnic o nachylonych ścianach.

Zniszczeń dokonano metodycznie, ale niezbyt dokładnie. Pozostały ślady na wpół zagrzebanych w ziemi konstrukcji z betonu i nierdzewnej stali. Znalazła nawet skręcony fragment miedzianej rury wystający dwa metry nad powierzchnię.

Wędrowała przez cały dzień. Na godzinę przed zachodem słońca dotarła do miejsca, gdzie zatoka zwężała się, stawała się podobna do rzeki. Lilę zdumiewało, jak mało potrafi powiedzieć o miejscu, w którym się znalazła i które przemierzyła. Tereny po drugiej stronie rzeki przypominały to, co już widziała. Były oddalone nie więcej niż o kilometr, ale jak daleko ciągnęły się, nie wiedziała. Nie potrafiła powiedzieć, czy bliższy ład jest wyspą, czy odnogą dalszego wybrzeża.

Pośrodku rzeki leżały dwie wysepki, z całą pewnością dzieło człowieka. Przyglądając się uważniej pagórkowi, na którym stała, odkryła fragmenty muru. W przeszłości brzegi rzeki musiał łączyć most, była tego pewna.

Zeszła ze wzgórza i okrążyła je w nadziei, że uda się jej znaleźć wejście do jakiegoś ukrytego pomieszczenia. Ściemniało się, a nie chciała nocować pod gołym niebem. Spotkało ją jednak rozczarowanie.

Wielki cętkowany kot przyglądał się jej z góry, spośród gałęzi drzewa. Nie licząc mew i krabów, było to jedno z pierwszych zwierząt, z jakimi się zetknęła. Lila wiedziała coś niecoś o zwierzętach,

ale tego akurat nie pamiętała. Przypominał trochę jaguara, ale miał rozmiary afrykańskiego lwa. Odwróciła się plecami i ruszyła przed siebie.

Coś kazało się jej obejrzeć.

Dostrzegła kota kątem oka, potem wprost przed sobą. Był na ziemi, pędził w jej stronę z niewiarygodną prędkością. Jego głowa rosła w oczach. Otworzył pysk i skoczył.

Potem wszystko potoczyło się dla niej zbyt szybko. Pamiętała odgłos uderzenia, gdy zwierzę skoczyło, przewracając ją na ziemię. Zamazany obraz kota, sięgającego pyskiem do tylnej nogi, krew tryskająca z rany wokół drewnianej włóczni. Zwierzę zerwało się do ucieczki, Lila zrobiła to samo. Następne, co pamiętała, to że siedziała na drzewie trzy metry nad ziemią, z zakrwawionymi rękami.

Na ziemi jakiś człowiek walczył ze zwierzęciem, które chwyciło go zębami za rękę, mężczyzna raz po raz uderzał toporkiem, aż kot osunął się bezwładnie. Człowiek wyprostował się, spojrzał na Lilę, potem na swoją rękę i kota, rzucającego się w ostatnich drgawkach, z rozplataną głową. Lila ostrożnie zsunęła się z drzewa.

- Ależ ty jesteś jeszcze mały! - powiedziała zdumiona. Patrzył na nią niespokojnie, najwyraźniej nie rozumiejąc. Ogarnęły ją wątpliwości, czy rzeczywiście jest dzieckiem.

Był niski, nie miał nawet dwóch metrów wzrostu. Przeszedłby swobodnie pod jej wyciągniętym ramieniem. Miał jasne włosy, skąpy skórzany strój i buty. Wytężyła pamięć, próbując sobie przypomnieć starożytne typy ludzkie; w końcu zdecydowała, że jest Skandynawem. Miał pociąglą twarz i wysokie czoło.

- Dziękuję za ratunek - powiedziała. - Nie rozumiesz, co mówię, prawda?

Podniósł głowę, żeby na nią spojrzeć i uśmiechnął się. Z przodu brakowało mu trzech zębów.

- Jak żyję nie widziałam kogoś równie brudnego, jak ty - ciągnęła. - Może z wyjątkiem mnie samej.

Starła się, że by jej głos brzmiał przyjacielsko, zresztą naprawdę nie czuła przed nim obawy. Zastanowiła się czy słusznie i cofnęła o krok. Zdążyła popełnić dwa błędy, ze słońcem i z kotem, i nie chciała popełnić trzeciego. Próbowwała sobie przypomnieć cokolwiek o plemionach zamieszkujących Starą Ziemię. Nieliczne okruchy wiadomości nie zawierały nic, co by ją mogło przekonać, że powinna mu ufać.

Teraz on coś powiedział; Liii zdawało się, że rozpoznała kilka słów. Kiwnął głową i uśmiechnął się szeroko, po czym wykonał parę gestów, których nie rozumiała, póki nie zaczął wskazywać na słońce.

Posługiwał się łamanym amerykańskim; prawdopodobnie wspomniał o nadchodzącej nocy. Lila była zachwycona. Podobno amerykański pochodził od angielskiego, a może odwrotnie? Lila nie studiowała historii. Wiedziała jednak, że język ogólnoukładowy, którego sama używała, jest mieszaniną angielskiego i rosyjskiego. Uznała, że nauczy się porozumiewać z tym mężczyzną.

Zdecydowała się pójść za nim, żeby się przekonać, czy ma jakieś pożywienie i schronienie, którym mógłby się z nią podzielić. Ciągle musiała sobie przypominać, że powinna być ostrożna, szczególnie jeśli zamieszkiwał z podobnymi sobie ludźmi. Jednak w gruncie rzeczy nie posiadała instynktu, który kazałby jej obawiać się obcych. Sama myśl, że mógłby ją zaatakować, wydawała się tak absurdalna, że szybko o niej zapomniała.

Zaprowadził ją do ukrytej grotty. Do środka wchodziło się po betonowych schodach ukrytych pod zasłoną krzewów, wewnątrz było przestronne, o równej podłodze. Z początku sądziła, że znalazła się w piwnicy, której strop ocalał, ale kiedy rozpałił ogień, bez trudu poznała, co to za miejsce: na Lunie do tej pory budowano podobne stacje szybkiej kolei podziemnej.

Zastanawiała się, czego może się spodziewać po mężczyźnie. Jej wiedza o zwyczajach i trybie życia prymitywnych plemion była prawie żadna. Przypominała sobie jakieś opowieści o tym, jak to w daw-

nych czasach, zanim powszechne zmiany płci wyeliminowały cały problem, kobiety zajmowały w społeczeństwie zupełnie inną pozycję niż mężczyźni. Zastanawiała się, czy będzie chciał z nią kopulować. A może uzna, że ma do tego prawo? Obiecała sobie, że w tym wypadku wytłumaczy mu, jak bardzo się myli.

Wyglądało jednak, że raczej trochę się jej obawia. Ciągłe zerkał na futerko porastające jej łydki, a kiedy wstała, wpatrywał się w nią z otwartymi ustami. Lila wkrótce odkryła, że rana sprawia mu ból. Obejrzała ją uważnie; nie protestował, a kiedy uśmiechnęła się, żeby mu dodać odwagi, odpowiedział uśmiechem. Rana nie wyglądała groźnie - cztery głębokie ślady po zębach i parę rozcięć o poszarpanych brzegach.

Raz jeszcze musiała upomnieć samą siebie. Na Lunie podobna rana byłaby zupełnie niegroźna. Tutaj mogło upłynąć wiele dni, zanim się zagoi.

Miał na imię Makel i pięć dni później już nie żył.

Rana się nie zagoiła. Opatrywał ją używając wody i różnych ziół i maści, ale z dnia na dzień wyglądała coraz gorzej. Zaczęła cuchnąć.

Lila przeklinała własną głupotę. Ale myśl, że należy zachować sterylne warunki nie przyszła jej nawet do głowy. Podobnie jak nie podejrzewała o mordercze instynkty dzikiego kota, który jej omal nie zabił. Luna od samego początku była wolna od wszelkich zarazków. Gumowe rękawiczki, maski chirurgiczne - nawet przegotowana woda, której mogłaby użyć do opatrunku - były zupełnie nieznanymi dla lunariańskiego lekarza.

Makel do ostatnich dni pozostał pełen wigoru, ignorując rozprzestrzeniającą się infekcję. Codziennie wyruszał na polowanie, Lila szła razem z nim. Nie miała czasu nauczyć się od niego zbyt wiele, ale poznała parę podstawowych zasad. Trzeba było zachowywać nieustanną czujność. To był obcy świat, gotów ją zabić przy pierwszej okazji. Dowiedziała się, które owoce i jagody są jadalne, które korzonki można wykopywać.

Pod koniec złała go gorączka. Lila siedziała przy nim, ocierając mu pot z czoła, podając wodę, kiedy o to prosił. Przebierała go i kąpała. Odkryła przy okazji, że jej pierwsze wrażenie było słuszne. Nie był mężczyzną, ale nie był już również dzieckiem. Musiał mieć niewiele ponad dziesięć lat.

W środku nocy odkryła, że jego ciało jest zimne. Nie wiedziała nawet, od jak dawna nie żył.

Tuliła do piersi jego głowę i kołysała się w przód i w tył, cicho płacząc. Pierwszy raz zetknęła się ze śmiercią. Powtarzała sobie, że to nie jej wina, ale nigdy nie uwierzyła w to do końca.

Rozdział jedenasty

Złote. Wszystko było złotożółte.

Unosiłam się w zamglonym świetle, obojętna na wszystko z wyjątkiem barwy. Płyn zaczął wyciekać ze zbiornika; sucha, unosiłam się nadal w powietrzu.

Nadszedł niespodziewany wstrząs, uświadamiając mi istnienie szesnastu źródeł przeszywającego bólu, ostrych jak igły; moje ręce i nogi drgały konwulsyjnie, ale serce nie zaczynało bić. Znajome uczucie: uderzyłam się w kolano.

Kolejny wstrząs i moje serce zaczęło pompować krew. Żyłam — nareszcie. Wolalabym umrzeć, niż przeżyć kolejny wstrząs. Wzięłam głęboki oddech i zaniiosłam się męczącym kaszlem. Głową uderzyłam w pokrywę zbiornika, dotknęłam bolącego miejsca zimnymi rękami i zobaczyłam, że są pokryte krwią. Trochę krwi dostało mi się do lewego oka, zabarwiając żółcień na różowo.

Pokrywa odskoczyła z wilgotnym sykiem gumowych uszczelek. Byłam przewiązana w pasie taśmą, nieporadnie gmerałam przy niej, czując jakbym zamiast dłoni miała nadmuchane gumowe rękawiczki. Kiedy siedziałam tak, rozmasowując pomarszczone od wody stopy, reszta moich zmysłów powoli się budziła,

sprawiając, że zrobiło mi się niedobrze. Żalowałam, że nie mogę wypluć własnego języka.

*Opuszki palców i podeszwy stóp wydawały się stare, zmu-
mifikowane. Mrużąc oczy, ocierając krew, próbowałam skupić wzrok i
rozejrzeć się po pomieszczeniu...*

- Kto ty jesteś, do diabła'?

Pomieszczenie było niewielkie, nie przewidziano, że zamieszkają w nim trzy osoby. Na szczęście znajdowali się w stanie nieważkości i nikt nie musiał siedzieć, nawet Lila, tak słaba, że przy normalnej grawitacji nie miałyby sił podnieść ręki. Unosiła się, grzejąc dłonie o tubkę z rosółem. Popijała go niewielkimi łyżkami. Wiedziała już, co jej grozi, kiedy próbuje pić szybciej.

- Chyba się znowu przez was pogubiłam - powiedziała ze znu-
żeniem. Marzyła tylko o tym, żeby z powrotem zasnąć. W głowie jej
pulsowało, głosy brzmiały niewyraźnie. - Który to rok mamy, waszym
zdaniem?

Cathay westchnął; zirytowało to Lilę i sprawiło, że jeszcze mniej
chciała wierzyć w jego opowieść. Ta historia była dostatecznie nie-
prawdopodobna i bez przekonywania, że jej zmarły klon kochał tego
faceta.

Parameter mówiła dalej z nieskończoną cierpliwością.

-Jest rok 571, miesiąc koziorożec. Aresztowano cię trzy lata temu w
strzelcu, a stracono rok później. To znaczy, zgodnie z tym, co mówi
Cathay, stracono twojego klona. Prawdziwa Lila żyła jeszcze przez
krótki czas, po czym też zginęła. Drugi klon, który musiał być gotowy
wcześniej, jeśli czas ma się zgadzać...

- To standardowa procedura Tweeda - wtrącił Cathay.

-Właśnie. Drugi klon, tak jak i oryginalna Lila, został zastrzelony
podczas próby ucieczki. Trzeciego wysłano na Jowisza, gdzie spotkał
Cathaya i został...

- Tak, tak, ten kawałek bardzo dobrze pamiętam - przerwała Lila.

Najzwyczajniej w świecie nie chciała słuchać, jak ktoś powtarza kolejny raz, że została zabita. Szczegóły przygód jej klona na Posejdonie wydawały się jej mętne. Później będzie czas się tym zająć.

- No dobrze, więc dlaczego... Chyba powinnam się była obudzić wcześniej? Co się stało?

Parameter milczała; zdawało się, że wyczuwa, jak bardzo Lilę poruszyła cała opowieść.

- Może powinnaś trochę odpocząć, zanim usłyszysz resztę.

Lila podniosła wzrok. Parameter/Solstice wyglądała dosyć zabawnie, przypominała figurkę człowieka ulepioną przez jakieś dziecko z zielonej plasteliny. Jediną widoczną częścią ciała Parameter były jej usta, które Solstice pozostawiła odkryte, żeby jej partnerka miała możliwość porozumiewania się z innymi. Miała szerokie biodra, wąską talię i była całkowicie pozbawiona szyi; ciało Solstice okrywało głowę i ramiona. Lili to zupełnie nie śmieszyło. W przeciwieństwie do większości ludzi odczuwała lekką obawę przed doskonale harmonijną parą.

- Nie, mów dalej. Później odpocznę. Ale dzięki.

- Doskonale. Jesteś klonem; wiedziałaś o tym i spodziewałaś się tego. Ale nie klonem, który zostawiłaś tutaj siedem lat temu, kiedy zakładałaś stację. Tamten umarł.

-Jak to? Dlaczego?

-Jesteś pewna, że chcesz słuchać dalej? Widzę, że bardzo to przeżywasz.

Lila marzyła, żeby wreszcie zasnąć, ale chciała dowiedzieć się wszystkiego. Musiała mieć jasny obraz sytuacji, bez względu na to, jak przerażająca mogła się ona okazać.

- Naprawdę nie wiem, dlaczego. Był już martwy, kiedy przybyły śmy tutaj. Uprzedzałaś, że to się może zdarzyć, ale nie powiedziałaś, co robić w takiej sytuacji. Przypomnialiśmy sobie nasze dyskusje z tobą i zdecydowaliśmy się ciebie ożywić. Problem polegał na okrelu, co to oznacza. Uznałyśmy, że mamy obowiązek wyhodować

kolejnego kłona. Nie wiedziałyśmy za bardzo jak obsługiwać twoje urządzenia, więc budzenie nie poszło najlepiej...

- Ależ skąd, w porządku. Biorąc wszystko pod uwagę, poradziłyście sobie świetnie. Więc ja jestem drugim. Policzmy, razem z trzema wyhodowanymi na Lunie i moim oryginalnym ciałem, to będzie...

- Niestety, nie - przerwała Parameter. - Zanim zabrałyśmy się za stwarzanie kolejnego kłonu, dokładnie przestudiowałyśmy cały problem, ale musiałyśmy się jeszcze wiele nauczyć w trakcie. Drugi klon się nie udał. Umarł, kiedy próbowałyśmy go przebudzić. Ty jesteś trzecia. Cathay nam pomógł. Przyleciał trzy miesiące temu.

- A do tej pory na pewno kolejny klon jest już w drodze na Po-sejdona - dodał Cathay.

Lila pochylała się nad konsolą komputera. Od obudzenia minęło pięć dni, fizycznie czuła się o wiele lepiej. Specjalne ćwiczenia wzmocniły jej mięśnie, wiedziała jednak, że nadal daleko jej do szczytowej formy.

W kapsule zrobiło się okropnie ciasno. Nie z powodu Parameter/Solstice, która wydawała się całkowicie zadowolona, stojąc cały dzień w jednym miejscu; nie musiała się poruszać tylko po to, żeby być w ruchu. Zupełnie inaczej niż Cathay.

Lila czerpała przewrotną satysfakcję z faktu, że go nie lubi. Wstrząsnęło ją, kiedy jej opowiedział o metodach, za pomocą których Tweed zapewniał sobie lojalność swoich podwładnych. Nieprzyjemnie było usłyszeć, że jej zachowania można tak łatwo przewidzieć. Ale tamta Lila lubiła tego mężczyznę, w każdym razie on tak twierdził. Może go nawet kochała. Dobrze, ale to nie znaczy, że ona też musi.

- Czy moglibyśmy porozmawiać trochę dłużej? - zapytał cicho. - To niczego nie rozwiąże, jeśli się będziesz dalej zachowywać w taki sposób.

-Jeśli o mnie chodzi, nie ma czego rozwiązywać.

Siadła do komputera pod pretekstem, że chce się dowiedzieć, co poszło nie tak z pierwszymi dwoma klonami. Była zbyt rozdrażniona, żeby się skupić na cyfrach przepływających przez ekran monitora, jednak nie wstawała z miejsca, bo dzięki temu mogła pozostać odwrócona plecami do Cathaya.

- Widzę, że nie zmienisz zdania - w jego głosie zabrzmiało znużenie równie wielkie jak to, które sama czuła. Ułagodzona, zdała sobie sprawę, że jemu też musi być ciężko. Pamiętał tamtą Lilę, przyjaźnił się z nią, zanim zginęła. Teraz, za jej sprawą, wszystko wyglądało inaczej.

- Nie zmienię. Nie dałeś mi wyboru, bo...

- Mamy szansę uratować ludzi, którzy wiele dla ciebie znaczyli... Przepraszam. Znaczyliby, gdybyś ich poznała.

- Do diabła z tobą, to samo można powiedzieć o połowie ludzkości! Pomyśl tylko, o co mnie prosisz! W porządku, może to zabrzmieć bezwzględnie, ale oni wszyscy nic mnie nie obchodzą, i tyle.

- Twój klon też nie? Do tej pory mają już kolejnego.

- Owszem - wyszeptła z pasją. - Nie dasz mi o tym zapomnieć, prawda? Ale ona to nie ja. Nie mam wobec niej większych zobowiązań, niż wobec pozostałych. Żał mi jej. Ale szczerze mówiąc, skóra mi cierpnie na myśl, że mogłabym ją spotkać.

Z powrotem odwróciła się do konsoli i wzięła głęboki oddech. W porządku, pomyślała, dam mu jeszcze jedną szansę. A potem, jeśli nie przestanie o tym gadać, jego tyłek wylądjuje na zewnątrz.

- Przyznaję, podoba mi się pomysł, żeby porwać księżyc i wynieść się z tego cholernego Układu. Jest obłąkany, ale dostatecznie radykalny, żeby rozwiązać wszystkie moje problemy. Jeśli się uda. A nie potrafisz mi podać żadnego argumentu, że tak będzie. Chcesz, żebym naraziła własne życie (a nieźle się namęczyłam, żeby je zachować) dla najbardziej szemranego interesu, o jakim kiedykolwiek słyssałam. Przekonaj mnie, że jest inaczej.

Cathay milczał. Zawsze spuszczał wzrok, kiedy dochodziła do tego miejsca; to oznaczało, że się z nią zgadza.

- Nie spierani się o to, czy napęd będzie działał. Wiem, że działał w przeszłości. Mówię o tych strażnikach, których mi opisywałeś, o tych całych Vaffach... o tuzinie Vaff... monstrach, które udają isto ty ludzkie.

Nie mogła mówić dalej. Sytuacja na Posejdonie napelniała ją niepohamowaną odrazą. Nabrała głęboko powietrza, żeby uspokoić nerwy.

- Powiedz mi, w jaki sposób poradzić sobie z Vaffami i uruchomić napęd. Wtedy będę się zastanawiać nad twoją propozycją.

- Tamta Lila... - Cathay zawahał się. - No więc ona wspominała coś o laserach. Gdybyśmy zaatakowali Vaffy wewnątrz, kiedy ich skafandry nie są włączone...

- Nigdy nie strzelałam z czegoś takiego. A ty?

- Też nie - przyznał zgnębiony.

Podniósł na nią wzrok. Jego spojrzenie mówiło, że nie jest tą Lila, którą znał. No cóż, od wielu dni próbowała go o tym przekonać. Po paru minutach nieprzyjemnej ciszy wstał i wyszedł na zewnątrz, żeby przez chwilę być sam.

-Ja strzelałam - odezwała się niespodziewanie Parameter.

- Naprawdę? - zdziwiła się Lila. Zastanawiała się, co skłoniło Parameter, żeby się włączyć do dyskusji. Rzadko odzywała się bez powodu. -Jesteś dobrym strzelcem?

- Znakomitym - odpowiedziała Solstice. Kiedy Solstice używała strun głosowych Parameter, głos brzmiał niżej. Wydawało się to bardzo dziwne, zanim się do tego przywykło. - Nigdy nie chybiam. Mam szybszy refleks i lepszą ocenę sytuacji niż ludzie.

- Wiem. Ale to nic nie zmienia. Byłabyś w stanie zabić wszystkich strażników, zanim cię dopadną?

-Nie.

- No właśnie. Nie damy rady, jest nas zbyt mało. Idę o zakład, że każdy z tych potworów strzela prawie tak dobrze, jak ty. A ze mnie i Cathaya nie byłoby żadnego pożytku.

-Aha.

Para umilkła, ale Lila podejrzewała, że obie połowy dyskutują ze sobą. Ciekawe, do jakich wniosków dojdą. Nie rozczarowała się.

- To się da zrobić - odezwała się Parameter.

- Tak? Przed chwilą mówiłaś, że walka jest beznadziejna.

- Nie mówiłyśmy nic podobnego. Stwierdziłyśmy, że nie wygramy walki przy użyciu laserów. Wymyśliłyśmy inny sposób. My, oczywiście, nie lecimy z wami. W przestrzeni międzygwiazdnej nie ma nic takiego, co mogłoby zainteresować parę. Za mało światła słonecznego.

- Niewątpliwie - westchnęła Lila i przeczesała palcami włosy. Skrzywiła się i zaczęła rozmasowywać ramię. W dalszym ciągu miewała skurcze mięśni i napady osłabienia.

- Cóż, prawdę mówiąc, to rozwiązanie najbardziej mi się podoba. Zastanawiałam się nad... nad znalezieniem sobie pary i przeniesieniem do Pierścieni. Właściwie po to założyłam tę stację. Ale teraz, kiedy się to już stało... to znaczy, kiedy już żyję w sklonowanym ciele...

- Boisz się - dokończyła Parameter. - Nic dziwnego.

- Przykro mi.

Parameter roześmiała się.

- Nie ma powodu. Zdążyłam się przyzwyczaić, że większość ludzi boi się połączenia.

- Naprawdę miałam zamiar...

- Ale niedostatecznie to przemyślałaś. Nie, to nie dla ciebie. Czy raczej, mogłoby być dla ciebie, ale nigdy nie zobaczysz tego w taki sposób. Wiedziałam od dawna.

Lila zdała sobie sprawę, że Parameter ma rację. Trzeźwo spojrzała na całą sytuację. Przy całym wysiłku, jaki podjęła umieszczając stację w rejonie Pierścieni, żeby zapewnić sobie szansę przeżycia na wypadek, gdyby złapano ją na prowadzeniu nielegalnych eksperymentów, nie zastanawiała się poważniej, dokąd się uda po swoim

ożywieniu. Zadowalała się mglistymi projektami rozpoczęcia życia w Pierścieniach jako para. W Pierścieniach nie obowiązywały żadne prawa i tak miało pozostać już zawsze.

Ale gdzie, wobec tego, miała iść? Nie przyjąłby jej żaden z Ośmiu Światów; gdyby odkryto, jaki ma genotyp, zostałaby aresztowana i skazana na los, jaki przypadł w udziale jej prawdziwemu ja.

Była wyrzutkiem. Gdzieś w przestrzeni wokół Jowisza krążył cały świat wyrzutków, zmagających się z takim samym problemem.

- Mówisz, że to możliwe? - zapytała ostrożnie.

Usta Parameter uśmiechnęły się.

- Zachowujesz się jak mieszkanka korytarzy, Lilo. Myślisz w kategoriach walki wręcz, chociaż nie masz o niej pojęcia. Wychył głowę z tunelu! Mówimy o ruszeniu z posad całego świata, o pchnięciu go poza Układ Słoneczny. Musisz się nauczyć myśleć w naprawę dużej skali.

Rozdział dwunasty

STARLINE INC.

ŚCIŚLE TAJNE: WYŁĄCZNIE DO WIADOMOŚCI KATEGORII
AAA.

PRZEDMIOT: TRANSMISJA Z WĘŻOWNIKA, GODZ. 1249,
SEK. 44,3 CU, 8/14/570.

TŁUMACZENIE: (PRAWDOPODOBIENSTWA WAŻONE)

PRZEZ (CZAS: PRAWDOPODOBNIENIE: 400 LAT ZIEMSKICH?)
PRZEKAZYWALIŚMY DANE. NOWYM SUBSKRYBENTOM (43%)
PRZYSŁUGUJE (NIEPRZETŁUMACZALNE) WSTĘPNY. PRZY-
SŁUGUJĄCY WAM OKRES WYGASŁ (SKOŃCZYŁ SIĘ?) (ZOSTAŁ
PRZEDŁUŻONY?). PROSIMY WNIĘŚĆ (NALEŻNĄ OPŁATĘ?) (PO-
ZOSTAŁOŚĆ?) ALBO ZREZYGNOWAĆ (45%) Z KORZYSTANIA
Z USŁUGI. WASZA WPLATA (22%) ZOSTANIE PRZEKAZANA
(45%) DO (NIEPRZETŁUMACZALNE). PROSIMY UIŚCIĆ OPŁA-
TĘ (30%) W FORMIE (NIEPRZETŁUMACZALNE) W CIĄGU
(CZAS: PRAWDOPODOBNIENIE: 10 LAT?). (NOWE?) (STARE?) WAL-
CZĄCE FORMY ŻYCIA MOGĄ SIĘ UBIEGAĆ O PRZYZNANIE KRE-
DYTU. WYSOKIE KARY, WYSOKIE KARY, WYSOKIE KARY (97%).

KONIEC.

WIADOMOŚĆ POWTARZA SIĘ TRZYDZIEŚCI RAZY.
CAŁKOWITA LICZBA BITÓW: OK. $2,3 \times 10^8$.

Złote.

Wspomnienie i przecucie złocistożółtego światła.

Był gdzieś las pod błękitnym słońcem.

Kiedy się przebudziła, twarz nadal tam była i nadal się uśmiechała. Lila rozpromieniła się, zadowolona, że już po wszystkim.

- Nie tak szybko - powstrzymała ją Mari wesoło. - Muszę cię najpierw odłączyć i zaszyć ranę.

Coś się nie zgadzało. Spojrzała uważniej; uświadomiła sobie, że zmiana dotyczy tła. Zmieniło się coś w głębi, za Mari.

Drzewa. Przedtem były zielone, teraz miały bezlistne gałęzie.

Podczas treningów miała dużo czasu, żeby się zastanawiać nad swoją sytuacją. Nie mogła uwierzyć, że jest rok 571, że minęły dwa lata odkąd Mari zrobiła jej w lesie nagranie.

Tweed pokazał jej swoje przerażające zapiski. Już trzy razy obserwował jej przebudzenie w tym samym miejscu. Trzy razy. Usłyszała opowieść o tym, jak prawdziwa Lila próbowała uciec wkrótce po uwolnieniu z Zakładu i w jaki sposób zginęła. Tweed miał zdjęcia. Poznała okoliczności śmierci Lili 2, pierwszego klonu. Potem była Lila 3, która zabiła Mari, zanim sama została złapana i zabita. Nikt nie potrafił powiedzieć, co się stało z Lila 4; musiała być najsprytniejsza ze wszystkich. Albo najbardziej zastraszona. Przeżyła cały rok.

Ona była Lila 5. (A co z kapsułą w Pierścieniach? Czy rósł tam już numer szósty?)

Postanowiła, że będzie bardzo ostrożna.

Wsadzili ją na statek lecący na Tytana z Vaffą-kobietą i mężczyzną imieniem Iphis.

Kiedy statek znajdował się w odległości trzech dni od Luny, otrzymali wiadomość od Tweeda. Liii nie pokazano jej; Iphis i Vaffa zabrali rozkodowany rozkaz na mostek. Słyszała pełne złości głosy, głośniejszy należał do Iphisa. Mówił coś o harmonogramie, rozminięciu się z drugim statkiem i masie reakcyjnej. Jednak kiedy wrócili, było jasne, kto zwyciężył. Iphis rzucał groźne spojrzenia, świadczące, że lepiej nie wchodzić mu w drogę. Vaffa zachowała typowy dla siebie niewzruszony spokój, może tylko wjej wzroku kryło się więcej lodu.

Wyglądało na to, że kierują się w stronę Marsa.

Vaffa chciała porozmawiać z Lila. Była dość bezpośrednia w wyrażaniu swoich pragnień: złapała ją za kostkę i pociągnęła za sobą niby balon.

- Zatrzymamy się na Marsie tylko na krótko, dopóki nie złapie my jakiegoś szybkiego statku na Plutona - oznajmiła, zamknawszy się z Lila w niewielkiej sypialni.

-Jakie to ciekawe.

-Mhm.

Wyglądała na zamyśloną, odprężoną. I nagle skoczyła. W mgnieniu oka Lila siedziała przywiązana w fotelu antyprzyspieszeniowym, a twarz Vaffy pochylała się tuż nad jej twarzą. Policzek okropnie ją palił, w ustach czuła smak krwi.

- Tak - powtórzyła Vaffa - ciekawe.

Nie wydawała się zaciekawiona. Raczej niespokojna. Lila przekonała się, że Vaffa nie jest szczególnie inteligentna i rzadko miewa wątpliwości. Teraz stanęła wobec problemu; starała się go rozwiązać najlepiej jak umiała. Lila poczuła na gardle jakiś twardy i zimny przedmiot; zmusiła się, żeby przełknąć ślinę.

- Szef mówi, że zdarzyło się coś nieprzewidzianego - ciągnęła Vaffa. - Mam się tym zająć, a ty masz mi pomóc. Wiem dlaczego. Trzeba będzie rozwiązać jakiś problem. Ja nie jestem w rym zbyt do bra. Więc ty się nim zajmiesz, a ja cię przypilnuję.

- Słuchaj - zaczęła Lila, starając się nie podnosić głosu. - Na pewno dasz sobie radę. Ja chętnie zostanę zamknięta na statku, z dala od tego wszystkiego, dopóki nie...

Nacisk na jej szyi wzrósł tylko odrobinę, ale nagle zaczęła się dusić.

- Nie. Zrobimy tak, jak kazał szef. Mam się upewnić, że nie uciekniesz. Spotkamy się z kimś, kto nam pomoże, ale na niego też mam uważać. Pamiętaj, że szef dał mi przeczytać twój profil. Całkiem dobrze wiem, w jaki sposób myślisz.

-Wierzę...

Vaffa chwyciła pasy po obu stronach Liili i oparła kolano na mostku, między piersiami dziewczyny. Pociągnęła za pasy i przycisnęła ją do fotela.

- Nie usłyszysz ode mnie o szefie złego słowa - powiedziała, naciśkając jeszcze mocniej. -Ale chyba ufa tym profilom za bardzo. Myślę, że łatwiej cię będzie kontrolować, jeśli cię odpowiednio nastraszę.

- Vaffo, już teraz się ciebie boję, naprawdę. Nie wiem, kiedy...

Ale Vaffa nieznacznym ruchem głowy kazała jej zamilknąć. Po raz pierwszy lekko zmarszczyła brwi. Problem okazał się bardzo skomplikowany.

- Myślę, że będziesz się mnie bardziej bała, jeśli amputuję ci rękę albo nogę bez znieczulenia. Potrafiłabym cię utrzymać przy życiu i przyszyć kończynę z powrotem, ale ból byłby niewyobrażalny. Gzy to cię przekona, że masz się dobrze zachowywać?

Lila ze zdumieniem zdała sobie sprawę, że pytanie jest szczere, Vaffa naprawdę chce zasięgnąć jej opinii w tej sprawie.

-Nie. Nie... ja... ja nie wiem. Proszę, nie rób tego. Ja... myślę, że raczej bym cię znienawidziła.

Nie miała pojęcia, co jeszcze powiedzieć. Ku jej ogromnej uldze Vaffa pokiwała głową.

- Myślałam, żeby cię zabić. Mogłabym skłamać szefowi... chociaż nie, chyba bym nie potrafiła. Więc słuchaj. Jeśli spróbujesz mi uciec, mam duże szanse cię złapać. Obiecuję, że zrobię wszystko, by

cię sprowadzić z powrotem. Jak cię już złapię, postaram się, żebyś umierała bardzo długo.

- Rozumiem.

Vaffa nadal się nad tym zastanawiała. Potarła błyszczącą skórę na czaszce i zdjęła kolano z piersi Liii. Dziewczyna odetchnęła. W końcu Vaffa odpięła pasy i pozwoliła jej wstać. Bez złości chwyciła Lilę za głowę i zmusiła, żeby ta spojrzała jej w oczy.

- Przysięgnij, że nie będziesz próbowała uciec, kiedy znajdziemy się na Plutonie. Odwołuję się do twojego honoru.

- A co, jeśli nie przysięgnę? Zabijesz mnie i powiesz Tweedowi, że próbowałam zwiać?

Vaffa wyglądała na zdziwioną i trochę urażoną.

- Nie. Nie zrobię ci krzywdy bez względu na to, co się zdarzy, chyba że spróbujesz uciec. Nie będę cię zmuszać groźbami. Przysięgi złożone pod przymusem się nie liczą - stwierdziła takim tonem, jakby było to prawo obowiązujące w całym wszechświecie.

- Dobrze. Przrzekam, że nie będę próbowała uciec z Plutona.

Jakby tego było nie dość, przypieczętowały przysięgę krwią. Zrobienie nacięcia na dłoni bez znieczulenia stanowiło jeden z najodważniejszych czynów, jakich Lila dokonała w swoim życiu.

Dopiero później uświadomiła sobie, jak dziecinne było to wszystko. Czy uroczysta przysięga miała wystarczyć, żeby ją powstrzymać, kiedy w grę wchodziło jej życie i wolność? Nie rozumiała, dlaczego pytanie to gnębi ją bardziej, niż chciałaby przyznać.

Później, w przyćmionym świetle sypialni, Vaffa odwróciła się do Liii. Iphis chrapał.

- Musimy porozmawiać.

Lila obawiała się, że kobieta znowu zechce kopulować. Podczas gdy z Iphidem wszystko układało się jak najlepiej, Vaffa ją przerażała. Przedostały się do niewielkiej, pozbawionej przyciągania salki gimnastycznej.

- Powinnaś przeczytać to pierwsza.

Vaffa podała jej kartkę papieru faksowego. Pokrywały go zakodowane informacje, poniżej znajdowało się nieporadne tłumaczenie napisane mało czytelnym pismem Vaffy. Lila zauważyła nazwę Starli-ne i napis: „ściśle tajne, tylko dla kategorii AAA” .

- Nie wiem, skąd szef to dostał - wyjaśniła Vaffa z własnej inicja tywy. - Ma swoje dojścia.

Lila przeczytała notatkę, a potem jeszcze raz, uważniej. Niezłe się orientowała w systemie obliczania prawdopodobieństw, stosowanym przy dekodowaniu transmisji z Gorącej Linii. Po podróży trwającej siedemnaście lat świetlnych sygnał często docierał zniekształcony. Ale w tym wypadku, przy trzydziestu powtórzeniach, przyczyna musiała być inna. Niepewność tłumaczenia przez komputer kluczowych słów brała się z braku kontekstu.

Nie zdziwiło to Lili. Wiedziała, że większość ludzi myśli o zapisie, w jakim przesyłano z Gorącej Linii wiadomości, jako czymś w rodzaju kodu: wystarczy odkryć zasadę, żeby otrzymać tekst napisany w poprawnym, gramatycznym języku ogólnoukładowym.

Ale informacje pochodzące z Gorącej Linii stanowiły odbicie obcego sposobu myślenia. Jak długo chodziło o dane naukowe, wyrażone w terminach matematycznych, można było mówić o sensownym przekładzie. Choć nawet tutaj zdarzały się znaczne fragmenty, których nie potrafił zinterpretować żaden z istniejących programów komputerowych. Lila miała na ich temat własne zdanie, ponieważ podjęte przez nią próby zbadania tych fragmentów zaprowadziły ją do więzienia.

Kilka razy przekazy zostały określone przez komputery jako „zbliżone do języka”, tłumaczenia roily się jednak od nieścisłości. Lingwiści nie wydawali się tym zdziwieni. Język zawiera odniesienia do kultury, niekonsekwencje, a nawet sprzeczności. Gdyby dostarczyć im większej liczby informacji, komputery doszłyby krok po kroku do znaczenia poszczególnych słów. Ale mieszkańcy Węzów-

nika nie wydawali się chętni, żeby opowiadać o sobie, ograniczali się do przesyłania oceanów technologicznych informacji. Przekazy słowne mogły być wszystkim, od katalogów reklamowych po świadectwa religijne, a może w ogóle nie miały odpowiednika w świecie ludzi.

Lila przeczytała wiadomość po raz trzeci.

- Co to za bełkot o kontaktach i rezygnacji z usług? I opłatach? O co im może chodzić? Co my im możemy dać?

- Może to samo, co oni nam. Informację - Vaffa wzruszyła ramionami.

- Ale my... co to znaczy?

- Podejrzewam, że dokładnie to, co napisali. Rachunek telefoniczny za czterysta lat.

- Przecież to idiotyzm.

- Tak myślisz? Dlaczego uważamy, że informacje będą przychodzić w nieskończoność i nie musimy nic dawać w zamian? Dlaczego mieliby się okazać mniej wyrachowani od nas?

Lila uspokoiła się i zastanowiła przez chwilę, zanim odpowiedziała.

- W porządku. Rozumiem. Ale co możemy im dać? I w jaki sposób to przesłać? Chyba potrafilibyśmy zbudować taki wielki laser, jak oni (nie jestem pewna, czy umiemy, ale przyjmijmy, że tak), tylko co im wyślemy? Wszystko, co dostaliśmy z Gorącej Linii wyprzedzało naszą naukę o dwa-trzy tysiące lat. To jakby pytać... jakby pytać tu byльца z Ziemi o radę przy naprawie silnika fuzyjnego. Co takiego mamy, czego oni chcieliby się dowiedzieć?

Vaffa skrzywiła się i wzięła kartkę od Liii.

- Miałam nadzieję, że może ty na coś wpadniesz. Ja nic nie potrafię wymyślić i bardzo mnie to martwi. Poza tym chciałabym wiedzieć, co znaczą te „wysokie kary”.

- Nie mam pojęcia, chyba tylko przerwanie transmisji. Oni są siedemnaście lat świetlnych od nas. Co nam mogą zrobić?

- Nie wiem. - Vaffa zastanawiała się przez chwilę. Potem podniosła wzrok. - Wszyscy mówią, że podróże międzygwiazdne są niemożliwe, a w każdym razie zabrałyby zbyt wiele czasu, żeby się opłacały. Zawsze podają jako przykład tych z Wężownika. Gdyby potrafili podróżować z gwiazdy na gwiazdę, już by tu byli, no nie? Nie siedzieliby u siebie, wysyłając informacje. - Pokręciła głową. - Teraz zaczynam w to wątpić. Może zupełnie ich nie rozumiemy. Może mają swoje powody, żeby tu nie przylatywać. Ale jestem pewna, że nie wysyłałoby tego, gdyby nie myśleli poważnie.

Lila miała ochotę porozmawiać dłużej, ale Yaffa wycofała się już do swojego prywatnego świata. Bała się. Lila nie czuła obawy - jeszcze. Ale wkrótce miało się to skończyć.

Rozdział trzynasty

„StarLine”, Program do Spraw Kontroli Stosunków Międzyludzkich, Główny Komputer Handlowy, StarLine Inc., II kategoria czytelnicza.

Komu by przyszło do głowy, że przestaną? Nikt o tym nie pomyślał. Bóg wie od jak dawna ludzie szukali sygnałów z gwiazd. Kawał czasu temu, za dawnego stylu, mówiło się o Projekcie Ozma. Nic z tego nie wyszło. Potem my sami nastawialiśmy te wielkie uszy. Centauri, Wilk, Lalande, Procyon, 40 Erydana. Cisza, kompletna cisza. Sprawdzaliśmy po kolei i nic.

Potem zabraliśmy się za nasłuch naprawdę dalekich gwiazd. Kawał drogi za Plutonem, dwa cholerne razy dalej niż Pluton. I co na to powiecie? Głosy!

To znaczy, niezupełnie głosy. Rozumiecie, takie komputerowe buczenia i skoki napięcia. Przez długi czas nikt tego nie mógł odcyfrować. (Powinniście to zobaczyć! Na wydruku wyglądało jak tysiąc akrów kropek zostawionych przez muchy.) Nawet komputery nie miały pojęcia, o co w tym biega. Ale parę rzeczy wiedzieliśmy na pewno. Na 70 gwieździe Wężownika siedział ktoś z sakramencko wielkim laserem i chciał z nami pogadać, tylko celował jak kulą w płot.

Zaraz! A może oni wcale nie celują do nas? No więc zaczęliśmy się rozglądać, czy nie siedzi nam ktoś za plecami, rozumiecie, ale nic nie zobaczyliśmy, oprócz paru gwiazd u Oriona pod pachą. Czyli jednak do nas szła ta cała gadka. No, to jakim cudem tak spudłowali? Myślicie może, że potrafili zbudować taki wielki laser, a potem nie wiedzieli, jak go wycelować?

Nie ma mowy. I wtedy ktoś mówi: „Zaraz, a może oni czekają, aż będziemy gotowi to przyjąć? To znaczy, mamy im pokazać, że potrafimy tam dotrzeć i tak dalej.” Brzmi rozsądnie, co nie? Miał rację. I tak sobie słuchamy już ze czterysta lat. Prowadzą nas jak po sznurku z odległości piętnastu miliardów kilometrów, prawie jak przy strzelaniu do rzutków. Chcecie sobie posłuchać? To się musicie do nas pofatygować.

No, a potem ktoś inny mówi: „A może byśmy też zbudowali taki wielki laser i zaczęli im odpowiadać?” Zglupiał, czy co? A kto za to zapłaci?

Nawet przy najlepszej koniunkturze ekonomicznej niewiele rzeczy opłacało się przywozić na Plutona. Cła przy wjeździe należały do najwyższych w całym Układzie Słonecznym, a linie przewozowe nakładały tak wysokie kary za nadbagaż, że rozsądniej było zostawić walizki w domu i całą garderobę kupować na miejscu. Jediną rzeczą wwiezienia stanowiła informacja, ale nawet ją należało transportować w możliwie skondensowanej formie.

Na Plutonie panowała recesja. Rząd przegrywał trwającą od dwóch lat wojnę gospodarczą z Merkurym; jej skutki były opłakane. Na Marsie Vaffa użyła swojej intersystemowej karty kredytowej, żeby podjąć nieco gotówki. Nawet za to zapłaciła przy wjeździe wysoką karę.

Lila i Vaffa wysiadły z ekspresu 5 g we Florida Port, osłabione i nieszczęśliwe po ośmiu dniach spędzonych w zbiorniku przyspieszonym. Lila kaszlała nieustannie, próbując usunąć z gardła drażniące substancje, bez przerwy ciekło jej z nosa.

Rozglądając się za czymś, co pozwoliłoby splukać nieprzyjemny smak, dostrzegła maszynę z napojami i wsunęła do niej jeden z banknotów, które dostała od Vaffy.

- Nie mogę go rozmienić - powiedziała maszyna. - Ale coś ci powiem. Jeśli wpłacisz na konto, możemy ubić interes.

Potem wyjaśniła, że jest autoryzowanym oddziałem Planetarnego Banku Florydy. Zapaliło się światełko z napisem: „ppzyrost procentów od wkładu”. Po paru sekundach zgasło. Lila dostała swój napój. Banknot został jej zwrócony, oprócz tego otrzymała kilka plu-tońskich monet. Za radą Vaffy wyrzuciła je do recyklera, bo nie miały żadnej wartości.

Pluton znajdował się w połowie inflacyjnej spirali. Nowo drukowane banknoty były datowane; należało je wydawać możliwie szybko, zanim ich wartość spadła. Co poniedziałek tysiąc starych marek stawał się równy jednej nowej. Pieniądze, które miały więcej niż tydzień, nadawały się tylko na podpałkę: były mniej warte niż papier, na którym je wydrukowano.

Lila i Vaffa czekały w sali dla rekonwalescentów portu gwiazdowego, póki mediko nie orzekł, że skutki podróży wysokoprzyspieszeniowej minęły. Kilka kroków dalej znajdował się ciąg sklepów, specjalizujących się w obsłudze nagich podróżnych przylatujących z Planet Wewnętrznych. Lila chciała się zatrzymać.

- Nie tutaj - odradzała Vaffa. - Strasznie z ciebie zedrą.

- No to co? Jesteśmy przecież bogate.

Wybrała butik „Podziemie”.

Została tam namydlona, umyta, natarta olejkiem i wymasowana, aż znowu poczuła się jak człowiek, a nie ogórek w occie. Skurcze mięśni, gnębiące pasażerów statków wysokoprzyspieszeniowych przez wiele dni po przelocie, ustąpiły. Zażyczyła sobie czegoś do ubrania.

Pośród rzeczy, które jej przyniesiono, wybrała czerwoną koszulę ze sprzączkami przy mankietach, szyi i w pasie. Koszula miała bufiaste rękawy, ale poza tym była bardzo funkcjonalna, zaopatrzona

w chronometr i mnóstwo kieszeni. Kiedy sprzedawca zaproponował malowanie nóg, Lila stanowczo odmówiła. Kupiła jeszcze kapelusz i klapki, głównie dlatego, że podeszwy stóp miała pomarszczone jak suszone śliwki. Próbowano ją namówić na kupno farby do twarzy, kostiumu z holomgielki, spodni ze sztucznym penisem i futra z żywych norek, więc szybko zapłaciła i wyszła. Nie była przyzwyczajona do tak nachalnych zachęt i wcale jej się to nie podobało. Vaffa nic nie kupiła.

- Nigdy nie nosisz ubrania? - zapytała ją Lila.

- Nie lubię. Tylko przeszkadza w walce. Czasami noszę pas z kaburą, ale nie w publicznych miejscach.

Vaffa nerwowo rozglądała się dokoła. Lila już na Lunie zauważyła, że kobieta nie lubi tłoku. Tutaj czuła się szczególnie nieswojo. Wykonywała szybkie, gwałtowne ruchy, próbując zobaczyć, co się dzieje ze wszystkich stron równocześnie.

- Dokąd idziemy?

- Mam adres. Może lepiej poszukajmy jakiegoś planu miasta.

Pluton lubił się przedstawiać jako pogranicze, chociaż po trzydziestu latach nieprzerwanej kolonizacji pomysł wydawał się trochę naciągany. Pod wieloma względami planeta była równie zurbanizowana jak każdy z pozostałych Ośmiu Światów. W plutońskich miastach było jednak głośniejsze i wesejsze niż gdzie indziej. Panował nastrój ostentacji, wszystkie zmysły narażone były na ciągły atak kiczu, zarówno ze strony reklamy jak i samych mieszkańców. Napawało to niesmakiem obie Lunarianki.

Budynki często pozostawiano nie wykończone. Chodniki w korytarzach były grube i miękkie, ale miejscami niedopasowane; postrzępione brzegi nie sięgały ścian, a w kątach pozostały jasnobrązowe kulki kleju. W jednym miejscu kobiety minęły odsłonięty fragment skały; robotnicy właśnie pokrywali go izolacją i plastikowymi płytami. Skała była przyprószona szronem; Lila poczuła, jak wysysa ciepło z jednej strony jej ciała.

Dotarły do Centrum, głównego węzła komunikacyjnego, z którego ruchome chodniki rozchodziły się we wszystkie strony, jak szprychy koła i skąd kapsuły kolejki podziemnej wyruszały do odległych przedmieść, osiedli i okręgów. Zeszły z chodnika i rozejrzały się wokół. Sufit znajdował się dwa kilometry nad ich głowami, ale niektóre z drzew rosnących w Parku Centralnym zdawały się go dosięgać. Rozległą kolistą przestrzeń pośrodku otaczało osiem arkad; prowadziły do nich szklane windy zawieszane na przezroczystych linach. Wszystko wokół poruszało się i błyskało, dopraszając się o uwagę.

Lila poczuła się przytłoczona, wyobcowana. Zakreśliło się jej w głowie. Jako urodzona Lunarianka pod wieloma względami była konserwatystką. Ubierała się dla wygody, a nie po to, żeby robić wrażenie. Oburzała ją rozrzutność i lekkomyślność. Było to dziedzictwo Inwazji, sprawiające, że mieszkańcy Luny różnili się znacznie od reszty obywateli Układu Słonecznego.

Luna została skolonizowana bezpośrednio przez Ziemian. Kiedy przybyli Najeźdźcy, kilka tysięcy ludzi stanęło wobec długiej walki o samowystarczalność. Nie byli do niej gotowi: Luna miała uzyskać autonomię dopiero za trzydzieści lat. Jednak od ich przetrwania miał zależeć los całego gatunku.

Pierwszych piętnaście lat było szczególnie trudne. Wielu zginęło w loteriach selekcyjnych lub walcząc przeciw nim, kiedy stało się jasne, że należy znacznie ograniczyć liczebność populacji. Ci, którzy przeżyli, pracowali wyjątkowo ciężko, by udowodnić, że męczennicy nie zginęli na próżno.

Lata walki odcisnęły piętno na mieszkańcach Luny. Pozostali tradycyjnymi zarówno w dziedzinie polityki, jak i moralności. Trzymali się pozorów demokracji przedstawicielskiej, podczas gdy w pozostałych koloniach próbowano archaicznych form wyboru zbliżonych do Sądów Bożych. Bezpłciowość nigdy się tu nie przyjęła. Najnowsze mody z Marsa czy Merkurego na Lunie słabo się sprzedawały. Jako że skromność od dawna stanowiła niemal zapomniane dziwac-

two, przeciętny Lunarianin nosił zwykle kamizelkę z mnóstwem kieszeni, torbę na ramię albo chodził nago. Był to niemal lunariański uniform i przedmiot nie kończących się żartów reszty świata.

Artysta-kosmetyk zbankrutowałby na Lunie. Mało kto był zainteresowany posiadaniem dodaukowych nóg w dziwacznych miejscach, odwróconej głowy, nosa o modnym kształcie czy chwytneho ogona. Przeciętny Lunarianin zmieniał płeć raz na osiem lat: najrzadziej w całym Układzie. Stosunek ludzi, którzy przeszli w życiu operację kosmetyczną, do pozostałych wynosił jeden do dziewięciu. Kiedy ktoś chciał zmienić wygląd twarzy, zwykle robił to w domu sam, dla rozrywki.

Pluton znajdował się na przeciwnym biegunie. Lila uważała to za wulgarnie. Plutonianie puszyli się jak pawie; przechwalali zajmowaną przez siebie pozycją społeczną.

Lila i Vaffa przedzierały się przez labirynt powiewających reklam z nibydymu i holomgły, które podążały za przyszłym klientem i wyczyniały niewiarygodne sztuczki z perspektywą, równocześnie nadając bez ustanku wprost do ucha wewnętrznego, co stanowiło jawne pogwałcenie prawa o skażeniu hałasem.

Udało im się wyrwać z głównego nurtu i schronić w zielonej ostoi parku. W pniu znajdowały, się siedzenia uformowane z kory. Lila spojrzała w górę i uznała, że obejście samego pnia dookoła zabrałoby jej dobre pięć minut.

Czuła się jak w oku cyklonu. Holoreklamy płynęły w ich stronę, ale zatrzymywały się, powstrzymane przez niewidzialną ścianę.

ODWIEDZAJCIE ŁÓDŹ CHARONA.

KUP EROTICON. UŻYJ GO, ZJEDZ GO, WETRZYJ W SKÓRĘ, ZDRAP, KOPULUJ Z NIM.

ODDAJ SIĘ DO BANKU OSOBOWOŚCI.

ZAINWESTUJ W SWOJE STOPY JUŻ DZISIAJ. KUP NOWE ASTAIRY

ZAKOSZTUJ LUKSUSU.

Park był prawie pusty. Najwyraźniej Plutonianie nie potrzebowali spokoju i ciszy. Lila i Yaffa siedziały przyglądając się przechodniom.

- Piersi są w modzie w tym roku - zauważyła po chwili Vaffa. -
Prawie każdy ma co najmniej dwie. Hej, a to co takiego?

- Elektryczne jądra, czytałam o nich.

- Ładniutkie - rozmarzyła się Vaffa. -Jak latarenki.

- Podobno najlepszy sposób na przekonanie partnera, że jesteś bezpłodna. Czy ty w ogóle wiesz, dokąd idziemy? Potrzebuję kąpiel i jakiegoś spokojnego miejsca.

Rozdział czternasty

Pociągi grawitacyjne odjeżdżały z poziomu leżącego bezpośrednio pod Centrum. Lila kupiła dwa bilety, wcześniej nerwowo wsunąwszy dłoń do szpary w genodrukarce. Na Marsie wszystko poszło dobrze.

Prezydencka ręka Tweeda sięgała na pięć miliardów kilometrów. Lila poczuła jak próbnik skrobnął ją w dłoń, maszyna zahaczała i do banku danych Centralnego Komputera Plutona wpłynęła informacja:

JCWIAN-342 (ID-L-502-KC-98) PRZELOT PROMEM
FLORIDA-BARROW, GODZ. 0349 4/8/71.

Zapaliło się zielone światelko, co oznaczało, że przeszła kontrolę policyjną. Nazwisko Jovian-342 nie występowało na żadnej liście poszukiwanych, więc cała sprawa na tym się skończyła. Gdyby komputer na Plutonie uznał, że należy przejrzeć dokładniej lunariańskie katalogi, dwanaście godzin później uzyskałby informację, że Jovian-342 jest członkinią Kościoła Inżynierii Kosmicznej, wzorową obywatelką Luny i zapaloną podróżniczką. Nie dowiedziałby się natomiast,

że wyemigrowała dziesięć lat wcześniej i prawdopodobnie znalazła sobie parę w Pierścieniach. Obecnie była całkowicie odcięta od cywilizacji ludzkiej, niezdolna zaprotestować przeciw kradzieży swojej tożsamości.

Lila nie miała pojęcia, w jaki sposób Tweed tego dokonał. Ludzie kontrolujący główne komputery stali praktycznie ponad prawem, więc wprowadzono skomplikowane zabezpieczenia przeciw nielegalnym ingerencjom. Zdarzały się one jednak w przeszłości i -najwyraźniej - zdarzały i teraz.

W przyćmionym świetle chromowanych lamp Lila spostrzegła, że wewnątrz wagonu jest obite drogim brązowym aksamitem. Zanurzyła się w fotelu i zapięła pasy; Vaffa zajęła miejsce obok. Wagon opuścił się do tunelu, a potem wolno zaczął ślizgać się w górę. Wrota służ powietrznych otwierały się przed nim, a potem zamykały w miarę jak nabierał prędkości. Lila naliczyła ich dwanaście. Po chwili za oknem pojawiły się gwiazdy. Podciągnęła pod siebie stopy i zaczęła je rozcierać. Zrobiło się jej zimno.

Było to czysto psychiczne odczucie, ale miała wrażenie, że zmrożony gaz zza okna wdziera się do wnętrza. Nienawidziła zimna. A tutaj nie było nic ciepłego, nawet w ciągu dnia.

Przejściem między fotelami nadszedł rostry mężczyzna. Przysiadł na poręczu fotela Vaffy, uśmiechnął się szeroko i próbował ją zachęcić do kupna karty członkowskiej jakiegoś seks-stowarzyszenia. Zniecierpliwiona Vaffa chciała go odepchnąć, ale jej ręka przeszła przez mężczyznę na wylot. Po nim zjawili się następni. Wkrótce znalazły się w okrażeniu.

Vaffa drgnęła, kiedy jeden z nich ją dotknął.

- Przepraszam - powiedział. - Widzę, że panie są z Luny.
- Czy to aż tak widać?
- Pani nos - odparł. - Jest spiczasty.

Jego własny był płaski jak u starego boksera. Miał rzęsy długie na pół metra, przez co mrugał w zwolnionym tempie.

- I wiele innych rzeczy. Mam nadzieję, że pań nie obraziłem. Po prostu myślałem, że zainteresuje was to, co sprzedaje.

- Przecież mogłeś wysłać holo, zamiast się fatygować - odezwała się Vaffa.

- Co pan takiego sprzedaje, że nie wystarczy hologram? - spytała Lila.

- Generatory antyholograficzne - odpowiedział.

Wyglądały jak niewielkie bransoletki, na których wytłoczono numer serwisu. Można je było wypożyczyć, jak terminal komputerowy. Pokazał im wiele modeli różniących się ceną. Niektóre jedynie trzymały hologramy na długość ramienia. Zdaniem większości Plu-tonian to wystarczało. Jeśli się nie widzi reklam, skąd można wiedzieć, co jest modne?

Mężczyzna nie wydawał się zdziwiony, kiedy obie, Lila i Vaffa, wybrały superskuteczny model „Niszczyciel”.

Pociąg wjechał do Barrow, szyby zaparowały. Wysiadając, obie kobiety zauważyły, że wagon jest z zewnątrz pokryty szronem. Na wpół stopiony lód ściekał po ścianach do rynsztoków ciągnących się wzdłuż peronu wyłożonego chodnikiem.

- Co to za jeden, ten facet? - zapytała Lila.

Yaffa przyglądała się uważnie ścianom. Wydawało się, że nigdy nie potrafi się odprężyć.

- Były nauczyciel. Kawał dziwaka. Do tej pory nie może przeboleć, że go wywalili ze Stowarzyszenia Edukacyjnego. Szef pozwala mu pracować samotnie na Plutonie. Jego robota nie ma zbyt wielkiego znaczenia. Czy raczej, nie miała do tej pory.

- To on przechwycił tamten komunikat?

- Mhm. W ostatniej wiadomości szef coś o tym wspominał. Facet ma dostęp do danych z Gorącej Linii. Przesyła je szefowi i dzięki temu dostajemy je mniej więcej w tym samym czasie, co zarząd StarLine.

- Dlaczego? To znaczy, do czego wam to było potrzebne?

Vaffa wzruszyła ramionami.

- Szeff lubi o wszystkim wiedzieć. Przecież prowadzimy wojnę.

Lila ciągle od nowa musiała sobie o tym przypominać. Partia Wolnej Ziemi kontra Najeźdźcy. Jak dotąd nie padł nawet jeden strzał. Lila nie miała wątpliwości co do wyniku, gdyby Tweedowi udało się doprowadzić do wybuchu konfliktu.

Ale dla Vaffy była to najważniejsza sprawa w życiu. Wszędzie węszyła wrogów. Teraz wydawała się poirytowana i Lila domyślała się dlaczego. Vaffa wiele razy latała na Tytana, ale zawsze trzymała się w pobliżu portu gwiazdowego. Jedynym środowiskiem, które dobrze poznała, była Luna. Teraz doświadczała szoku kulturowego.

Lila dobrze знаła to uczucie. To nieprawda, że wszystkie korytarze wyglądają tak samo. Istnieją różnice tak drobne, że świadomość ich nie rejestruje: kształt płytek na suficie, obcy układ przycisków w aparacie z powietrzem na rogu, nieznane kształty fontann, budek telefonicznych, spryskiwaczy, uszczelki przy drzwiach, terminali medycznych i służ awaryjnych. Nawet powietrze miało inny zapach. Na Plutonie oczyszczano je tylko siedem razy przed ponownym użyciem. Było ciężkie od ludzkiego odoru.

Dotarli do celu i nacisnęły dzwonek. Drzwi odskoczyły i weszły przez wysoki próg prosto w chaos.

Pokój był duży, ale wydawał się zatłoczony z powodu siedmiorga czy ośmiorga dzieci. Nawet na chwilę nie przestawały biegać i krzyczeć. Trwał właśnie wyścig, w którym meble służyły za przeszkody. Lila i Vaffa stanęły pod ścianą, żeby nie przeszkadzać. Po drugiej stronie jakiś mężczyzna rozmawiał z kobietą w ciąży. Podniósł wzrok.

- Koniec zabawy! - ryknął. - Później przyjdźcie znowu. Mogła byś przytrzymać drzwi?

Vaffa usłuchała; mężczyzna zebrał dzieci. Chichotały i wpadały na niego, przewracając się ze śmiechem o jego wyciągnięte ręce. Wydawało się, że ma nad nimi niemal magiczną władzę. Wkrótce wszystkie znalazły się na korytarzu.

- Będzie pani musiała przyjść później - powiedział do kobiety. Wziął ją za rękę i odprowadził do drzwi. Lila spojrzała na jej obnażony brzuch. Wyglądało, że rozwiązanie nastąpi za parę dni.

Kiedy kobieta wyszła, mężczyzna spojrzął na nie i wzruszył ramionami.

- Chce nielegalnego nauczyciela - wyjaśnił. - Znalazła się w kropce. Zdaje się, że nie udało się jej podpisać żelaznego kontraktu z nauczycielem, którego sobie wybrała. Ciągle się to zdarza.

- A zdawałoby się, że ludzie powinni być bardziej ostrożni, skoro mają tylko jedno dziecko.

- Prawda? Jeśli jest analfabatką, mogła przecież poprosić, żeby jej ktoś wyjaśnił zasady kontraktu. Ja... - popatrzył na nią i uśmiechnął się. Wyciągnął rękę. - Jestem Cathay.

- Lila.

Ujęła jego dłoń. Cathay zerknął na Vaffę.

- Znam cię - powiedział spokojnie.

- A jednak nigdy się nie spotkaliśmy - odparła.

- W takim razie to był twój brat. Twój klon. Znam was. - Wydawało się, że chce powiedzieć coś jeszcze, ale się rozmyślił. - No, cóż, siadajcie. Znajdźcie sobie jakieś wygodne miejsca. Macie na coś ochotę?

Patrzył na Lilę.

- Napiłabym się czegoś lekko odurzającego - odpowiedziała. - Nie jestem wybredna.

- Właśnie dostałem coś odpowiedniego.

Zniknął w drugim pokoju. Vaffa odczekała chwilę, po czym wstała i poszła za nim. Wrócili razem, Vaffa z jednym drinkiem, Cathay z dwoma. Oboje wydawali się nieco spięci. Wręczył Liii szklanek zielonego płynu.

Pod wpływem napoju poczuła się lepiej. Rozsiadła się wygodnie na krześle i uważnie przyjrzała Cathayowi. Miał mnóstwo kręconych brązowych włosów, długie nogi i chłopięcą twarz. Był przystojny bez

przesady i Liii bardzo się to podobało. Czują, że Cathay ją pociąga, chociaż nawet go nie dotknęła ani nie wiedziała, jak pachnie, a to najczęściej się jej zdarzało.

- Czemu mam zawdzięczać niezwykłą przyjemność waszych odwiedzin? - spytał Cathay. - Chwileczkę, niech zgadnę. Tweed jest w ciąży i szuka nielegalnego nauczyciela.

Vaffa, która zajęła miejsce na wprost drzwi, zeszytywniała jeszcze bardziej. Lila poczuła, że jej mięśnie także się napinają i uświadomiła sobie, jak bardzo dostroiła się do nastrojów drugiej kobiety. W czasie podróży z Luny na Marsa stała się specjalistką w schodzeniu Vaf-fie z drogi w ciasnym statku.

- Ostrzegam cię pierwszy i ostatni raz - powiedziała Vaffa. - Nie będę słuchać żadnych dowcipów o szefie.

Przeniosła groźne spojrzenie z Cathaya na Lilę i z powrotem. Lila bezradnie wpatrywała się w mężczyznę, chcąc go uprzedzić, jaką formę może przyjąć drugie ostrzeżenie. Ku jej zdziwieniu, wydawało się, że rozumiał. Niemal niedostrzegalnie skinął jej głową i usiadł z powrotem na krześle.

-W porządku. Jedźmy dalej. Chodzi o Gorącą Linie, prawda? O coś innego! Szef się wystraszył.

- Znasz treść wiadomości? - spytała Vaffa, na wpeł podnosząc się z miejsca. - Zdaje się, że by mi powiedzieli, gdybyś miał prawo ją przeczytać.

- Hm, nie wiem, czy jestem do tego upoważniony, czy nie - odparł. - Ale była już przetłumaczona, kiedy ją dostałem. Szef ci nie mówił, że moje źródło pracuje w sekcji tłumaczeń? Nie mam dostępu do surowych danych.

Vaffa odprężyła się nieco.

- Tak, coś wspominał. Ale nie powinieneś być tego czytać. Two je zadanie to przekazywać informacje szefowi.

Cathay wzruszył ramionami.

- Muszę je zakodować przed wysłaniem, a jestem równie cieka-

wy jak każdy. Nikt mi nie powiedział, że mam zapomnieć to, co przeczytałem. Następnym razem będę wiedział. W dalszym ciągu nie rozumiem jednak, co ty tutaj robisz. Nie wiem, co takiego potrafisz, czego ja nie umiałbym lepiej. Mam tu swoje kontakty. Wiem, co jest grane. Ty... cóż, jesteś silna, wiem o tym. Czyżby Tweed planował, że nastraszyś tych z Gorącej Linii, żeby uzyskać przedłużenie terminu płatności?

Lila poruszyła się nerwowo na krześle, ale najwyraźniej Vaffa nie poczuła się obrażona.

- Nie. Nasze zadanie jest proste. Mówisz, że szef się boi. To nie zupełnie prawda, ale z całą pewnością można powiedzieć, że jest za niepokojony. Wiadomość wydaje się dość ważna i potencjalnie groźna.

Lila nie potrafiła opanować śmiechu.

- Wiedziałaś, że tak powiesz. Musiałaś was nieźle zaskoczyć.

- Tak jak ja to rozumiem - mówił Cathay poważnie - przysłano nam rachunek telefoniczny.

- Ale my nigdy nie podpisywaliśmy umowy - zauważyła Vaffa.

- To zwyczajny wykręt - odparł. - Prawda, nigdy o to nie prosiliśmy. Ale korzystaliśmy z tych informacji. Używaliśmy ich przez stulecia i nikomu nawet nie przyszło do głowy, żeby wysłać coś w zamian.

- Koszta...

- Nie mają nic do rzeczy. Myślałem o tym, odkąd dostałem tę wiadomość. Nie mogę się teraz nadziwić, dlaczego nikt na to nie wpadł. Traktowaliśmy Gorącą Linię jak surowiec naturalny, jak próżnię. Zastanawialiśmy się, jak mogą wyglądać mieszkańcy Wężownika, ale kiedy nic o sobie nie mówili, chyba uwierzyliśmy, że to coś w rodzaju międzygwiazdowego programu pomocy społecznej.

- A tymczasem chodziło raczej o wymianę? - zasugerowała Lila.

- Na przykład. I skoro tak, musieli się poczuć urażeni, że nigdy im nic nie wysłaliśmy.

- Ale czego mogliby od nas chcieć? - spytała Lila. - Tak bardzo nas wyprzedzają.

- Kto wie? Popatrz, oni prawdopodobnie mieli ten sam problem. I najwyraźniej zdecydowali się wysłać wszystko. Wykorzystaliśmy ich nowe wynalazki, techniki inżynierii biologicznej i tak dalej. W dalszym ciągu nie mamy pojęcia, czego dotyczy dziewięćdziesiąt procent komunikatów. Może to sztuka albo filozofia. Albo plotki. Albo oferty dziewięciu miliardów obcych z Wężownika szukających partnerów seksualnych. Myślę, że chodzi o, co zresztą sugeruje ta ich wiadomość, rodzaj transakcji. Oczekują, że zapłacimy za to, co otrzymaliśmy; towar za towar. Chciałbym tylko wiedzieć, co z tymi „wysokimi karami”.

Vaffa zmarszczyła brwi, śledząc tok rozumowania Cathaya. Teraz, kiedy znalazła się na znajomym gruncie, twarz jej się wygładziła.

- Odeszliśmy od tematu - powiedziała. - Mówiliśmy o naszej misji; dlatego ja i Lila mamy do ciebie dołączyć. To proste. W takiej ważnej sprawie szef potrzebuje więcej informacji. To, co dostawaliśmy do tej pory, mu nie wystarcza. Ponieważ nie jest w stanie zapytać samych mieszkańców Wężownika, musimy zrobić, co się da, żeby odszukać je w oryginalnych przekazach.

- Rozsądne - stwierdziła Lila.

Vaffa spojrzała na nią; Lila wiedziała, że kobieta jest jej wdzięczna. Dla Vaffy cały pomysł nie miał zbyt wiele sensu. Przyjmowała na wiarę, że szef właściwie ocenił sytuację.

- To znaczy - ciągnęła Lila - trudno uwierzyć, żeby nie umieścili w swoich przekazach tego wszystkiego, co powinniśmy wiedzieć. A zresztą nawet gdybyśmy ich mogli zapytać, odpowiedź dotarłaby do nas po trzydziestu czterech latach.

- Właśnie. Widziałas, że wiadomość zawiera wiele słów, przy których zaznaczono stopień prawdopodobieństwa tłumaczenia.

- To normalne w przekazach z Gorącej Linii - wtrącił Cathay.

- Tak myślałam. Jedyne, co mamy w tej chwili, to tłumaczenie,

które dostałeś. Ale będą nam potrzebne surowe dane. Szef chce je przeanalizować niezależnie. Cathay zmarszczył brwi.

- To nie będzie łatwe. Prawdę mówiąc, zupełnie niemożliwe.

- Dlaczego?

-Słuchaj, ja... no dobra. Mój kontakt pracuje w dziale tłumaczeń StarLine. Ona... wiecie, w jaki sposób oni zdobywają dane? -Spojrzał na obie kobiety, pokręcił głową i mówił dalej: - StarLine ma stację w kosmosie, w strefie, gdzie sygnał z Gorącej Linii jest najsilniejszy. Kiedyś było więcej stacji, ale teraz StarLine uzyskała na to monopol od plutońskiego rządu. Luna parę razy próbowała się temu sprzeciwić... ale chyba rozgrywki polityczne nie mają dla nas większego znaczenia. Więc w praktyce Pluton kontroluje wszystko, co się dzieje na zewnątrz jego orbity.

Pracownicy stacji nie wysyłają danych na Plutona drogą radiową, żeby ich nikt nie skopiował nielegalnie. Nagrywają wszystko, co przychodzi z Linii i wysyłają w zdalnie sterowanych szybkich rakietach, które są tutaj odbierane z zachowaniem najwyższej ostrożności.

Kiedy jeszcze istniała konkurencja, mieli parę naprawdę szybkich rakiet. Ludzie ze stacji robili wtedy selekcję danych. Po wstępnym tłumaczeniu komputerowym, jeśli znaleźli coś, co mogło być cenne, pakowali to do rakiety, żeby wyprzedzić pozostałych w zdobywaniu patentów, sprzedaży i tak dalej. Teraz to nie ma znaczenia, ale z tamtych czasów została im jedna z tych ekspresowych rakiet. Użyli jej, kiedy dostali ten ostatni komunikat. Mój kontakt powiedział mi, jak było i że chyba nie uda się jej dostarczyć tej wiadomości. Użyłem całego nacisku, na jaki sobie mogłem pozwolić, i w końcu to zrobiła. Ale na tym koniec. Trzymają wiadomość w takiej tajemnicy, że nie zrobili nawet wydruku oryginalnych danych. Mają go w komputerze StarLine, a jeśli sądzicie, że można się tam włamać i gwizdnąć mu coś z pamięci, to życzę powodzenia.

Vaffa zmarszczyła brwi.

- Nie, to się nie uda. Szef już próbował, zanim nas wysłał. Cały czas pracuje nad włamaniem, ale te programy obronne są straszne.

- Najlepsze na Plutonie - powiedział Cathay. - Nie wiem, co macie na Lunie.

- A gdyby twój kontakt włamał się dla nas od środka?

Cathay zastanowił się.

- Tylko cztery czy pięć osób na samej górze ma dostęp do danych. Może ze dwadzieścia wie w ogóle o ich istnieniu. Nie dostanie najtajniejszych kodów dostępu; nie ma się nawet jak o nie postarać.

- Co na nią masz?

-Ja... hm, uczę jej dziecko. Znalazła się w kłopotach, tak jak ta kobieta, która tu była przedtem. Była w ciąży, a nauczyciel wycofał się w ostatniej chwili. Przyszła do mnie, załatwiłem to z szefem. W dodatku, i to chyba dość ważne, musiałem jej mnóstwo zapłacić z pieniędzy Tweeda za tę właśnie wiadomość... Oprócz tego, że jej groziłem... powiedziałem, że zrezygnuję z uczenia jej dziecka.

Odwrócił wzrok. Lila wstydziła się równie jak on. Jedynym usprawiedliwieniem dla opuszczenia dziecka w trakcie nauki była śmierć nauczyciela.

Vaffa zdawała się tego nie zauważać.

- Dlaczego nie możesz tak zrobić jeszcze raz?

- Ostatnim razem dostała tyle pieniędzy, że stacją, żeby wynająć na lewo licencjonowanego nauczyciela. To jest możliwe, bez względu na to, co mówią ci ze Stowarzyszenia.

- Tak czy inaczej, mógłbyś spróbować.

- W porządku.

Vaffa znowu zmarszczyła czoło.

- A tymczasem musimy przyjąć, że miałaś rację i poszukać innego wyjścia.

Lila spojrzała na Cathaya; wyglądał na równie zdumionego, jak ona.

- Innego wyjścia? - powtórzyła. - Przecież jedyna kopia oryginalnej wiadomości znajduje się w komputerze StarLine. Jak inaczej możemy ją wydobyć?

- Nie możemy. Oczywiście, szef cały czas próbuje, ale dotąd nie znalazł nikogo postawionego choćby tak wysoko jak kontakt Cathaya. Będą musieli starać się uzyskać dostęp do komputera normalnymi kanałami. Ale mało prawdopodobne, że to wypali. Więc trzeba będzie zdobyć dane bezpośrednio. Kupimy statek i polecimy w pobliże Linii.

Cathay nie przyjął tego dobrze, kiedy stało się jasne, że Vaffa miała na myśli również jego. Kłócił się z nią godzinami, w końcu wręcz przysiągł, że nie poleci.

- To po prostu niemożliwe. Nie mogę tak sobie polecieć na trzy lata, nawet jeśli nie przyjmę już ani jednego dziecka. Najmłodsze, które mam teraz, będzie mnie potrzebować co najmniej przez tyle czasu.

- Nie wolno ci podpisywać kontraktów edukacyjnych - przypomniała mu Vaffa. - To twoja prywatna sprawa. Masz zobowiązania przede wszystkim wobec szefa. I tylko one się liczą.

- Bzdura. Nie możesz mi kazać zostawić tych dzieciaków. To uświęcony zwyczaj. Jak się przyjmuje kontrakt, to się go wypełnia.

- Tego kontraktu nie skończysz.

Lila zwróciła uwagę na staranną wymowę Vaffy i jej absolutny spokój. Uważaj, pomyślała.

- Skończę. Nic, co możesz mi zrobić, nie...

Vaffa wymierzyła mu potężny cios w kark i nawet się nie prostując zwróciła w stronę Lili, siedzącej w całkowitym bezruchu. Vaffa powoli odprężyła się, usiadła i pogrążyła w myślach. Nie zwracała najmniejszej uwagi na nieprzytomnego mężczyznę leżącego na podłodze. Lila podniosła go i z trudem zawlokła do sypialni. Położyła go na łóżku, po czym usiadła obok w ciemnościach.

- Lilo, wróć tutaj.

Wstała i wróciła do większego pokoju.

- Myślę, że będę musiała go zabić - powiedziała Vaffa.

Lila wolno opadła na krzesło.

- Dlaczego, przecież nic takiego nie zrobił.

- Niepokoi mnie to, jak daleko może się posunąć.

Vaffa westchnęła i potarła kark. Wyglądała na zmartwioną, a równocześnie całkowicie zdecydowaną.

- Nie powinien był mnie tu posyłać - stwierdziła. - Nie mogę ufać żadnemu z was, a nie jestem w stanie upilnować obojga równocześnie. Któregoś muszę się pozbyć.

- Dlaczego nie zostawisz go tutaj? Do tej pory był przecież sam, prawda?

- Szeff się obawia, że Cathay może narobić kłopotów. Zbyt wiele wie o tej wiadomości z Gorącej Linii. A oprócz ludzi z kompanii i nas jest jedynym człowiekiem na Plutonie, który o niej słyszał.

- Ale przecież on też jest... to znaczy, skazanym przestępcą, tak jak ja?

- Nie. Tylko nauczycielem bez prawa wykonywania zawodu. Szeff skontaktował się z nim, kiedy Cathay wpadł w tarapaty i obiecał mu, że jeśli się zgodzi dla nas pracować, załatwi mu nową tożsamość i pozwolenie na pracę. Miał poczekać jeszcze parę lat. Nie wiedzieliśmy, że uczy nielegalnie. Najwyraźniej zaczął się niecierpliwić, a to niebezpieczne ze względu na... - urwała gwałtownie, spojrzała bezradnie na Lilę i objęła głowę rękami.

Lila podejrzewała, że Vaffa napomknęła o sprawach, które miały pozostać tajemnicą. Najwyraźniej jednak pragnęła porozmawiać.

- Nie będę ci mogła pomóc w podjęciu decyzji, jeśli nie powiesz mi wszystkiego.

- A kto mówi, że cię proszę o pomoc?

- Nikt. Ale twierdziłaś, że mi ufasz. Zawarliśmy układ.

- Wiem. Chcę ci ufać. Muszę, jeśli mam pozwolić mu żyć.

- Tylko nie jesteś pewna, czy możesz to zrobić. A na nic się nie

zda mówić szefowi o naszej umowie. Tego nie było w rozkazach, prawda?

-Mhm.

Wyglądała na przygnębioną. Życie Vaffy polegało na wykonywaniu rozkazów; robiąc coś na własną rękę czuła się niepewna.

- Tak czy inaczej, najpierw wybadaj szefa - zasugerowała Lila. - Zobacz, co sądzi o Cathayu. Może Tweed nadal go potrzebuje. Nie musisz wspominać o umowie.

Vaffa rozmyślała nad tym przez dłuższą chwilę, w końcu skinęła głową. Lilę ogarnęła fala ulgi. Zanim Vaffa uzyska odpowiedź od Tweeda, upłynie co najmniej dwanaście godzin.

Cathay wciąż był nieprzytomny. Lila przyniosła miskę z wodą i usiadła obok niego. Przetarła gąbką guz na czole w miejscu, gdzie się uderzył, upadając. Jęknął i otworzył na moment oczy, potem znowu je zamknął. Lila podłączyła go do monitora medycznego przy łóżku i dowiedziała się, że śpi, ale nie ma wstrząsu mózgu.

Rozebrała się i położyła obok niego. Objęła go od tyłu ramionami i mocno przytuliła.

Przez godzinę leżała zupełnie nieruchomo. Próbowwała zasnąć, ale jej myśli wracały do Cathaya i tego, jak mogłaby mu pomóc.

Na koniec zdecydowała się go obudzić. Wolno przesunęła rękami po jego klatce piersiowej, po płaskim i twardym brzuchu. Mężczyzna miał erekcję. Ujęła w dłoń penis i lekko przesunęła kciukiem po żołądździ. Poruszył się.

-Jak tam twoja głowa?

Sprawdził ostrożnie.

- Chyba nie tak źle. Szyja mnie boli.

- Cicho - ostrzegła Lila. - Umiesz się bić?

Przewrócił się na plecy.

- Hm, myślę, że stać mnie na trochę więcej, niż widziałas. Zupełnie mnie zaskoczyła. Chociaż nie, nie jestem zapaśnikiem. Zrobiłaby ze mnie miazgę. A jak z tobą?

- Podobnie. Zdaje się, że będziesz musiał polecieć z nami. Dostała bezpośredni rozkaz, żeby cię tu nie zostawiać. Nie masz wyboru.

-Wiem. Chyba się domyślałem od początku, odkąd ją zobaczyłem.

-I co zamierzasz zrobić? Mam przestać?

- Nie, proszę. Bardzo mi przyjemnie. - Odwrócił się twarzą do niej i zaczął głaskać jej ciało. - Wolałbym o tym nie mówić. To zbyt bolesne.

- Muszę wiedzieć, co postanowiłeś. Mamy najwyżej jeden dzień.

Znowu położył się na plecach. Lila w dalszym ciągu delikatnie masowała jego penis; przykrył jej dłoń swoją. Leżeli w milczeniu przez długą chwilę.

- Dlaczego? - zapytał w końcu.

-Jeśli zostaniesz, ona cię zabije. Spróbuj wymyślić coś, żeby ją powstrzymać. Ja... myślałam... do licha! Zastanawiałam się, czy powinnam... czy powinnam zaryzykować i może razem moglibyśmy... nic ci nie proponuję, po prostu myślałam, że może powinniśmy przedyskutować...

- Aż tak mi ufasz? Przecież nawet mnie nie znasz. Jeśli zdecyduję się zostać, nic nie stracę knując razem z tobą. Może nawet uda mi się zostać przy życiu. Ale dlaczego ty chcesz to zrobić?

- Może to moja ostatnia szansa. Słyszałeś już o mnie?

Popatrzył na nią.

- Nic konkretnego. I nie chcę słyszeć. Nie obchodzi mnie, co zrobiłaś. Wiem tylko, że jesteś jednym z tych jego klonowanych przez stępców. - Zauważył zdumienie na jej twarzy. - Aha, dowiedziałem się o nim paru rzeczy. Wystarczy, żeby mu narobić poważnych kłopotów. Nic dziwnego, że chce się mnie pozbyć.

Westchnął i odsunął się od niej. Splótł ręce pod głową.

Lila doszła do wniosku, że skończył rozmowę; wcale jej to nie przeszkadzało. Porozmawiać mogą później. Właśnie teraz ogarnęło ją lekkie podniecenie. Był pięknym mężczyzną. Lubiła jego zapach

i dotyk jego rąk na swojej skórze. Wyciągnęła się na łóżku, potem uniosła na łokciu i pochyliła nad nim.

- Kolekcjonuje ich - mówił Cathay, machinalnie masując jej głowę jedną ręką. - Całe tuziny tych biednych głupców trzyma gdzieś w jakiejś tajnej bazie. Mają zamiar zwyciężyć Najeźdźców. - Roześmiał się gorzko i spojrział na nią. - Ale gdybyś ty należała do Wolnych Ziemiaków, nie bałabyś się tak bardzo tamtej kobiety. To znaczy, bałabyś się jej, ale i szanowała; rozumiesz, o co mi chodzi?

Wolno wypuściła powietrze i oparła mu głowę na brzuchu. W porządku, jednak mimo wszystko chce rozmawiać.

- Widziałam, do czego jest zdolna. I myślę, że znam parę jej słabych stron. Teraz czuje się bardzo niepewnie. Tweed nie powinien jej był posyłać samej w tę podróż.

- Nie wysłał. Wysłał was obie.

- O co ci chodzi? Myślisz, że jestem Wolną Ziemiaką?

- Nie. Ale jednak cię tu sprowadził. Musiał mieć swoje powody.

Podniosła głowę, żeby na niego spojrzeć.

-Ja się tu chyba znalazłam przez przypadek. Lecieliśmy na Tytana, kiedy dowiedział się o tej wiadomości od ciebie...

- Nie. To wcale nie tak. Wysłałem mu wiadomość trzy miesiące temu. Być może podał wam inny cel podróży, ale miałyście dotrzeć tutaj. Pewnie nawet pilot o tym nie wiedział. Rozkaz przyszedł w sam czas, żebyście mogli zmienić kurs i lecieć na Marsa, prawda?

- Mniej więcej - przyznała.

- No właśnie. Więc chciał, żebyście się tu znalazły. Chciał, żeby Vaffa była jego jedynym lojalnym agentem pośród nas. Gdyby uważał, że Vaffa nie da sobie rady, z pewnością posłałby jeszcze kogoś, kto by was śledził w drodze z portu gwiazdowego.

- Nic z tego nie rozumiem. To wygląda na jakąś grę. Chodzi mu o to, żebyśmy pracowali dla niego, czy tylko przeszkadzali sobie nawzajem?

- To nigdy nie jest proste - westchnął Cathay. Ujął Lilę za rękę

i delikatnie pociągnął ku sobie. Przyłgnęła całym ciałem do jego boku, otoczonego ramionami. - Od piętnastu lat mam z nim do czynienia. Jeszcze pięć... no cóż, obiecał mi nową tożsamość. Powoli zaczynam wątpić, że spełni przyrzeczenie, ale w coś w życiu trzeba wierzyć.

Zamilkł. Przytulił ją mocniej, potem przesunął się niżej i zaczął całować jej piersi. Tym razem na Lilę przyszła kolej, żeby się odsunąć i spojrzeć na niego uważnie.

- Nadal nie rozumiem, o czym mówisz.

- No, dobrze. Z Vaffy jest świetny żołnierz, ale kiepski generał. Brak jej inicjatywy. Dlatego się tu znalazłaś: żeby podejmować trudne decyzje w sprawach, które się mogą pojawić, a nie mogą czekać, aż szef to zrobi. Nie w sprawach życia i śmierci, ani w kwestiach etycznych, to znaczy dotyczących etyki Wolnych Ziemian. Od tego jest Vaffa. Doskonale potrafił cię ocenić. Wiem coś niecoś o tym, przez co przeszłaś i jak dobrze Tweed miał okazję cię poznać. Nie rzucisz się na Vaffę, z całą pewnością.

- Skąd możesz wiedzieć? - zaprotestowała.

Czuła, że płoną jej policzki; trochę z gniewu, a trochę ze wstydu. Ledwie przed chwilą zdecydowała, że opór w tym punkcie jest bezcelowy i najlepiej będzie poczekać, aż wróci na Plutona i dowie się nieco więcej o swojej przeciwniczce.

- Przede wszystkim dlatego, że później będziesz miała większe szanse na ucieczkę. Sama to widzisz. Klatka, w której cię zamknął, jest niematerialna. Nie możesz poznać jej granic waląc w kraty. Będziesz musiała zdobywać swoją wolność krok po kroku, stopniowo dowiadywać się, ile ci wolno, aż złożysz to w udaną próbę ucieczki. Jeśli to w ogóle możliwe, co, o ile mi wiadomo, nie jest wcale pewne. Dlatego bardzo prawdopodobne, że Vaffa nie jest sama. Tweed nie musiał jej mówić, że jeszcze ktoś cię pilnuje. Jest przekonany, że zdajesz sobie z tego sprawę i nie będziesz próbowała uciec.

Lila uświadomiła sobie, że obecna sytuacja rzeczywiście przypomina tamtą, złudną szansę ucieczki, którą próbowała wykorzystać

Lila 2, jej pierwszy klon. Przypomniała sobie swoje postanowienie. Nie będzie ufać zbyt łatwo nadarzającym się okazjom; rozejrzy się za nieprawdopodobnymi. Ale w dalszym ciągu była rozgniewana.

- A co, jeśli powiem: Do diabła ze zdrowym rozsądkiem! Do diabła z Tweedem! Jeśli postawię wszystko na jedną kartę, zaatakuję Vaf-fę z twoją pomocą i ją unieszkodliwię? Skąd może wiedzieć, że nie podejmę irracjonalnej decyzji? A może to kolejny test i nie było żadnej wiadomości z Gorącej Linii?

- Była, ale cieszę się, że dostrzegłaś taką możliwość. Dla własnego dobra nie powinnaś mi ufać całkowicie po tak krótkim czasie.

Zaczął lizać jej sutki; tym razem nie protestowała. Pogładziła go po plecach, jej oczy wolno się zamknęły. Ostatnie skurcze - skutek podróży wysokoprzyspieszeniowej - ustępowały w przenikającym ją do głębi ciepłe. Czuła delikatne mrowienie, przebiegające od płatków uszu po czubki palców u nóg. Mimo to raz jeszcze otworzyła oczy i spojrzała na niego.

- Nie odpowiedziałeś na moje pytanie.

- Nie wie. Całkiem prawdopodobne, że miałabyś największe szanse, gdybyś spróbowała właśnie teraz. Tweed nie ma się jak bronić przed twoimi działaniami, jeśli są zupełnie nielogiczne. Nie jest ich w stanie przewidzieć.

- Więc dlaczego ryzykuje?

Cathay westchnął.

- Bo mnie też zna całkiem nieźle. Nie możesz ze mną współprawać wbrew mojej woli. A ja nie chcę walczyć. Lecę z wami. Wybie ram życie. Kolejny raz zostawię swoich uczniów i szacunek do samego siebie, czy raczej to, co z niego zostało. A teraz, skoro już się do tego przyznałem, obnażyłem przed tobą swoje nędzne wnętrze, czy byłabyś łaskawa się zamknąć i rozłożyć nogi?

Mówił lekko i z uśmiechem, ale kiedy w nią wszedł, zrobił to gwałtownie, jakby się chciał zatracić w uniesieniu. Lila poddała się, pozwoliła mu nadawać tempo, przynajmniej za pierwszym razem.

Odkryła ze zdumieniem, że sprawia jej to przyjemność. Częściowo wynikało to z czysto fizycznej potrzeby, minęło już tak wiele czasu, a częściowo ze współczucia dla Cathaya. Nie jest przyjemnie wyznać, do czego jest się gotowym posunąć, żeby pozostać przy życiu. Ale częściowo było to coś jeszcze innego, może początek uczucia, które pewnego dnia przekształci czysto zdrowotny akt kopulacji w to, co tak subtelnie, a równocześnie tak bardzo się od niego różni - w akt miłości.

Rozdział piętnasty

„Porady w sprawie wyboru zawodu”, interakcyjny podręcznik zdarzeń, program zatwierdzony przez Towarzystwo Pomocy Edukacyjnych.

CZYTELNIK: Nie umiem czytać.

DORADCA: Nie ma sprawy. Od tej pory będę ci odpowiadać na glos. Po prostu nie zwracaj uwagi na słowa na ekranie, dobrze?

C: Mhm. W jaki sposób można, to znaczy, co muszę zrobić, żeby zostać łowcą dziur?

D.: Łowcą dziur! To jeden z zawodów, o które najczęściej nas pytają. Brzmi strasznie romantycznie, prawda? Nikt tobą nie rządzi, masz statek na własność i w dodatku możesz się wzbogacić. Czy to cię właśnie pociąga w łowieniu dziur?

G: No. Chyba tak.

D.: Próbujemy odwozić młodych ludzi od tego zawodu. Jest z nim związanych wiele problemów. Na przykład, jak myślisz, ile może kosztować taki statek?

C: Chyba strasznie dużo.

D.: Bardzo dobrze! Musisz zdobyć pieniądze i najpierw je zainwestować w statek. A przygotowanie go do podróży kosztuje jeszcze więcej. W dodatku to jest niebezpieczne. Tacy, co nie wiedzą o tym zbyt wiele, po prostu prują przed siebie, jak długo wytrzymają silniki, a potem siadają i gapią się w detektor masy. Czasem czekają tak przez piętnaście lat i nic. W końcu mówią: „dość tego” i wracają skąd przybyli. Trzy razy na cztery nie znajdują żadnej dziury, więc po powrocie większość plajtuje. Twoja pierwsza podróż może być ostatnią. Jeśli ją w ogóle przeżyjesz.

C: Dlaczego?

D.: To przecież niebezpieczne! Jeżeli znajdziesz dziurę, musisz zwołać w odpowiedniej odległości od niej, żeby ocenić jej położenie i kierunek poruszania. Może się zdarzyć, że wpakujesz się wprost na nią. Nawet, jeśli ci się uda wszystko zrobić jak trzeba, będziesz musiał wrócić i chwycić ją na hol elektromagnetyczny. A koło Plutona są tacy, co tylko na to czekają. Siądą ci na rufie. A będziesz pół roku świetlnego od Słońca. I co zrobisz, zadzwonisz po gliny? Będziesz musiał o nią walczyć.

C: Potrafię się bić nie gorzej od innych. Chciałem się tylko dowiedzieć, czy muszę nauczyć się czytać?

D.: A po co? Od czego masz komputer?

Wyrok na Cathaya był jednoznaczny i rzeczowy. Vaffa pokazała mi go, kiedy go tylko zdekodowała. Próba usprawiedliwienia się w moich oczach? Miałam nadzieję, że tak; skoro tak bardzo zależało jej na mojej opinii — bez względu na to, czy zdawała sobie z tego sprawę, czy nie — świadczyło to, że moja pozycja stawała się coraz mocniejsza. Szef nie potrzebował Cathaya, jeśli pozostawienie go przy życiu miało się równać zezwoleniu, żeby został na Plutonie z całą wiedzą, którą posiadał.

Myszę, że kiedy Vaffa skończyła czytać, miała już gotowy plan. Jej umysł był do tego stopnia prostoliniowy. Na wiadomość, że Cathay zdecydował się jechać z nami, z bólem musiała go zmodyfikować.

- Ale chce czegoś w zamian - powiedziała Lila w przypiływie natchnienia.

- To mu nie przyniesie nic dobrego. O co chodzi?

- Rozumie, że nie może się targować - ciągnęła, improwizując. - Ale w przeszłości bywał bardzo użyteczny dla Tweeda. Nadal może być użyteczny, po powrocie, jeśli teraz nie zrobisz sobie z niego wroga.

-Mów dalej.

- Te trzy... kontrakty, które podpisał.

Oczywiście, były nielegalne. Nie miał prawa tego robić. Ale przecież przyrzekł je wypełnić.

- Matki tych dzieciaków wpadły jak w krater z górnem, rozumiesz. Przy obecnym braku nauczycieli nie ma mowy, żeby znalazły kogoś do swoich dzieci. Cathay mówi, że tutaj czeka się na nauczyciela dziesięć lat. Dzieciaki zdążą dorosnąć, zanim trafi się ktoś na jego miejsce. Wszyscy nauczyciele są już zaklepani, a ich uczniowie nawet się jeszcze nie urodzili.

- To nie mój kłopot.

- Zgoda. Ale Tweed jest bogaty. Można by znaleźć innych nielegalnych nauczycieli, tyle że to kosztuje.

Vaffa zastanowiła się.

- Zapytam szefa.

Następny dzień przyniósł decyzję Tweeda. Zapłaci matkom. Vaffa wydawała się zaskoczona; pytała głównie po to, żeby zadowolić Lilę, na której opinii zaczęła polegać w drobnych sprawach.

Dla Cathaya była to miła niespodzianka; cieszył się, choć starał się to ukryć przed Vaffą. Lila poczuła głębokie zadowolenie. Przyszło jej do głowy, że to jedna z pierwszych rzeczy, jakie udało się jej prze-

prowadzić z własnej inicjatywy, odkąd uciekła z więzienia. W dalszym ciągu zastanawiała się jednak, czy Tweed i to przewidział, i dlatego zgodził się tak szybko. Czyżby pieniądze znaczyły dla niego tak mało? A może przekonała go jej argumentacja, że w ten sposób zjedna sobie Cathaya, zapewni jego usługi po powrocie? Czy też obawiał się, że bez pieniędzy uniesione gniewem matki zadenuncjują Cathaya, co oznaczałoby dochodzenie i - prawdopodobnie - kłopoty dla Tweeda, mimo że i one znalazłyby się w trudnej sytuacji. Jak zawsze, motywy postępowania Tweeda były dla niej niezrozumiałe.

Teraz musieli zdobyć statek, a Vaffa nie miała najmniejszego pojęcia, jak się do tego zabrać. Lila nie wiedziała również, ale zachowywała się, jakby robiła to wiele razy; nie miała wątpliwości, że w razie czego poradzi sobie lepiej niż Vaffa.

Za pomocą telefonu Cathaya szybko się dowiedziały, na jakich zasadach opiera się handel używanymi statkami. Zawsze były jakieś na sprzedaż, kiedy kolejni łowcy dziur bankrutowali i zwijali interes. Ale transakcji dokonywano błyskawicznie, a ceny zawsze były wysokie. Lila sprawdziła u dwunastu pośredników i przekazała rezultaty Tweedowi przez Vaffę. Gdyby zaproponowali trzykrotną rynkową wartość, mieli szansę na statek za cztery-pięć miesięcy.

- Dlaczego aż tyle? - chciała wiedzieć Vaffa.

- To bardzo skomplikowane - wyjaśniła Lila. - Kupujących jest więcej niż sprzedających. Trzeba się zapisywać na listę. Sąd przekazuje ruchomości łowcy, który zbankrutował, pośrednikowi, a ten dostaje prowizję. Kiedy tylko pojawi się bankrut, jego statek natychmiast zostaje sprzedany. Mogą sobie za niego zaśpiewać, ile zechcą. Nawet jeśli się jest na liście, trzeba czekać trzy do czterech lat. Żeby się na niej przesunąć w górę, trzeba dać łapówkę pośrednikowi. Żeby się przesunąć naprawdę daleko, łapówka powinna być trzy razy wyższa od ceny statku.

-I to jest legalne?

- Co najdziwniejsze, tak. Mówili o tym zupełnie otwarcie. Pośre-

dnik sporządza listę. Sąd nie ma nic do tego, kto dostanie statek. Więc pośrednicy zbijają fortuny. Zdaje się, że to jeden wielki szwindel.

- A nie da się tego załatwić bezpośrednio z łowcami?

- Nie. Ci, którzy są wypłacalni, nie sprzedadzą statku za żadne skarby. A stada bankrutów już do nich nie należą. Są przekazywane syndykowi i sądy zawsze przyznają je pośrednikom. Mówiłam ci, że to kant.

- A nowe statki?

- Jeszcze dłuższa lista, wyższe ceny i większe łapówki. Vaffa wyglądała na skwaszoną. Nie znała się na interesach.

- Przekażę to szefowi.

- Możesz mu powiedzieć jeszcze coś - ostrożnie zaproponowała Lila. - Potrzebujemy tego stadcu tylko na jedną podróż. Kupowanie go to chyba dość głupi pomysł. Poza tym, czy potrafiłabyś nim sterować?

- Myślałam, że od tego jest komputer.

- Prawda. Ale łowcy wylatują na długie wyprawy. Wielu z nich nie wraca, bo coś się psuje, na przykład w komputerze, a oni nie wiedzą, jak to naprawić. Ludzie uważają, że łowienie dziur jest łatwe jak podróż z Luny na Marsa, ale to nieprawda. Pięćdziesiąt procent nie wraca ze swojej pierwszej podróży. Więc będziesz potrzebowała pilota, bo ani ja, ani Camay nie mamy pojęcia o obsłudze stadców. Ja mogę odwalać całą robotę z komputerem, jeśli nie będzie zbyt skomplikowana. Ale nie wiem nic o silnikach fuzyjnych. Potrzebujemy kogoś, kto się na tym zna.

Vaffa westchnęła.

- Więc co proponujesz?

- Może udałoby się wynająć statek jakiegoś łowcy. Wydaje mi się, że nawet jedna dziesiąta ceny statku byłaby atrakcyjna. To znaczy, o ile pieniądze nie stanowią problemu. Nie wiem przecież, ile szef ma forsy.

Chyba nie można być tak bogatym, żeby pieniądze nie stanowiły problemu. Człowiek, który tak myśli albo się nie dorabia, albo wszystko traci. Tweed był bajecznie bogaty, a mimo to mój

pomysł go zainteresował. Trudno się dziwić; niektóre z sum, jakie mu podałyśmy wystarczyłyby, żeby utrzymać średniej wielkości miasto przez rok.

Tak czy inaczej, nie obchodziła mnie fortuna Tweeda. Ważne było to, że kupić można statek przez telefon, ale by go wynająć, należało się osobiście pofatygować do łowców. Nie istniały agencje, zajmujące się wynajmem; zresztą, kto by potrzebował wynająć taki mały statek ?

Vaffa nie dałaby sobie z tym rady, w każdym razie nie sarna. A to oznaczało, że wyjdę na zewnątrz, pokręcę się po mieście, zorientuję w sytuacji. Jeśli pojawi się dogodna okazja, kto wie... ?

Przez dwa tygodnie nic nie załatwiły. Dzień po dniu wracały do korytarzy mieszkalnych, oświetlonych przez rzadko rozmieszczone jasnobłękitne nocne światła i padały wyczerpane na łóżka.

Tweed zaczynał się niecierpliwić. Vaffa twierdziła, że wspominał coś o ostatecznym terminie; jeśli przez następne dwa tygodnie nie uda się im wynająć statku, gotów był go kupić. Do tej pory stracą już miesiąc, a to mu się nie podobało.

Lila czuła coraz większy niepokój. Nie dbała o czas, ale uważała, że nawet jeśli kupią statek, problem nie zostanie rozwiązany: nadal będą musieli wynająć pilota. Wokół kręciło się ich mnóstwo, ale podejrzewała, że niełatwo będzie kogoś zatrudnić. Z tego samego powodu, z którego tak trudno im było wynająć statek. Vaffa odstraszała łowców.

Łowcy dziur stanowili najdziwniejsze środowisko, jakie kiedykolwiek stworzył rodzaj ludzki. Na swój sposób byli równie dziwaczni jak ludzie, którzy zdecydowali się na połączenie z symbem. Trzeba mieć specyficzne upodobania, by dać się zamknąć w jednoosobowym statku i ruszyć w podróż trwającą dwadzieścia-czterdzieści lat. Większość statków miała około pięćdziesięciu metrów sześciennych przestrzeni życiowej; niektóre nawet mniej. Podróż mogła się zakończyć na-

wet pół roku świetlnego od Słońca. Ludzie, którzy doświadczali takiej samotności przez tak długi czas, musieli być inni.

- Większość z nich nie lubiła towarzystwa na długo, zanim zdecydowali się wyruszyć - mówił Cathay. - Dwadzieścia lat nie widzą żywej duszy, a potem wracają i dochodzą do wniosku, że wcale im tego za bardzo nie brakowało.

Znajdowali się w domu Cathaya, po kolejnym dniu spędzonym na zwiedzaniu pałaców rozrywki w okolicach portu gwiazdowego. Idąc za radą Liii Cathay obniżył temperaturę powietrza, tak żeby przyjemnie było zasiąść wokół kominka, w którym ukryto grzejnik elektryczny. Wszyscy troje wtarli sobie w genitalia łagodny środek halucynogeny, a potem wdychali proszek rozluźniający mięśnie. Ciała mieli pokryte świeżym olejkami: Lila była lawendowa, Cathay - perłowy, a Vaffa szkarłatna. Mieli za sobą długą godzinę ślizgania się w zwolnionym tempie, wyciszenia emocjonalnego i spokoju. Teraz leżeli twarzami w dół, Lila w środku.

Czuła się wspaniale. To był spokój podobny do tego, jaki się odczuwa, kiedy odzyska się oddech po dziesięciokilometrowym biegu, ale bez poprzedzającego bólu i wyczerpania. Chciała wprowadzić Vaffę w dobry nastrój, zanim jej powie to, co zamierzała i wyglądało na to, że osiągnęła cel. Vaffa nie ceniła sobie zbytnio kopulowania; Lila podejrzewała, że nigdy nie pociągała nikogo na tyle, żeby zostać pokochaną i jak wielu innych doszła do wniosku, że seks jest przereklamowany. Może dzisiejszego wieczoru po raz pierwszy spróbowała seksu, który był przyjemnością dla zmysłów, a nie tylko pogonią za orgazmem.

-Ja tam ich nie rozumiem - stwierdziła Vaffa.

- Dlatego, że nigdy nie spotkałaś kogoś, kto by nie lubił ludzi równie mocno jak ty - powiedziała Lila.

Miała nadzieję, że Vaffa przyjmie to dobrze, nie potraktuje jako obelgi. Kobieta nigdy nie udawała, że lubi innych.

- Może i masz rację - zgodziła się Vaffa.

Wydawało się, że ma ochotę się uśmiechnąć, ale jej usta nie bardzo wiedziały, jak się do tego zabrać. Lila wsparła się na łokciu i przyjrzała lekko połyskującej zjawie. Teraz, kiedy uniosła głowę, czuła się trochę ociężała; zbyt wiele rzeczy piła, paliła i wdychała w ciągu dnia. Drobne czerwone płomyczki pełgały po bezwłosych plecach Vafry. Lila ścigała je czubkami palców i gasiła na poddających się mięśniach. Vaf-fa wygięła się zmysłowo i jęknęła z zadowolenia.

- Muszą być bardzo wrażliwi ci łowcy dziur - zastanawiała się Lila.

- Bardzo - mruknął Cathay.

Potrząsnął głową, żeby odpędzić sen; z jego włosów posypały się iskry. Lila była zachwycona.

- Myślę, że reagują na ciebie - powiedziała.

- Wjaki sposób?

Vaffa podniosła głowę, przez co wyglądała zupełnie jak jej własny ulubiony pyton.

- Nie jestem pewna. Prawie jak telepaci. Nie widzą ludzi przez dwadzieścia lat. Więc kiedy wracają, są strasznie wrażliwi, wydelikaceni.

- Bardzo wyczuleni - przytaknął Cathay. - Łowcy, nie ty.

- Dzięki. Ale oni chyba czują, kiedy ktoś jest niebezpieczny. I myślę, że tak właśnie jest, kiedy mają do czynienia z tobą.

Vaffa zastanowiła się nad tym, po czym pozwoliła opaść swojej głowie.

- Może i masz rację.

Lila masowała jej kark i ramiona obiema rękami.

- Na pewno mam. Ty jesteś zabójcą; obie o tym wiemy, więc nie ma sensu owijać w bawełnę.

- Zupełnie nie ma sensu.

- Zdaje mi się, że jest w tobie coś więcej. Tylko może nigdy nie miałaś okazji tego wyrazić. Tak czy inaczej, łowcy mogą nie wiedzieć, że zabijałaś, ale wyczuwają groźbę.

- Pewnie masz rację.

- Mamy więc problem, co z tym zrobić. W jaki sposób wynająć statek i oszczędzić szefowi masę pieniędzy?

Lila mogła ciągnąć dalej, ale uznała, że należy przerwać. Lepiej, jeśli Vaffa sama wpadnie na pomysł.

Cathay uśmiechnął się do Liii, a potem odwrócił się, zanim Vaf-fa zdążyła cokolwiek spostrzec. Przez pół godziny w pokoju panowała cisza. W końcu Vaffa przewróciła się na bok i podparła głowę na rękę. Jej głos brzmiał sennie, kiedy się odezwała:

- W takim razie będziecie musieli iść sami.

Rozdział szesnasty

Kasyno Świętego Piotra płonęło tak samo jak ostatnim razem, kiedy je Lila odwiedziła. Płomienie pięły się w górę po gobelinach, z trzaskiem pożerały skracającą się od żaru dębową boazerię. Nawa główna, gdzie stały rzędy ławek, zamieniła się w istne piekło; rozszalały wir ognia sięgał sufitu. Wokół Piety ułożono stos z połamanymi meblami i podpalono; biały marmur zaczynał się już pokrywać sadzą. Lila wzięła drinka i kanapkę ze snack baru na ołtarzu. Całą noc stała przy stole do gry w kości i bolały ją nogi. Święty Piotr ją nudził. Ale już prawie zamykali. Niedługo zjawi się Jezus.

Wróciła do Kaplicy Sykstyńskiej; przecisnęła się do stołów dokładnie w chwili, kiedy jedna ze ścian budynku runęła. Dym skłębiony pod sufitem kaplicy rozwiął się na tyle, że mogła dojrzeć freski Michała Anioła. O tej porze nie wyglądały już najlepiej. Sufit popękał wokół otworów, wywierconych, żeby umocować kryształowe kandelabry, zwieszające się nad każdym stołem. Przez dziurę w miejscu, gdzie poprzednio znajdowała się ściana, widać było Wezuwiusza, wściekle płującego ogniem i siarką. Ktoś miał lepsze wyczucie dramaturgii niż znajomość geografii i historii, pomyślała Lila.

- Dwadzieścia na piętnaste - powiedziała, siadając obok męża-

czynny, którego obserwowała przez cały wieczór. Stracił fortunę w kości i teraz próbował ruletki, w nadziei że uda mu się przerwać złą passę. Krupierka w czarno-białym habicie zakręciła kołem; kulka zatrzymała się na numerze ósmym. Lila patrzyła, jak jej sztony znikają zgarnięte razem ze sztonami mężczyzny.

- Przepraszam - odezwał się jakiś głos z lewej. - Czy jesteś dostępna?

Popatrzyła na właściciela głosu. Oczy miał szkliste, a jego oddech pachniał słodko zongo, potężnym afrodyzjakiem. Najwyraźniej zażył jeszcze parę innych rzeczy; Lila zastanawiała się, co mężczyzna widzi, kiedy na nią patrzy. Spojrzała niżej i roześmiała się głośno. Jego genitalia zostały gruntownie przekształcone zgodnie z wymogami jakiejś nowej mody.

- Spadaj - prychnęła. - Jaki pożytek bym z tego miała?

- Wszystko w porządku - wybełkotał, omal się na nią nie przewracając. - Mam nasadkę.

Wyciągnął coś miękkiego i różowego, co zdawało się oddychać. Lila pchnęła go; wyładował w objęciach bramkarza.

- Hej! Przyniosłaś mi szczęście! - krzyknął mężczyzna obok niej. Krupierka przesuwiała w jego stronę wysoki słupek sztonów.

- W jaki sposób?

- Szturchnęłaś mnie w łokieć. Właśnie miałem obstawić dwadzieścia sześć, ale mnie trąciłaś i sztony trafiły na dwadzieścia osiem. Zostawiłem je tam. Myślę sobie: co mi szkodzi, i tak gorzej nie będzie, nie?

Lila ucałowała by natarczywego człowieczka, gdyby tylko znajdował się jeszcze w zasięgu wzroku. Przez cały wieczór łowca ignorował wszelkie próby nawiązania rozmowy i pogrążał się w coraz czarniejszej depresji.

- To co, wychodzisz, skoro udało ci się odegrać?

- Odegrać?... Bo ja wiem. Ty masz szczęście, co radzisz?

- Chyba nie mamy wielkiego wyboru, J.C. tu idzie.

Była to prawda. Okrwawiony, nagi, brodaty mężczyzna w koronie cierniowej wypędzał kupców ze świątyni, przed zabraniem się do jej odbudowy.

- Teraz na godzinę zapanuje tu czyszciec, moje dzieci - wołał. - Nie ma potrzeby wychodzić, ale musicie opuścić stoły gry na czas sprzątnia. W bibliotece papieżycy Agnieszki, na piętrze, serwowane są napoje. Potem możecie wrócić. I nie zapomnijcie zabrać pieniędzy.

Pociągnął przełącznik na ścianie i wszystko się zmieniło. Zniknęła połowa klientów, a z nimi większa część katedry. Na niskim białym suficie świeciły nagie żarówki. Roboty sprzątające z warkotem przesuwaly się wzdłuż przejść, bucząc ze złością, kiedy natrafiały na nie dość szybko cofniętą stopę jakiegoś klienta.

- No i co powiesz? - spytała Lila. - Zmęczony?

Roześmiał się.

- Chyba rzeczywiście powinienem wyjść, przynajmniej na chwilę. Przyniosłaś mi szczęście. Jestem do twojej dyspozycji.

- Świetnie. Myślę, że dobrze by nam zrobiła kąpiel. A tak swoją drogą, od dawna tu siedziałeś?

Lila wiedziała doskonale, że mężczyzna spędził w kasynie ostatnie trzydzieści siedem godzin. Vaffa i Cathay pilnowali go na zmianę; Vaffa posłusznie kryła się w cieniu. Lila wiedziała również, że ma on na imię Quince, ale nie powiedziała mu tego. Był łowcą dziur i to dość nietypowym; dlatego właśnie się nim zainteresowała.

Od sześciu dni, to jest odkąd Vaffa dała jej trochę swobody, Lila ciężko pracowała. Kobieta zdecydowała, że to Lila ma działać na własną rękę. Żadnemu z nich nie ufała za bardzo, ale Cathayowi ufała mniej. Podjęcie tej decyzji dużo ją kosztowało i do tej pory czuła niepokój.

Zadanie nie należało do łatwych, nawet bez Vaffy. Quince był najlepszą okazją, jaka się im do tej pory trafiła. Problem polegał na tym, że ci spośród łowców, którzy mieli własne statki, w najmniejszym stopniu nie interesowali się ich wynajciem. Wiele razy Lila miała

okazję usłyszeć: „łowca dziur łowi dziury, a od wynajmowania jazd są taksówkarze”. Nieliczni pracujący łowcy, którzy znajdowali się na Plutonie, czekali tylko, aż skończy się remont generalny ich statków i absolutnie nie mieli zamiaru zatrzymywać się przy Gorącej Linii.

Quince był trochę inny. Wynałazła go Vaffa. Odbył trzy podróże, każda po około trzydzieści lat. Za pierwszym razem miał szczęście i wrócił jako człowiek bogaty. Pieniądze przeznaczył na sfinansowanie dwóch kolejnych wypraw, ale nie znalazł ani jednej dziury. Zwykle, kiedy łowca wraca bez dziury, bankrutuje, a jego dobytek zostaje przekazany sądowi. Ale Quince w dalszym ciągu pozostał właścicielem swojego statku. Zostało mu trochę pieniędzy, zbyt mało jednak, żeby wyekwipować się na czwartą podróż. Nie zdołał znaleźć sponsorów; spekulanci bywają przesadni; żaden z nich nie chciał pomagać człowiekowi, który już dwa razy miał pecha. Tak więc od roku Quince próbował wygrać w kasynie dostatecznie dużo, żeby wyruszyć jeszcze raz.

Święty Piotr znajdował się na osiemnastym piętrze kompleksu rozrywkowego położonego pod portem gwiazdnym. Zjechali windą na bulwar i wkrótce znaleźli publiczną łaźnię. Rozebrali się i wskoczyli do basenu. Lila leżała na wodzie słuchając litanii nieszczęść, jakie prześladowały Quince'a. Od czasu do czasu wtrącała współczującą uwagę, potem stopniowo zaczęła opowiadać coraz więcej o sobie. Quince'a łatwiej było wciągnąć w rozmowę niż większość łowców, których spotkała do tej pory. To dlatego, zdecydowała, że tkwił na Plutonie od tak dawna.

Przeszli do sauny i w milczeniu pozwalali, by gorąca para przypiekała ich ciała. Potem była krótka kąpiel w lodowatej wodzie i leniwa sesja w płytkim basenie, nad którym unosiły się kłęby pary. Szorując plecy łowcy, Lila po raz pierwszy poruszyła temat podróży.

- Donikąd? - powtórzył. - A jaki to ma sens?

Jeszcze w kasynie miał sposobność zauważyć, że Lila wydaje garściami twardą lunariańską walutę. Grała „bogata turystkę z Luny”.

- Żadnego. Dla zabawy. Mogłabym opowiadać przyjaciółom, że byłam daleko w przestrzeni. Na Plutonie wszyscy już byli.

-Jak daleko chciałaś polecieć?

- Och, nie wiem. Jeszcze nie zdecydowałam, mam czas. - Sie działa na brzegu basenu, Quince namydłał jej nogi. - Ale przecież ciebie to i tak nie obchodzi.

Nic nie odpowiedział, a Lila nie chciała naciskać. Kiedy spacerowali po niewielkim ogrodzie tropikalnym, pozwalając by deszcze i wodospady zmyły z nich mydlaną pianę, wydawał się pogrążony w myślach. Zatrzymali się na drewnianym mostku i oparli o poręcz. Za ścianą wodospadu prześwitywały sylwetki innej pary. Lila objęła Quince'a w pasie, ale nie zareagował. Przeszli przez korytarz, gdzie znajdowały się dmuchawy z gorącym powietrzem i pudrem. Lila kupiła w automacie szczotkę i usiadła na poduszcze, żeby uczesać futro na nogach.

- Ile byś zapłaciła za taką podróż?

- O, matko, nie wiem. Jak myślisz, ile to może kosztować? - Groziło im, że znowu zapadnie cisza, zdecydowała się trochę go ponaglić. - Myślę... to znaczy oczywiście twoje koszty, bez względu na to, ile wydasz, żeby dotrzeć na miejsce. Plus wynagrodzenie.

Przeszli do solarium i ułożyli się na długim stole wraz z tuzinem innych ludzi, niczym różowe i brązowe plasterki boczku na ruszcie. Po dziesięciu minutach przewrócili się na drugi bok.

- W dalszym ciągu nie powiedziałaś, dokąd chcesz polecieć.

- Na przykład gdzieś w pobliże Gorącej Linii. - Słyszała niemal, jak obracają się tryby w jego głowie, kiedy obliczał ceny i czasy. Znajac wielkość i przyspieszenie jego statku, potrafiła określić jego wydatki co do grosza. - Naprawdę bym chciała tam polecieć i posłuchać. Pomyśl tylko, tysiące lat świetlnych stąd jacyś ludzie mówią do mnie!

- Siedemnaście lat świetlnych - poprawił Quince w zamyśleniu - I właściwie nie... - Wyglądało na to, że zmienił zamiar - spodoba ci się - dokończył.

Jeszcze raz zostali opłukani, osuszeni i posypani pudrem. Darowali sobie masaż, ubrali się i wyszli na bulwar. Quince ciągle nie mógł się zdecydować, więc Lila postanowiła mu nie przeszkadzać. Poprowadziła go do kafejki i zamówiła drinki. Znaleźli odosobniony stolik we wnęce z przyćmionym światłem. Lila nerwowo zerknęła na cyfry płonące na mankiecie rękawa; była spóźniona. Wiedziała, że przez pierwsze dwa dni, kiedy pozwolono jej chodzić samej, Yaffa ją śledziła. Oczekiwano, że na spotkania będzie się stawiać punktualnie. Niedługo Vaffa wyruszy na poszukiwania, a Lila nie wiedziała, co kobieta zrobi, kiedy ją w końcu odnajdzie. A jeśli wpadnie zniecka i wszystko zepsuje? Zdecydowała się zachęcić go jeszcze trochę.

- Dobra, więc pokryję twoje wydatki plus... no...

Wymieniła sumę wyższą o piętnaście procent od tej, której by potrzebował na wyposażenie statku i zakup paliwa na następną wyprawę łowiecką. Wyglądało na to, że ryba połknęła haczyk. W odpowiedzi wymienił wyższą sumę. Była równa połowie tego, co pozwolono Liim zapłacić.

- Umowa stoi - powiedziała, wyciągając rękę. Wymienili uścisk; Lila poczuła wielką ulgę. Vaffa nie może jej winić za spóźnienie, musiała przecież doprowadzić umowę do skutku.

- Dostaniesz pieniądze, jak tylko przyjdą z mojego banku w Lunie. Zadzwon do mnie, kiedy będziesz gotów do drogi. - Wstrzymała oddech, potem zaryzykowała. Musi się udać, po prostu musi. -Aha, jeszcze jedno. Żebyś mógł oszacować masę czy ciężar, czy co tam trzeba. Mój mąż i moja żona lecą z nami.

- Aż troje?

Nie było to pytanie, ale sposób powiedzenia, że umowa jest nieważna.

- Gdzie byłaś?

Vaffa czuła równie wielką złość jak ulgę, ale dobrze to ukryła. Od pół godziny czekała na skraju Parku Centralnego, próbując określić,

jak wielkie opóźnienie powinna uznać za dezercję. Mało nie złamała Lili ręki, kiedy chwyciła ją i pociągnęła za sobą głębiej między drzewa. Wyplatanym wagonikiem wjechały trzysta metrów w górę, w koronę jednego z ogromnych drzew. Lila z chęcią wypiłaby kolejnego drinka, ale Vaffa, zamiast wejść do środka, poprowadziła ją wzdłuż szerokiego, płaskiego konara. Wkrótce znalazły się wśród listowia i zwisających pnączy, które kryły je przed wzrokiem innych.

- Nie podoba mi się tutaj - powiedziała Lila, zerkając w dół.

- I nie powinno. Zaraz się znajdziesz tam na dole, jeśli mnie nie przekonasz, że miałaś bardzo ważny powód, by się spóźnić. Uprzedzałam, nie będę tolerować żadnych...

- Przestań. Przestań! Możesz mnie zrzucić, jeśli chcesz, ale nie będę słuchać twoich gróźb. Cholera, staram się jak mogę i chcę być traktowana jak człowiek.

Umilkła. Vaffa uwolniła jej rękę z uchwytu. Wyraźnie kosztowało ją to wiele wysiłku.

- Dziękuję. Zawarliśmy umowę. Mówię o tym, co ci obiecałam, kiedy tu leciałyśmy. Albo mi ufasz, albo nie. A jeśli nie, to po diabła się bawić w układy?

- Nie wiem, jak bardzo mogę wam zaufać. Mój instynkt mówi, że wcale.

Lila wzruszyła ramionami.

- Twój instynkt jest w porządku. Ale nie w tym przypadku. Sądzę, że moja chwila nadejdzie później. Na pewno polecę z tobą do Gorącej Linii, tyle wiem.

-To znaczy, że...

-Jeszcze nie skończyłam.

Lila oddychała ciężko; uświadomiła sobie, że przygotowuje się do walki z Vaffą. Fizycznie jej nie dorównywała, musiała więc dokonać tego za pomocą słów. Czuła lekkie oszołomienie; krzyknęła na Vaffę i uszło jej to na sucho.

- Zwariuję przez ciebie, wiesz? Nie pasujemy do siebie, a ciągle

przebywamy w swoim towarzystwie. Kiedy obiecywałam, że nie ucieknę, wcale nie wiedziałam, czy dotrzymam przyrzeczenia. Ale teraz uznaję jego wartość, pod warunkiem, że dotrzymasz go tak samo jak ja.

Vaffa cierpiała katusze. Przysięga przypieczętowana krwią musiała wiele dla niej znaczyć. Czua się winna nie ufając komuś, kto przeszedł rytuał wraz z nią.

- Ale jak ci mogę wierzyć? Gdybym była na twoim miejscu, na pewno myślałabym tylko o ucieczce.

- Z początkują też tak uważałam. I ciągle chodzi mi to po głowie. Mogę ci podać dwa powody, dla których teraz tego nie zrobię. Mam nadzieję, że cię przekonają. Jeśli nie, równie dobrze możesz mnie zepchnąć na dół. Po pierwsze, święcie wierzę, że nie jesteś jedyną współpracowniczką Tweeda tutaj, na Plutonie. Prawdopodobnie ktoś, może dwie albo trzy osoby, śledzi nas na każdym kroku. A nawet jeśli się mylę, Tweed bazuje na przekonaniu, że ja będę się tego spodziewać. Jedno i drugie wydaje mi się równie prawdopodobne, może to pierwsze trochę bardziej. Tak czy inaczej, jeśli ucieknę, mam najwyżej pięćdziesiąt procent szans, że mi się uda, jeśli nawet miałabym zapomnieć o tobie. Ucieczka w takich warunkach wydaje mi się bez sensu.

- A drugi powód?

- Nie jestem pewna, czy cię przekona, więc lepiej dobrze pomyśl o tym pierwszym. Ale niech będzie: ja też się martwię. Nie podoba mi się ton tej wiadomości z Gorącej Linii. Bardzo mi się nie podoba. Uważam, że ktoś się temu powinien dokładniej przyjrzeć i równie dobrze mogę to być ja. Więc chcę tam polecieć i posłuchać.

Vaffa na moment spuściła oczy i potarła nagą czaszkę. Potem skinęła głową i usiadła po turecku na gałęzi.

-W porządku. Ja... przepraszam. Powiedziałam, że ci zaufam, i o tej pory będę ci wierzyć. Ale na tych samych zasadach, co przedtem. Pamiętaj: jeśli mnie zdradzisz, znajdę cię i zabiję, i nieważne ile czasu mi to zajmie.

- O nic więcej nie proszę.

Lila usadowiła się wygodniej, a potem wyciągnęła się na całą długość z rękami założonymi pod głowę.

- Więc jak poszło z tamtym łowcą? - spytała Vaffa.

- Kłapa. Nie chce lecieć.

- Cooo?

- Opanuj się. Właśnie dlatego się spóźniłam. A tak niewiele brakowało! Omawialiśmy już warunki.

- Więc z czym problem?

- Z wami. Z tobą i Cathayem. Po prostu odmówił zabrania więcej niż jednego pasażera. Żadne z nas nie może lecieć samo, z oczywistych względów, więc sprawa upadła.

- Ale dlaczego? Sprawdziłam go. Jego statek bez trudu przewiózłby cztery osoby na taką odległość.

Lila westchnęła.

- Wiem. Spróbuj zrozumieć, co to za ludzie. Oni nie lubią towarzystwa. Nawet na zabranie mnie samej musiałam go długo namawiać. Trzy osoby przeraziły go tak, że ledwie mógł mówić.

- Chyba wciąż nie rozumiem.

Lila spróbowała znowu, bo sama również tego nie rozumiała.

- Postaw się w jego sytuacji. Spędził samotnie na tym statku kawał życia. To jakby część jego ciała. Tutaj, na Plutonie, powoli wariuje i wie o tym. Myśl, że mógłby dzielić statek z kimś innym jest równie odrażająca, jak... - bezradnie rozłożyła ręce - ...sama nie wiem. Że ktoś mógłby używać jego szczoteczki do zębów. Wymyśl własne porównanie. Po prostu tego nie robi, za nic na świecie.

- No to znowu jesteśmy w punkcie wyjścia.

Lila ściągnęła wargi, potem odwróciła głowę i uśmiechnęła się.

-Nieee. Tak się składa, że nie. Wynajęłam go jako specjalnego doradcę. Dałam mu pieniądze, żeby miał za co obstawiać. Zadałam mu zasadnicze pytanie: czy zna kogoś, kto zgodziłby się nas przewieźć, zanim będziemy musieli kupić własny statek i zrobić to sami?

- No i? Co powiedział?

-Dał mi nazwisko. Żadnych obietnic, rozumiesz. Ale jeśli ktośkolwiek to zrobi, to ona. Uważają ją za wariatkę, nawet wśród łowców. Za dwie godziny mam się z nią zobaczyć.

- Dlaczego nie mówisz tak od razu? Zresztą, mniejsza o to. Oczywiście ja nie mogę iść?

- Nie możesz. Nie ma sensu straszyć jej naszą trójką od samego początku. To będzie wymagało delikatności.

- Zadanie w sam raz dla ciebie.

Lila odwróciła głowę, żeby zobaczyć, czy Vaffa rzeczywiście próbuje zażartować. Byłby to pierwszy raz. Ale twarz kobiety pozostała poważna jak zawsze.

-Jak ma na imię?

-Javelin.

Rozdział siedemnasty

Niezwykła postać imieniem Javelin mieszkała na pokładzie swojego statku, „Cavorite”, który cumował w plutońskim porcie gwiezdny - prawdziwym porcie, w przeciwieństwie do rozległej równiny nad Florydą, gdzie znajdowało się lądowisko promów. Była to spora, ale dość zatłoczona przestrzeń, jeśli wierzyć wskazaniom radaru w skuterze Liii. Znajdowały się tu tysiące fabryk, elektrowni, zwierciadeł i farm; niemal cały plutoński przemysł i spora część rolnictwa. Z ulgą przekazała prowadzenie komputerowi kontroli ruchu.

Skuter połączył się ze służą „Cavorite”. Wspinając się do otwartych drzwi po rozporkach skutera, Lila zdumiewała się rozmiarami pojazdu. Wyglądał dziwacznie; jak w każdym statku łowcy dziur, większą część zajmował silnik i zbiornik paliwa, ale nawet one wydawały się niezwykle duże. A jeśli chodzi o część mieszkalną... czyżby to był mosiądz?

Część mieszkalna, nie wiadomo dlaczego, miała opływowy kształt. Wyglądała jak złota brodawka uczepiona z jednego końca ogromnego cylindrycznego zbiornika na paliwo. W niczym nie przypominała nieporządných, skleconych z pozoru byle jak statków międzygwiezdnych dalekiego zasięgu, które Lila widywała dotychczas. Kulista, o tęym nosie, lekko zwężała się ku tyłowi. W równej odle-

głości od steru, przyczepionego do zbiornika paliwa, znajdowały się cztery pękate stateczniki. Cały dziób był przeszklony, wzdłuż jednego boku widać było rząd iluminatorów.

Śluza wydawała się całkiem zwyczajna, póki Lila nie dostrzegła wielkich mosiężnych ciśnieniomierzy sprężynowych z szybko obracającymi się igłami. Otworzyła wewnętrzne drzwi, równocześnie rozhermetyzowując swój hełm.

Znajdowała się w niewielkim pokoju, może trzy razy większym od śluzy. Dwie przeciwległe ściany wyłożono purpurowym pluszowym dywanem, pozostałe cztery pokrywała mahoniowa boazeria. Na każdej ze ścian okrytych dywanem znajdował się solidnie przyśrubowany głęboki fotel o skórzanym siedzeniu i rzeźbiony hebanowy stolik. Na stolikach stały lampy od Tiffany'ego, kryształowe popielniczki i leżały pliki magazynów. Lila zerknęła na daty: najświeższy, jaki znalazła, pochodził sprzed dwustu lat.

Pokój nie miał drzwi, oprócz wejścia do śluzy. W ścianie naprzeciw niej znajdował się okrągły otwór, dostatecznie duży, by Lila mogła wsunąć przezeń głowę. Nie miała najmniejszego zamiaru tego robić. Usiadła w jednym z foteli, decydując, że tu będzie „podłoga” i podniosła głowę, żeby się przyjrzeć drugiemu fotelowi na „suficie”. Nie przejmowała się, jak to wygląda.

Poznała, czym jest kwadratowa szyba w ścianie naprzeciw fotela: płaskim ekranem czarno-białego telewizora. Javelin sama musiała wydmuchać szklany kineskop; Lila była pewna, że wszystkie, które zachowały się do tej pory, znajdowały się w muzeach. Ekran rozjarzył się, pojawiła się na nim twarz naturalnej wielkości. Kobieta była pociągająca, choć nieco starsza, niż uważano za modne. Lila rzadko spotykała ludzi, którzy utrzymywaliby swój wiek powyżej dwudziestu pięciu lat. Javelin wyglądała, jakby przekroczyła trzydziestkę. Widać było jedynie głowę i Lila poczuła lekkie rozczarowanie.

- Chcesz podobno wynająć statek - stwierdziła Javelin. - Bardzo nietypowa prośba, zapewniam cię. Prawdopodobnie jestem jedynym

łowcą, którego mogłaby zainteresować. Ale na razie nie jestem aż tak zaintrygowana, żeby zawrzeć z tobą umowę. A więc słucham, ale to musi być naprawdę dobre.

Lila przygotowywała się na długą, okrężną dyskusję. Łowcy, których spotkała do tej pory, nie lubili rozmów wprost. Javelin nieco wytrąciła ją z równowagi.

- Mogę zadać jedno pytanie? Myślałam, że dlatego mnie tu ściągnęłaś, żebyśmy się spotkały twarzą w twarz, a wygląda na to, że nawet nie mogę wejść do twojego statku.

- Właśnie rozmawiamy twarzą w twarz - odparła Javelin. - Nigdy nie chciało mi się zainstalować sprzętu do wideotransmisji. Dlatego musiałaś przyjść do tego pokoju, żebym cię mogła obejrzeć. Dokąd chcesz lecieć? I radzę ci: mów bez owijania w bawełnę, czego chcesz.

-Dobrze. Ja... to znaczy ja, moja żona i... mogę zacząć jeszcze raz?

Lila pociała się. Miała nieprzyjemne wrażenie, że Javelin coś o niej wie; najwyraźniej chciała usłyszeć prawdę. Może Quince zadzwonił i coś jej powiedział.

-Ja i dwoje innych ludzi musimy polecieć w przestrzeń do Gorącej Linii.

- To znaczy gdzie? Chodzi ci o nadajnik na 70 gwieździe Wężownika? To by była wyprawa! Chociaż pewnie masz na myśli punkt na Linii, w którym sygnał przechodzący przez Układ Słoneczny jest najsilniejszy.

- Właśnie. Możesz nas tam zabrać?

- Pewnie. Dlaczego chcecie tam lecieć?

- Tego nie mogę ci powiedzieć. Przykro mi, po prostu nie mogę.

- W porządku. Masz prawo do swoich sekretów.

Javelin zamyśliła się. Lilę ogarnęły wątpliwości. Czują, że ma do czynienia z przenikliwą i prawdopodobnie bardzo starą osobą. Nie

była w stanie stwierdzić tego z całą pewnością, zawsze jednak czuła się trochę dziwnie w towarzystwie ludzi, którzy przekroczyli trzecią setkę lat.

- Skąd jesteś? I jak się nazywają pozostali?

- Z Luny. Vaffa i Cathay. Ile masz lat? - wyrwało się jej wbrew woli.

- Myślisz, że mam ochotę ci odpowiedzieć? - Javelin uśmiechnęła się lekko. - Dostatecznie dużo, żeby być twoim odległym przodkiem, Lilo. Urodziłam się w 1979 Starego Stylu. Nazywałam się wtedy Mary Lisa Bailey. Byłam pierwszą kobietą na Marsie, jeśli cię to interesuje. Tylko tyle piszą o mnie w podręcznikach historii.

Lila podejrzewała, że kobieta może kłamać. Już wcześniej spotykała się z dziwnymi deklaracjami na temat wieku i z zasady im nie dowierzała. O ile wiedziała, nie żył już nikt z ludzi urodzonych na Starej Ziemi. Ostatecznie, Inwazja miała miejsce pięć i pół wieku temu, kiedy nauki biologiczne były jeszcze w powijakach. A jednak...

- To by znaczyło, że jesteś...

- ...najstarszym żyjącym człowiekiem. Nie rozgłaszaj tego za bardzo. Ostatnią rzeczą, której potrzebuję, to trafić do wiadomości, jako ciekawa osobowość. A swoją drogą, właśnie zdecydowałam, że zabiorę ciebie i twoich przyjaciół. Kiedy będziecie gotowi do podróży?

- Ty... Chwileczkę, niech się zastanowię. To wszystko poszło trochę zbyt szybko.

Lila nigdy nie przypuszczała, że powie coś podobnego w rozmowie z łowcą.

- No, to bierz się do roboty. Tam, dokąd lecimy, nie potrzebujecie żadnych paszportów. Każde może zabrać trzydzieści kilo bagażu. Do kiedy zdążycie się spakować?

- Co powiesz na jutro? Nie musisz...

- W takim razie odpalamy za osiemdziesiąt cztery tysiące stan-

dardowych sekund. Nie zapomnijcie przepustek pokładowych. Sprzątacie po sobie i sami sobie gotujecie. Do zobaczenia. Muszę wprowadzić pewne przeróbki, jeśli macie się kręcić po statku. Wyburzyć parę ścian i tak dalej. Wy przynosicie szampana. Ekran zgąst.

- Nie wiem, dlaczego zgodziła się tak szybko - powiedziała Lila. — Dasz mi wreszcie spokój? Może sama nam powie.

Zbliżali się do „Cavorite” w skuterze, większym modelu, w którym nie musieli nakładać hełmów. Każde miało skafander i niewielką walizkę.

Przez cały dzień Lila musiała powtarzać swoją rozmowę z Javelin. Vaffie powiedziała, że Javelin po prostu jest nieco ekscentryczna i najprawdopodobniej zgodziła się ich zabrać wyłącznie dla własnej rozrywki.

Ale w głębi duszy niepokoiło ją parę spraw, zbyt subtelnych, żeby potrafiła je wyrazić. Im dłużej się nad nimi zastanawiała, tym bardziej była pewna, że Javelin zgodziła się z dwóch powodów. Po pierwsze dlatego, że pochodzili z Luny, ale także w związku z Vaffą. Coś drgnęło w obojętnej twarzy Javelin, kiedy Lila o niej wspomniała.

I ta cała rozmowa o Gorącej Linii. Dlaczego Javelin dopytywała się szczegółowo o cel podróży? Sugerowanie, że mogą się wybierać do 70 gwiazdy Wężownika, musiało wynikać z jej dziwaczного poczucia humoru. Ludzie wypuszczali się w przestrzeń międzygwiazdną najdalej na odległość pół roku świetlnego; 70 gwiazda Wężownika znajdowała się w odległości siedemnastu lat. Ale zanim wymieniła nazwę gwiazdy, na chwilę zamilkła, czyż nie?

Salonik na statku Javelin zmienił wygląd od ostatniej wizyty Liii. Ściana naprzeciw śluzy została usunięta, fotele nie były już przymocowane do podłogi. Znajdowało się tu tyle antycznych mebli pochodzących z różnych kompletów, że nie wiedzieli, w jaki sposób przejść przez pomieszczenie.

Javelin pojawiła się po przeciwnej stronie. Pierwszy raz mieli okazję ją zobaczyć, chociaż właściwie wszystko, co stało między nimi, zasłaniało widok.

- Cześć - zawołała. - Będziecie musieli pomóc mi załadować meble na skuter, zanim się wprowadzicie. Z tym i waszą trójką na pokładzie nie mogłabym się rozpędzić.

W mgnieniu oka znalazła się obok nich.

- Święta Matko Ziemio, nie rób tego więcej! - Vaffa wydawała się naprawdę poruszona. Lila również czuła lekkie oszołomienie. To było niesamowite, nie do wiary, w jaki sposób Javelin przecisnęła się przez - nieprzebyte zdawałoby się - labirynt.

Lila spojrzała na Javelin. Zobaczyła dwumetrowy cylinder, nieco grubszy na środku, z dłonią z każdego końca. Cylinder zginał się w czterech punktach. Były to: kolano, biodro, ramię i łokieć. Z „ramienia” wyrastała pod niewielkim kątem głowa. Brązowe włosy miała dla wygody krótko obcięte. Javelin ubrana była w prostą błękitną rurę z materiału, odsłaniającą rękę i nogę.

Tak wyglądała z ręką wyciągniętą do góry. Kiedy ją opuściła, przypominała raczej scyzoryk.

Modyfikacja nie polegała jedynie na usunięciu prawej ręki i lewej nogi. Pozbywanie się dwóch kończyn - najczęściej nóg - było powszechną praktyką wśród pilotów statków kosmicznych. Javelin stworzyła estetyczną wizję smukłości. Jej klatka piersiowa, prawe ramię i lewe biodro zostały przeprojektowane i uzupełnione o struktury z masy plastycznej, zastępujące kości. Pozbyła się lewej nerki, prawego płuca i sporego odcinka jelit. Jej łokieć i kolano zostały zaopatrzone w stawy kulowe.

Była zwinna jak wąż. To, co z niej pozostało, z łatwością mogło się przecisnąć przez dwudziestocentymetrowy otwór.

- Czego mam nie robić? - spytała niewinnie.

- Tego, co właśnie zrobiłaś. Nie lubię, kiedy ludzie zbliżają się do mnie tak szybko.

- Będę pamiętać. Więc jak, pomożecie?

Przenieśli meble do skutera. Trwałoby to o wiele krócej, ale wszystkich troje fascynował sposób, w jaki poruszała się Javelin. Jedną ręką trzymała się uchwyty przy drzwiach śluzy, wyciągała nogę i drugą dłonią, umieszczoną na końcu, chwyciła jakiś mebel, potem przesuwając go i wijąc się jak węgorz przeciągała przez właz.

- Tędy - powiedziała, kiedy skończyli.

Weszli za nią do wnętrza, niezgrabnie poruszając się w zero-g. Minęli długi korytarz; dwie ściany pokrywał chodnik, dwie pozostałe - dębowa boazeria. Wzdłuż ścian wyłożonych boazerią biegły ozdobne mosiężne poręcze.

- Urządzenia do regulacji składu powietrza są tam, z tyłu - mówiła Javelin, wskazując na ściany. - Kabin w przedniej części.

Ruszyła przed siebie, chwytając się rękami poręczy. W jej wypadku oznaczało to, że łapała się poręczy jedną ręką, a następnie wyginała w łuk, aż była w stanie dosięgnąć jej drugą dłonią, umieszczoną na końcu kostki. Trzy takie ruchy i mknęła jak strzała środkiem korytarza, nogą naprzód, patrząc w ich stronę z szerokim uśmiechem na twarzy. Odbiła się od ściany zamykającej korytarz, wyhamowała nogą rozpęd i zniknęła za zakrętem.

- Co też nowego wymyśli nauka? - zakpił Cathay.

- Przestań się czepiać - odparła Lila. - Działa całkiem nieźle. Wiesz, przez nią czuję się prawie... niemodna.

- No. Chciałbym ją zobaczyć przy normalnej grawitacji.

- Zdaje się, że ona nigdy nie schodzi na dół. Nigdy.

Javelin czekała na nich przy końcu korytarza, obok pierwszej z dwóch śluz. Wprowadziła ich do środka, rzucając uwagi o zasadach oszczędności powietrza, których -jak ma nadzieję - będą przestrzegać bez gadania. Znaleźli się w części mieszkalnej.

- Przepraszam, że są takie małe - powiedziała, otwierając drzwi do dwóch niewielkich kabin. - Ale nie jesteśmy na „Queen Mary”. I tak musiałam się pozbyć swojego zbioru znaczków. Więc dwoje z was będzie

musiało zamieszkać razem, chyba że któś zdecyduje się męczyć na kanapie w solarium. No już, zostawcie bagaż. A teraz chodźcie tędy.

Liii kręciło się w głowie ze zdumienia. Nie była pewna, na ile Javelin gra, czy rzeczywiście jest jej przykro, że na statku są tylko dwa „pokoje gościnne”, mimo że zgodnie z wszelkimi prawami ekonomii na statku tych rozmiarów nie powinno być ani jednego. Pokoje były niewielkie, ale urządzone z przepychem, zaopatrzone w dywany, boazerie i meble, podobnie jak cały statek. Minęli kolejne dwoje drzwi; jedne prowadziły do warsztatu, drugie do laboratorium medycznego. Lila nie miała czasu przyjrzeć się im dokładniej.

Solarium było największym pomieszczeniem w części mieszkalnej. Javelin wprowadziła ich do środka.

- Zaraz wracam - powiedziała sunąc dalej do przodu. - Czujcie się jak u siebie. Dzbanki z kawą są tutaj, drinki w butelkach pod tamtą ścianą.

Prześliznęła się przez niewielki otwór w przedniej grodzi.

- To miejsce jest obłąkane - powiedział Cathay. - Zupełnie zwariowane.

Lila zgadzała się z nim całkowicie. Znała wszystkie typy statków, ale nigdy nie widziała czegoś podobnego do „Cavorite”.

- Jakbyś to nazwał? - spytała. - Wczesna epoka wiktoriańska? Późny kapitan Nemo?

Ale Cathay nie odpowiedział, ajavelin nie było w pokoju.

Solarium miało na długość jakieś dziesięć metrów, a na szerokość cztery. W przeciwieństwie do reszty statku posiadało tylko jedną podłogę, co - zdaniem Liii - kompletnie nie miało sensu. W stanie nieważkości można wszystko rozmieścić o wiele bardziej ekonomicznie. W dodatku podłoga była równoległa do kierunku przyspieszenia. Kiedy statek akcelerował, pokój stał na jednej ścianie. Podłoga nigdy nie znajdowała się na dole. Vaffa zwróciła na to uwagę.

- No cóż, jak się nad tym zastanowić, przyspieszanie trwa tylko ułamek czasu podróży.

Ale tak czy inaczej, nie miało to sensu.

Sufit był wygięty, naśladował cylindryczny kształt kadłuba. Dwa-ście wielkich szklanych szyb, sześć po każdej stronie pokoju, wygięło się w górze, gdzie łączyły się z rzeźbioną drewnianą belką, biegnącą wzdłuż całego pomieszczenia. Najwyraźniej dlatego Javelin nazwała to miejsce solarium.

Pokój był obwieszony pnączami i pełen kwiatów. Dwa przedmioty przyciągały wzrok od pierwszej chwili: organy piszczałkowe o dwóch rejestrach z jednego końca i obracające się wolno toroidalne akwarium z drugiego; maleńkie rybki gapily się na Lilę, kiedy zbliżyła twarz do ich wirującego świata. Dominujący motyw w całym pomieszczeniu stanowiły miękkie, wyściełane aksamitem krzesła i sofy, rzeźbione drewno i mosiężne okucia. Lilę przytłaczała ilość szczegółów; ozdoby pokrywały dosłownie wszystko.

Wsunęła głowę przez otwór, w którym zniknęła Javelin i przeżyła kolejne zaskoczenie. Tak jak podejrzewała, pomieszczenie stanowiło centrum sterowania - znowu bardzo nietypowe, bez żadnych wskaźników cyfrowych, z okutymi mosiądzem instrumentami i czymś, co wyglądało jak dźwignie sterowania ręcznego. Obok wąskiego fotela pilota znajdowała się jeszcze jedna dźwignia, z kryształową gałką, oznaczona po prostu: „stop” i „naprzód”. Ale najbardziej zaskoczyło ją to, że kabina była pusta. Ponieważ mieściła się na dziobie statku i dalej była już tylko przestrzeń, wydało się to Liili dziwne.

Zdążyła zobaczyć, jak Javelin wsuwa się do solarium od strony rufowego korytarza. A więc miała własne sposoby poruszania się po statku.

- Co za zdumiewający pojazd - odezwał się do Javelin Cathay.

- Tak sądzisz? Dziękuję. Bardzo go lubię. Zresztą chyba powinnam, skoro mieszkam tu od prawie trzystu lat. Podstawowy projekt, to znaczy projekt kadłuba, pochodzi z okładki jakiegoś starego czasopisma. Jeszcze sprzed Inwazji. Ściśle biorąc, sprzed ery kosmicznej.

- To jest chore - stwierdziła Vaffa po prostu.

- Tak myślisz? Nie zgadzam się. Po prostu artysta, który wymyślił projekt, nie miał pojęcia o statkach kosmicznych. Chciał, żeby magazyn dobrze się sprzedawał, więc zaprojektował statek, który był seksowny, a nie funkcjonalny. Spodobało mi się to.

- A kary za nadmierny ciężar? - spytała Lila, zbита z tropu. -Jeśli kształt nie służy funkcji, to czy nie tracisz na efektywności?

- Zabawne, że właśnie ty to mówisz. W zasadzie masz rację, ale czy nie odczuwasz żadnej potrzeby poezji? Od czasów pierwszej kolonii na Księżycu walczę z twardogłowymi technokratami. Staliśmy się rasą inżynierów. I nikt nie rozumie, że po czasie budowania kolei żelaznych przychodzi czas budowania pięknych kolei żelaznych. Nauka posunęła się do przodu wystarczająco; możemy sobie pozwolić na niewielką stratę wydajności. Ale przeciętny statek dalekiego zasięgu nadal wygląda jak szczur pieprzący choinkę.

- Słucham?

- Kopulujący. Przepraszam, taki archaizm. Jak się nad tym zastanowić, wszystkie pojęcia w tej metaforze są archaiczne. W rzeczywistości „Cavorite” jest o wiele bardziej funkcjonalny, niż mogłoby się wydawać. Raz w życiu wyruszyłam samotnie statkiem pięć razy za dużym jak na moje potrzeby, po prostu pozwoliłam sobie na rozrzutność; pozostałe decyzje były od niej wolne. Trochę cienkiej blachy na fałszywy kadłub zewnętrzny. Trochę mebli, które tylko wyglądają na masywne; to standardowa pianka pokryta cienką warstewką drewna. Organy służą dodatkowo jako terminal komputera i biblioteki. Akwarium stanowi część systemu odzysku, więc jeśli rybki czują się dobrze, mogą być o siebie spokojna. To działa. Sami zobaczycie.

Lila nadal miała wątpliwości. Ale Quince wyrażał się o Javelin z ogromnym szacunkiem. Mówiono, że jest najlepszym łowcą wszechczasów.

-Jeśli możemy ruszać, powinnam zacząć końcowe odliczanie.

Zostało jeszcze parę rzeczy do zrobienia. Przeszukałam wasz bagaż i obejrzałam klisze z prześwietleń, które wam zrobiłam, kiedy...

- Co zrobiłaś?

To była Vaffa. Jej twarz szybko robiła się czerwona.

Javelin zmierzyła ją wzrokiem.

- Tak, twoja reakcja mnie nie dziwi - stwierdziła sucho. - Miałaś kilkanaście kryształów i innych składników w swoich rzeczach. Starczyłoby trochę śliny i gumy do żucia, i miałabyś parę ręcznych laserów. Wywaliłam je w interesie naszej bezpiecznej, spokojnej podróży.

Vaffa zaparła się nogami o grodz rufową, odbiła od niej i pomknęła przez pokój w stronę Javelin. Ręce wyciągnęła przed siebie, wykrzywiła usta. Lila nie mogła na to patrzeć. Javelin była taka drobna, taka krucha. Vaffa wygięła się w powietrzu, zamierzając się, żeby uderzyć Javelin w bok.

Incydent skończył się niemal, zanim zaczął na dobre. Javelin wyla się i zginała w nieprawdopodobnych miejscach. Oparła jedną dłoń o podłogę. Odbiła się, obróciła, kiedy Vaffa przelatowała obok niej i uderzyła kobietę w kark. Vaffa bezwładnie poleciała na organy.

Javelin zlustrowała ją spokojnie, po czym zwróciła się do Lili.

- Muszę znać przeznaczenie urządzenia, które masz wszczepione w tułowiu - powiedziała. - I tego czegoś, co zostało przytwierdzone po lewej stronie miednicy.

- Nie wiem, do czego służą - odparła Lila. - Chociaż podejrzewałam, że mogli mi coś wszczepić.

Javelin skinęła głową.

- Tak po prostu? No, dobrze. Jedno wygląda na zwykłe urządzenie naprowadzające. Myślałam, że drugie jest bombą, ale chyba jednak nie. Bardziej prawdopodobne, że to ampułka z narkotykiem. To by pasowało do pierwszego, nie?

-Chyba tak.

Policzki Liii płonęły.

- Fajnie. - Zdawało się, że również Javelin chce jak najszybciej skończyć ten temat. - Pewnie będziesz chciała je usunąć. Nie krepuj się, sala operacyjna jest do twojej dyspozycji. Mogę wyrzucić je za burtę, chyba że wymyślisz coś lepszego.

Jej oczy wolno przesunęły się ku Vaffie, nadal bezwładnie unoszącej się w powietrzu, potem z uśmiechem zwróciła się do Liii.

- Za sześćset sekund odpalamy. Lepiej idźcie do swoich kabin.

Rozdział osiemnasty

Razem z Cathayem przenieśliśmy Vaffę do jednej kabiny, w drugiej postanowiliśmy zamieszkać sami. W czasie, kiedy przywiązywaliśmy ją pasami do koi, na statku następowały niepokojące zmiany. Koja Vaffy podniosła się z podłogi i ustawiła na grodzi rufowej. W solarium woda wyciekała ze zbiornika z rybkami.

Przyspieszenie wynosiło jeden g; przyzwyczaiłam się do podobnego na Plutonie. Mieszkaliśmy teraz na ścianie. Na szczęście umywalka i prysznic też zmieniły położenie, a lampy obracały się, kiedy przechodziliśmy obok, więc nigdy nie świeciły nam w oczy.

Na zewnątrz korytarz stał się pionowym szybem. Jakoś przeżyłam te dwadzieścia cztery godziny, kiedy przyspieszaliśmy.

Większą część czasu spędzali w kabinach i nie spotykali Javelin. Lila poszła raz do solarium, ale żeby się tam dostać, musiała wejść po długiej na osiem metrów drabinie, która wysunęła się ze ściany. Solarium nie było teraz przyjemnym miejscem. Organy znajdowały się na suficie, zawieszono dziesięć metrów nad głową. Znalazła kolejną dra-

binę i wdrapała po niej, żeby zajrzeć do kabiny sterowniczej, ale Javelin tam nie było. Lila uświadomiła sobie, że prawdopodobnie nie zobaczy jej, póki statek nie przestanie przyspieszać. Javelin będzie używać swojego systemu rur, w czym nie mogli jej towarzyszyć.

Na drugim końcu korytarza zobaczyli Vaffę. Przechadzała się od ściany do ściany; nie zrobiła najmniejszego gestu, żeby ich przywitać. Lila poczuła niepokój; zastanawiała się, czy Vaffa ją wini za obecną sytuację. Jeśli zaczną podejrzewać spisek między Lila i Javelin, trudno będzie z nią wytrzymać.

Poza spaniem nie mieli nic do roboty. Minał jeden okres nocny, światła na statku przygasły. Javelin skontaktowała się z nimi dopiero w dwudziestej godzinie przyspieszania. Jej twarz pojawiła się na płaskim ekranie telewizora, który obecnie znajdował się nad ich głowami.

- Znienawidzicie mnie za to, dzieci - powiedziała. - Ale nadszedł czas podjęcia decyzji. Czas, żeby wyłożyć karty na stół, ujawnić ukryte motywy. Pewnie się dziwiliście, dlaczego zdecydowałam się was zabrać na tę wycieczkę.

- No, trochę. Powiesz nam, dlaczego?

Lila rzuciła okiem na drugi koniec korytarza. Vaffa wychylała się przez drzwi swojego pokoju, słuchając w napięciu.

- Mhm. Jeśli chodzi o to, dlaczego was wzięłam, to chyba z czystej przewrotności. Normalnie nie zrobiłabym czegoś takiego, więc zrobiłam. Trzeba uważać, jak się ma tyle lat, co ja. Czuje się potrzebę próbowania coraz to nowych rzeczy, czasami tylko dlatego, że są nowe. Inaczej się rdzewieje.

- Skąd wiesz? - spytał Cathay.

- Nie wiem. Ale do tej pory działało. Zmiana taktyki byłaby głupotą. A co do tego, dlaczego w ogóle zdecydowałam się wyruszyć do Gorącej Linii, wszystko jedno, z wami czy bez was... Od paru miesięcy zaczęłam się nią bardzo interesować.

Lila zobaczyła, że Vaffa szybko wspięła się po drabinie i przyłączyła do nich. Stała, wpatrując się w ekran.

- Dlaczego zaczęłaś się nią interesować? - spytała.
- Z tego samego powodu, co wy. Każdego by to zainteresowało, no nie?

- W jaki sposób się dowiedziałas? To zastrzeżona wiadomość, tylko parę osób o niej wie...

Javelin podniosła brew.

- Mogłabym zapytać, skąd wy o tym wiecie. Ale mam własną teorię na ten temat. Ja się dowiedziałam z tego samego źródła, z którego pochodzą wszystkie moje wiadomości na temat Linii. W paśmie sygnałów zawsze znajduje się paru łowców. Nie mają nic innego do roboty, więc słuchają. A potem rozmawiamy ze sobą. Czasem trwa to parę lat; mamy mnóstwo czasu, nie musimy się spieszyć. Łowcy znali treść wiadomości, zanim dotarła do zarządu StarLine. Od miesięcy ją wałkujemy. Wprawili nas w spore zaniepokojenie. Więc mam zamiar sprawdzić, o co właściwie chodzi.

- Chcesz sprawdzić, czy jest dobrze przetłumaczona?

- Nie, nic podobnego - roześmiała się Javelin. - Co do tego nie ma wątpliwości. To groźba, jak najbardziej. Słuchajcie, lećcie tam, żeby zdobyć wiadomość w oryginalnej formie; to jedyny powód, dla którego w ogóle się tam wybraliście. No więc ja ją mam, tutaj w komputerze. Od niedzieli sprawdziliśmy ją sześć razy. A teraz chcemy się przekonać, o co chodzi z tymi „surowymi karami”. Zostałam... powiedzmy, wybrana, chociaż to bardzo formalnie brzmi, żeby tam polecieć i sprawdzić. Jeśli mają środki na poparcie swoich gróźb, być może my, łowcy, będziemy musieli poszukać nowych klientów.

Przemowa zaskoczyła Lilę, Vaffa poczuła się dotknięta do żywego.

- Tak po prostu? Chcecie tylko sprawdzić, z której strony wieje wiatr?

- Mniej więcej.

- Komu macie zamiar się sprzedać? Obcym z Wężownika?"
Najeżdźcom?

-Jednym albo drugim, zależy od ceny.

- Brzydzę się wami. To zdrada ludzkości.

- Gwiżdżę na twój rodzaj ludzki, Ziemianko.

Lila szybko wysunęła się do przodu.

- Myślicie, że nadejdzie coś w rodzaju drugiej wiadomości? Na przykład z listą kar?

- Możliwe. Ale nie dlatego tam lecę.

- To ja już nic nie rozumiem. Po co wybrałaś się w tę podróż?

Javelin uśmiechnęła się znowu.

- Tu właśnie dochodzimy do decyzji, o której wspominałam. Umawialiśmy się, że was dowiozę do jakiegoś punktu na trasie sygnału Gorącej Linii. Ale to bardzo długa trasa. Myśleliście pewnie o najbliższym punkcie, ale nie powiedzieliście tego, prawda? Proponuję, żeby polecieć do punktu, który znajduje się w odległości pół roku świetlnego od Słońca. Mam powody przypuszczać, że może to być bardzo interesujące.

- Dlaczego?

- Ze względu na możliwość spotkania się z mieszkańcami Wężownika twarzą w twarz.

Vaffę najwyraźniej ten pomysł zaskoczył. Cathay wyszczerzył zęby, jakby usłyszał dobry żart, ale kiedy Lila spojrzała na niego, wrzucił ramionami. Lilę zabolęła szyja od patrzenia w górę. Wzięła przykład z Cathaya i wyciągnęła się na podłodze, z rękami założonymi pod głowę. Czekali.

- Pewnie jesteście ciekawi, dlaczego uważam, że tam będą.

Javelin wydawała się trochę rozczarowana ich reakcją.

- Uzasadnione przypuszczenie - odparł Cathay, bardzo zadowolony z siebie.

- W porządku. Łowcy mają inne zdanie na temat Gorącej Linii niż StarLine. Tamci siedzą w stacji, w samym środku, gdzie sygnał ma największą moc. Zresztą, czemu miałyby być inaczej? Nawet tam jest wystarczająco zniekształcony. Ale to ogranicza ich punkt widze-

nia. Właśnie dlatego, że prowadzą nasłuch z jednego nieruchomego punktu w przestrzeni.

Łowcy przemierzają przestrzeń we wszystkich kierunkach, w różnych odległościach od Słońca i zarówno bliżej, jak i dalej od 70 gwiazdy Wężownika, niż leży stacja StarLine. Za każdym razem, kiedy przelatujemy przez Linie, prowadzimy nasłuch. Nasze komputery notują, kiedy po raz pierwszy łapiemy sygnał i kiedy go ostatecznie gubimy.

Jakieś sto lat temu zwróciliśmy na coś uwagę. Dopiero po wielu kolejnych latach zdobyliśmy pewność, że to prawda. Przy szybkościach, z jakimi się poruszamy, trudno oznaczyć czas wystarczająco dokładnie, poza tym długo trwało, zanim porównaliśmy wszystkie dane. Ale teraz nie mamy wątpliwości.

Promień lasera przypomina stożek. Bardzo wąski stożek, z wierzchołkiem w miejscu, gdzie wychodzi, bardzo wolno rozszerzający się, w miarę jak biegnie coraz dalej. Zauważyliśmy zmianę paralaksy. Zjednej strony stożka wydawało się, że sygnał dochodzi z 70 gwiazdy Wężownika, a kiedy znalazłeś się po drugiej stronie, przesuwiał się. Zaczęliśmy wyznaczać linie ograniczające zewnętrzną powierzchnię stożka. Znalazły się inne dowody na poparcie naszej teorii: wielkość przekroju stożka w różnych punktach i współczynnik spadku mocy sygnału. Wszystko wskazywało na jedno: transmisja wcale nie dociera do nas z Wężownika, ale z jakiegoś miejsca około pół roku świetlnego od Słońca, w kierunku tego gwiazdozbioru. Mało prawdopodobne, żeby był to przypadek. Chcieli przekonać nas, że znajdują się daleko. Co otwiera mnóstwo interesujących możliwości.

- Muszę nadać wiadomość - powiedziała Vaffa. W jej głosie brzmiało przygnębienie.

- Wiedziałam, że zechcesz. Zobaczmy, czy mam gdzieś zapisany numer telefonu szefa Tweeda...

Vaffa spojrzała na Lilę i Cathaya. Lila już chciała zaprotestować, ale Javelin uprzedziła ją:

- Daj spokój, oni nic mi nie powiedzieli. Ale zanim weszliście na pokład, sprawdziłam zapisy waszych rozmów; ciągle dzwoniliście na Lunę. Byłam pewna, że jesteś Wolną Ziemią, parę minut temu sama to udowodniłaś. A teraz odchodzisz od zmysłów, szukając kogoś, kto by ci powiedział, co masz robić, żebyś nie musiała sama myśleć. Do kogo mogłabyś zadzwonić, jak nie do szefa Tweeda?

- Nie twój interes! - wrzasnęła Vaffa. - Połącz mnie w tej chwili! Wynajęliśmy ten statek i...

- Nie przyszło ci na myśl, że nie mówi się w ten sposób do kapitana? Gdybyś przypadkiem nie zauważyła, mam całkowitą kontrolę nad tym statkiem. Nigdy nie uda ci się dostać na mostek, twoja spiczasta głowa może by się zmieściła, ale nie ramiona. Ten statek poleci tam, gdzie ja zechcę, więc uważaj, co mówisz, jeśli nie chcesz, żeby w twoim pokoju spadła zawartość tlenu.

Lila zerwała się na nogi i szturchnęła Vaffę w zębra. Nie została za to ukarana, co było dowodem, jak wiele tamta nauczyła się w ciągu ostatniego miesiąca.

- Tak czy inaczej, musimy się skontaktować z Tweedem - stwierdził spokojnie Cathay. - Mówisz o znacznie wyższych kosztach, a żadne z nas nie ma tyle pieniędzy. Tweed będzie to musiał zatwierdzić.

- I tak i nie - odpowiedziała Javelin. - Zrozum, wasza sytuacja zupełnie się zmieniła. Wiem, dlaczego ona wam towarzyszy. - Wykrzywiła się. - Pracuje dla Tweeda. Wy dwoje raczej nie, jeśli moja intuicja jest cokolwiek warta. Podejrzewam, że Tweed miał na was jakiś haczyk. No więc to się skończyło. Nie uznaję niewolnictwa i nie mam zamiaru przyjmować rozkazów od faceta, który się znajduje sześć miliardów kilometrów stąd. Zadzwonisz do niego, ale nie będziesz go prosił o pozwolenie. Poinformujesz go o tym. A teraz uważaj, bo nie będę dwa razy powtarzać.

„Cavorite” zmierza w stronę stacji, transmitującej dane Gorącej Linii. Tu możesz wstawić wyjaśnienie, które ci podałam. Tweed jest bystry, powinien zrozumieć. Koszta podróży okazały się około czte-

rysta razy wyższe, niż pierwotnie ustalono. Zdalnie sterowany zbiornikowiec właśnie opuszcza katapultę na Plutonie i wkrótce zacznie przyspieszać do dziewięciu g. Jak wiadomo, tego rodzaju statki są nie do odzyskania, stąd tak znaczny wzrost wydatków. Zbiornikowiec spotka się z nami za około dwadzieścia milionów sekund. Bez niego mielibyśmy, oczywiście, paliwo na dotarcie do stacji, ale nie starczyłoby nam na powrót.

Jeśli pan Tweed pragnie być reprezentowany podczas tej ekspedycji, niech zdeponuje na moim koncie w Banku Lowell sumę, którą podadzą mu moi bankierzy. Jeśli nie zamierza dokonać wpłaty, jego zainteresowanie wyprawą uważam za niebyłe. Kurs statku nie ulegnie zmianie, wyprawa zostanie sfinansowana przez Związek Handlowy Łowców Dziur w Lowell; fakt ten może pan sprawdzić. Agentka, Vaf-fa, zostanie wysadzona w przestrzeń i zachęcona do powrotu.

- Nie możesz tego zrobić!

Żyły na szyi Vaffy nabrzmiały, jej zaciśnięte pięści krwawiły. Cathay był zachwycony. Lila również pragnęła dać się ponieść euforii, którą czuła, ale wiedziała, że nie jest jeszcze bezpieczna. Ostrożnie, delikatnie, pogładziła Vaffę po ramieniu. Gdyby kobieta wybuchnęła teraz, skutki mogły być przerażające.

- Posłuchaj - wyszeptała. - Musisz robić to, co najlepsze dla siebie, prawda? Zostaw! Puść mnie!

Uścisk na jej ramieniu zelżał na chwilę. Cathay zbliżył się do nich.

- Ona ma rację - powiedział. - Opanuj się. Przemyśl to. Pewnie, Javelin ma szefa w garści, ale proponuje mu całkiem niezły układ. Zabije cię, jeśli się z tym nie pogodzisz, a wtedy szef nigdy nie dostanie informacji od mieszkańców Wężownika i nie dowie się tego, co chciał...

- Nie może mnie zabić! Ta nędzna, pokrecona...

-Uważaj, co mówisz, Vaffa. To jej statek. Nie możesz nawet wejść do jej kabiny. Nie masz broni, a diabli wiedzą, co ona tutaj ma.

Zresztą załatwiła cię gołymi rękami. Musisz wsadzić dumę do kieszeni. Dla Tweeda.

Wolno, niechętnie, Vaffa zwolniła uchwyt na ręce Liii. Ramiona jej obwisły, osunęła się na podłogę z głową ukrytą w dłoniach. Lila popatrzyła w górę na obojętną twarz na ekranie. Wyszła na korytarz i wspięła się po drabinie do solarium. Ekran tuż obok jej stóp rozjaśnił się. Spojrzała w twarz Javelin.

- Chciałam ci podziękować - powiedziała czując jak łyzy napływają jej do oczu. Nie ocierała ich.

- Nie ma za co. Jakoś trzeba rozwiązać tę sytuację.

- Wcale jeszcze nie jest rozwiązana. O tym właśnie chciałam z tobą powiedzieć. Ja... boję się, że mogłabyś wysadzić nas wszystkich. Kiedy już dostaniesz pieniądze.

Javelin wzruszyła ramieniem.

- Nie wysadzę. To ryzyko, które musicie podjąć. Nie jestem od tego, żeby naciągnąć kogoś i zaoszczędzić trochę forsy. Jak każdy łowca dziur. Skąpstwo leży w naszej naturze. Ale nie łamię umów. Zawarłam kontrakt, że was tam zabiorę, i to właśnie mam zamiar zrobić.

- Dlaczego?

Javelin wyglądała na zmieszaną.

- No, cóż, może spotkamy jakichś obcych. Chyba naprawdę nie jestem zbyt lojalna wobec ludzkości. Wydawało mi się, że nie będzie w porządku, jeśli polecę sama. Uznałam, że jeśli się da, powinnam zabrać przekrój społeczeństwa.

Lila roześmiała się.

- Łowca dziur, zabójca, nauczyciel z zakazem wykonywania zawodu i skazany przestępca.

- Naprawdę? Będziesz mi musiała kiedyś więcej o tym opowiedzieć. Mamy mnóstwo czasu.

Lila czuła, że coś ją dławi w gardle. Chciała o tym porozmawiać. Nie była w stanie poruszyć tego tematu w rozmowach z Cathayem; może Javelin okaże się właściwą osobą.

- A co z Vaffą? - spytała.

- Nie wiem. Jeśli się będzie dobrze sprawować, zabiorę ją również. Ale gdyby zagroziła bezpieczeństwu statku, zabiję ją jak psa i nie będę uważała tego za zerwanie umowy z Tweedem.

- Martwię się o nią. Myślenie to nie jej specjalność. Mogę jej wytłumaczyć, że powinna być grzeczna i nie sprawiać kłopotów, bo tego właśnie chce od niej szef. Cholera! Właściwie dlaczego próbuję ocalić jej życie? Tyle razy groziła, że mnie zabije! I zabiła dwa moje klony.

-Jeśli chcesz ją zabić, wystarczy, że pozwolisz, żeby wszystko potoczyło się swoim torem - zauważyła Javelin. - Starczy, że wejdzie mi w drogę.

- Pewnie masz rację - westchnęła Lila. - Nie wiem, czy to dlatego, że nie mogę patrzeć, jak kogoś zabijają, czy boję się, że mogłabym zginąć, zanim się jej pozbędziesz. Tak czy inaczej, sytuacja w każdej chwili grozi wybuchem. I o to właśnie mi chodzi. Nie sądzę, żeby Vaffa była zdolna złamać rozkaz wydany osobiście przez Tweeda. Dodaj, proszę, do swojego listu jedno żądanie. Tweed musi jej zakazać skrzywdzenia ciebie, mnie albo Cathaya i zwolnić ją z obowiązku pilnowania nas. Powinna wierzyć, że jest jedynym przedstawicielem Tweeda na statku, że wszystko spoczywa w jej rękach. Żeby zdać mu raport, musi przeżyć, więc powinna żyć z nami w zgodzie.

- Zrobione. Myślisz, że to wystarczy?

-Jestem pewna. Uspokoi ją, pozwoli zaakceptować sytuację. A Tweed powinien się zgodzić. Nie będzie zachwycony, ale nie ma wielkiego wyboru.

- Tak mi się wydaje - przyznała Javelin z satysfakcją.

Lila uśmiechnęła się i wreszcie pozwoliła sobie uwierzyć, że jest wolna. Tkwiła na statku jak w klatce, ale była wolna.

- A tak *a propos*, jak długo nas nie będzie? - spytała.

- Podróż potrwa około trzystu milionów sekund w jedną stronę.

- Ile to jest w standardowych miesiącach ziemskich?

- Koło stu dwudziestu. Jakies dwadzieścia lat w obie strony.

Rozdział dziewiętnasty

Nasza podróż na Posejdona nie musiała trwać tak długo jak trwała. Holownik ukradziony przez Cathaya, mimo że ciągnął za sobą całą moją bazę z Pierścieni, miał wystarczająco dużą moc; został przeznaczony do transportu czarnych dziur.

Ale cała sprawa polegała na tym, żeby przybyć na Posejdona we właściwym momencie i pod ściśle określonym kątem. Musieliśmy uwzględnić wzajemne położenie Jowisza i Saturna, kiedy wyruszyliśmy, prędkość orbitalną Posejdona i jego współczynnik obrotowy.

Nigdy nie zadałam sobie trudu, żeby nadać mojemu skalnemu schronowi jakąś nazwę. Kiedy zbliżyliśmy się do Posejdona i znowu włączyliśmy silniki holownika, żeby skała nabrała większej prędkości, Cathay nazwał ją „Pomstą”.

Zawisli w próżni, nieruchomi względem Posejdona, w odległości około pięćdziesięciu kilometrów od niego. Widziany gołym okiem wyglądał jak mała szara plamka o nieregularnym kształcie, ale na ekranie komputera Liii można było dostrzec więcej szczegółów. Ciemną powierzchnię pokrywały nierówności, nad horyzontem wi-

dać było niewielką czasę. W jej centrum płonęło oślepiające błękitne światło.

Lila wróciła myślą do ostatniego spotkania z Parameter-Solstice. Chciała, żeby wybrały się w podróż razem z nią i Cathayem, ale było to niemożliwe z oczywistych względów. Gdyby udało się im zrealizować swoje zamiary, nie mieliby czasu, żeby wysadzić Parameter gdzieś po drodze; musieliby opuścić Układ jak najszybciej. Mimo to Lila żałowała, że Parameter nie będzie z nimi i nie zobaczy, czyjej plan się powiodł.

O ile się powiedzie, upomniała się, nerwowo przełykając ślinę.

- Dziesięć sekund - zawołała Lila.

Była podłączona do komputera, obserwowała wszystko przez kamery zamontowane na „Pomście”. Czuła delikatne szarpnięcia rakiet sterujących, kiedy program naprowadzający wymuszał drobne poprawki kursu. Cel zbliżał się z oszałamiającą prędkością, dostępną dla zmysłów Liii jedynie dzięki połączeniu z komputerem. Zobaczyła srebrny rozblysk, potem kamera została zniszczona przez wybuch.

- Trafiony - powiedziała cicho. Wyciągnęła kabel łączy komputerowego z gniazdka w głowie.

„Pomsta” wpadła w misę pola nullowego, w którym znajdowała się czarna dziura. W ułamku sekundy skalna masa przekształciła się w mieszaninę lawy, gorących gazów i plazmy.

W tym samym momencie dziura zaczęła je pochłaniać. Grawitacja w mgnieniu oka ściągnęła materię w stronę dziury, zaczęła ją wsysać w głąb bezdennej leja, uwalniając energię. W miarę jak część materii ulegała zniszczeniu, coraz więcej dostawało się do środka, ale ciśnienie wypychało ją na zewnątrz. Nastąpił potężny wybuch i dziewięćdziesiąt procent masy „Pomsty” uwolniło się z pola połączonych sił grawitacji Posejdona i dziury. To, co pozostało, zaczęło się zapadać od nowa.

Nic z tego w najmniejszym stopniu nie zagroziło półkuli pola nullowego. Było odporne na wszystko, co ludzkość zdołała wynaleźć do tej pory. Wybuch „Pomsty” nic dla niego nie znaczył.

Jednak Lila obserwowała pole z wielką uwagą, żeby zobaczyć jak generatory znoszą nacisk. Stanowiły one jedyną niewiadomą w równaniu Parameter. Już w tej chwili spoczywał na nich ciężar dziury. Nie dało się przewidzieć z całą pewnością, czy wytrzymają nagle przyspieszenie spowodowane wybuchem. Gdyby zawiodły, dziura zaczęłaby opadać i w krótkim czasie zniszczyłaby generator pola nullowego, znajdujący się poniżej. A gdyby nie pole, przewierciłaby Posejdona na wylot, przechodząc niczym nóż przez masło i musieliby ją schwytać po drugiej stronie.

- Nie widzę, żeby się coś działo, a ty? - spytała Lila.

- Też nie. Chyba wytrzyma.

Nastąpiły kolejne eksplozje, przedzielane kilkusekundowymi przerwami, póki stopione resztki asteroidu nie straciły dostatecznie dużo masy, żeby uzyskać stabilność. Teraz była to silnie skondensowana, rozpalona do białości gwiazda, jaśniejsza niż powierzchnia słońca, o średnicy zaledwie metra.

- Astronomowie będą się mieli nad czym zastanawiać przez pewien czas - stwierdziła Lila włączając nadajnik. - Tam na dole, słyszycie mnie? Vaffa, Vaffa, czy mnie słyszysz?

Przez chwilę nikt nie odpowiadał. Lila powtarzała wiadomość, dopóki nie odezwał się męski głos.

- Kto mówi?

- Lila, powstała z martwych. Jest tu ze mną Cathay. Przyprowadziliśmy wam z powrotem statek i mamy mały prezent. Pewnie go zauważyliście parę minut temu. Czy ktoś jest ranny?

- Nie wiem - niecierpliwie odparł Vaffa.

Lila uświadomiła sobie, że naprawdę go to nie obchodzi. Zadrzała. Był to jej pierwszy kontakt z Vaffą.

- Co właściwie macie zamiar uzyskać? Z pewnością wiedzieli-

ście, że nas nie zabijecie. Mogliście liczyć, że w najlepszym razie kilkoro z nas zostanie zasypanych. No i udało się, ale nasze skafandry ochronią nas do czasu, kiedy się wydostaniemy na powierzchnię. Właśnie to robimy.

Głos był rozkazujący, nawykły do posłuchu, ale brzmiała w nim nuta niepewności.

- Jest strasznie pewny, że nie możesz być aż tak głupia - zauważył Cathay z satysfakcją. - Czasem to niedobrze zbyt wiele o kimś wiedzieć.

- Mam nadzieję - szepnęła Lila. Odezwała się znowu do mikrofonu: - Wytraćiliśmy Posejdoną z orbity. To fakt i za późno, żeby dało się coś na to poradzić. Muszę ci powiedzieć, że było na co popatrzeć. Za parę minut ludzie w całym systemie zaczną się zastanawiać, co się tu wydarzyło. Czy to ci coś sugeruje?

Po drugiej stronie zapadła cisza.

- Zanim polecisz do szefa po radę, powiem ci jeszcze parę rzeczy, o których powinien się dowiedzieć. Wyobrażamy to sobie bardzo prosto. Wszyscy będą się zastanawiać, co tu zaszło, ale pewnie dojdą do wniosku, że to jakaś nowa sztuczka Najeźdźców. Ostatecz nie, Jowisz jest o dwa kroki. Nie odważą się wysłać nikogo, żeby to zbadał. Sam zobaczysz, czy Tweed się z tym zgodzi.

Odpowiedź nie nadeszła, więc Lila mówiła dalej:

- Uprzedzamy, że jesteśmy w posiadaniu potężnego nadajnika. Tweed na pewno martwił się od dawna, gdzie jest Cathay i co zamierza zrobić. Prawdopodobnie przygotował się do szybkiej ucieczki, na wypadek gdyby coś się zaczęło sypać. I bardzo dobrze. Ale będzie potrzebował trochę więcej czasu. Chcemy, żebyś go zapytał, jak wiele czasu chce sobie kupić.

- Wyjaśnij to, proszę.

- Właśnie miałam zamiar. Po pierwsze, pytanie do ciebie: ile czasu potrzebujesz, nie licząc dziewięćdziesięciu sześciu minut opóźnienia, żeby dostać połączenie z Tweedem, porozmawiać z nim i uzyskać odpowiedź? Nie zastanawiaj się, mów od razu.

Cathay podkreślał, jakie to ważne. Jego zdaniem Vaffa nie był zbyt inteligentny ani nie potrafił dobrze kłamać. Tylko nie wolno mu dawać czasu do namysłu. Na ich korzyść działało, że w pierwszym odruchu zechce zapytać o zdanie Tweeda.

- No, więc, ja...

-Już! Życie Tweeda zależy od tego. Nie każ nam wątpić w to, co mówisz.

- Rozmawiamy za pomocą kodu, sygnał lasera jest przekazywany na Lunę przez satelitę, żeby go nikt nie mógł wytropić. Z tego powodu czas opóźnienia wynosi dzisiaj dziewięćdziesiąt siedem minut. Tweed nosi ze sobą prompter; nigdy nie potrzebowałem więcej niż trzy minuty, żeby się z nim połączyć.

- Świetnie. Bardzo nas obchodzi los ludzi, którzy znajdują się pod twoim nadzorem. Wiemy, że możecie ich zabić, jeśli dostaniecie taki rozkaz. Uznaliśmy, że Tweed jest zdolny, by się do tego posunąć.

Liii trudno było w to uwierzyć, ale przyznawała, że Cathay wie o Tweedzie i Vaffach więcej niż ona.

- Przekaż szefowi, że byłoby to bardzo głupie posunięcie. Mamy zamiar rozgłosić po całym Układzie, co stworzył na Posejdonie. Jeśli go dopadną, zabiją go.

Dla niego najbardziej liczy się, kiedy zaczniemy nadawać te informacje. Słuchaj uważnie. Jeśli zrobi, co chcemy, wstrzymamy się przez jeden standardowy miesiąc. Oczywiście, ujawnianie położenia tego miejsca nie leży również w naszym interesie. Nie chcemy, żeby się ktoś dowiedział, co się tu dzieje, bo wszyscy, nie wyłączając ciebie, jesteśmy nielegalni w taki czy inny sposób. Gdyby wylądował tu statek Ośmiu Światów, zostalibyśmy straceni.

Musimy więc działać we wspólnym interesie. My potrzebujemy czasu i to samo dotyczy Tweeda. Ale potrzebujemy również gwarancji, że ludzie tam, w dole, nie zostaną wymordowani.

Wzięła głęboki oddech.

- Oto nasze żądania: Tweed ma wydać tobie i wszystkim twoim

klonowanym braciom i siostram rozkaz opuszczenia stacji. Zgromadzicie się na otwartej przestrzeni w odległości kilometra od najbliższego wejścia. Bez broni. Zanim wyjdziecie, macie zdezaktywować barierę przy wejściu do waszych prywatnych kwater i pozwolić Niobe i Vejajowi sprawdzić, czy nikt nie został w środku. Potem...

- Właśnie się dowiedziałem, że Vejaya nie ma - odezwał się mężczyzna. - Prawdopodobnie go zasypało. Niobe jest tutaj.

- Rozumiem. Po tym, jak Niobe stwierdzi, że opuściliście stację, przekaze nam wiadomość. Wtedy wylądujemy i weźmiemy was do niewoli. Poza tym Tweed ma wam wydać rozkaz, w obecności Niobe i wyznaczonej przez nią drugiej osoby, że nie wolno wam nikogo krzywdzić, ani teraz, ani w przyszłości.

W zamian za to pozwolimy żyć tobie i pozostałym klonom tak długo, jak długo będziecie się trzymać rozkazów. Tweed dostanie jeden miesiąc na opuszczenie Luny. Będzie też mógł wprowadzić w życie swój plan zejścia do podziemia.

- Skąd mamy wiedzieć, że dotrzymacie słowa i nas nie zabijecie? - spytał Vaffa.

Po raz pierwszy w jego głosie zabrzmiał niepokój i Cathay klepnął Lilę w ramię. W odpowiedzi uśmiechnęła się szeroko.

- Nie możecie być pewni. Musicie mi uwierzyć na słowo. Ale, jeśli w odpowiedzi na naszą wiadomość, przyleci statek z Ośmiu Światów albo jeżeli wyrządzą krzywdę więźniom, czeka was śmierć. Zrozum, zmuszeni, nadamy informację. Jeśli Tweed nie zgodzi się na nasze warunki, będzie to znaczyło, że ci wszyscy ludzie na dole i tak zginą, więc nie mamy nic do stracenia. A w ten sposób wy również macie szansę przeżyć.

Przed Tweedem stoi prosty wybór. Od tej chwili ma dokładnie sto piętnaście minut, żeby się zastosować do naszych żądań. Jeśli po tym czasie nie dostaniemy wiadomości od Niobe, zaczynamy nadawać.

-Już do niego dzwoniemy - powiedział Vaffa. -Jeszcze tylko jed-

no pytanie. Skąd mam wiedzieć, że mówicie prawdę i Posejdon rzeczywiście został wytracony z orbity?

- Och... Chyba nie jestem w stanie udowodnić, że to nie blef. Ale to niczego nie zmienia. Za sto czternaście minut zaczynamy transmisję.

- Bardzo dobrze. - Umilkł na chwilę. - Podejrzewam, że nie kłamiecie. Wstrząs był dość silny.

Lila usiadła z powrotem. Była mokra od potu. Popatrzyła na Cathaya; uświadomiła sobie, że potrzebuje jego aprobaty. -Jak mi poszło?

- Myślę, że całkiem nieźle - odparł.

Powoli docierało do niego, że nie mają już odwrotu. Jego syn znajdował się tam, w dole, poza jego zasięgiem, zdany na łaskę Tweeda.

-A co będzie, jeśli się jakoś wykręci? Prawie żałuję, że się nam udało. To taka... odpowiedzialność.

Lila wyciągnęła rękę i dotknęła go lekko. Nie miała wiele do stracenia, a jednak było dla niej bardzo ważne, żeby akcja się udała. Początkowa niechęć do Cathaya rozwiała się, kiedy poznała jego sposób myślenia i gdy połączył ich wspólny cel. Zbliżyli się do siebie w czasie podróży z Saturna. Czekala z niecierpliwością, żeby poznać jego syna, który podobno był najlepszym przyjacielem jej klona.

- Co może zrobić? - spytała. - Zastanawialiśmy się nad tym milion razy.

- Wiem. Po prostu się boję, że wymyśli jakąś sztuczkę.

- Posłuchaj. Kiedy Tweed dostanie wiadomość od Vaffy, będzie miał dwie godziny. Parę minut, żeby się zdecydować, czterdzieści osiem, zanim jego odpowiedź do nas dotrze, potem jeszcze czterdzieści osiem, żeby nasza transmisja dotarła na Lunę. Jest osobą publiczną. Komputery policyjne wiedzą, gdzie się znajduje, bo jest potencjalnym celem zamachu. Jeśli spróbuje zniknąć szybko, bez rozgłosu, za sześćdziesiąt sekund cała machina ruszy na poszukiwania.

- Musiał coś przygotować. Wiedział, że siedzę tutaj z radiem i w każdej chwili mogę go wystawić do odstrzału.

- Ale wiedział też, że tego nie zrobisz. Czuł się bezpiecznie, bo miał w ręku twojego syna.

Cathay drżał na całym ciele, Lila gładziła go po ramieniu. Kabina sterownicza holownika była tak ciasna, że nie mogli nawet stanąć twarzą w twarz, ale jakoś udało się jej pocałować go w policzek.

- Tweed nie ma wyboru - zapewniła. - Jeśli nas nie posłucha, będzie miał tylko dwie godziny na znalezienie kryjówki. A musi się zakopać naprawdę głęboko, bo w przeciwnym razie by go znaleźli w czasie tych wielkich poszukiwań, które rozpętamy naszą wiadomością. Więc nie sądzę, żeby to zrobił.

- Ale czy naprawdę możemy ją nadać?

Cathay robił się coraz bardziej niespokojny. Zanosiło się, że będą to długie dwie godziny.

Lila nie odpowiedziała. Od chwili, kiedy „Pomsta” zderzyła się z Posejdonem, wszystko rozgrywało się poza nimi. Jeśli za dwie godziny nie dostaną potwierdzenia od Niobe, będzie to oznaczało, że na Posejdonie dzieją się rzeczy zbyt straszne, żeby o nich myśleć.

A wtedy równie dobrze będą mogli nadać wiadomość.

Tweed był znaną postacią w publicznych korytarzach King City i wprost to uwielbiał. Dawni wyborcy lubili widok jego osoby toczącej się w dół Ciarke Boulevard. Czasami przechadzał się bez celu, wymieniając uprzejme uściski dłoni, gotów obdarzyć każdego uśmiechem czy klepnięciem w ramię.

Czasem jednak tłum z całą jego miłością należało trzymać na długość ramienia. Z ludem trzeba się bratać, żeby prowadzić w sondażach. Z drugiej strony, istniała nieraz potrzeba, by swobodnie poruszać się po mieście bez groźby wywołania zbiegowiska. Za znak służył kapelusz Tweeda. Kiedy trzymał go w ręce, ludzie mogli rozmawiać z nim do woli. Kiedy go wkładał na głowę, znaczyło to, że jest zajęty.

Z kapeluszem wciśniętym głęboko na uszy, szef Tweed cwałował korytarzem, niepowstrzymany jak nosorożec, wydmuchując kłęby błękitnego dymu ze swego cygara.

Pokonywał zakręty z ociężałą gracją holownika, stopniowo przedzierając się w kierunku mniej uczęszczanych obszarów miasta. Dotarł do anonimowych drzwi na końcu opuszczonego korytarza. Otworzyły się za dotknięciem jego dłoni; wszedł do niewielkiego pokoju. Nacisnął guzik; pokój zaczął wolno zjeżdżać w dół.

Tweed zdjął czarno-szary surdut, workowate spodnie, buty z utwardzanej skóry, białe sztylpy. Wkrótce stał nago przed kupką ubrań. Bez butów był o sześć centymetrów niższy, ale nadal pozostał wysokim mężczyzną.

Zrobił coś ze swoją twarzą; obwisłe policzki obwisły jeszcze bardziej, opadły i zostały mu w dłoniach. Były ciepłe w dotknięciu, wykonane z masy plastycznej znajdującej się na pograniczu materii martwej i ożywionej. Rzucił dwa drgające kawałki na cylinder, który nosił codziennie przez pięćdziesiąt lat. Kapelusz złożył się pod ciężarem.

Tweed stał, patrząc w dół na ubranie. Zadrzał.

- Nie - powiedział. - Nie, to nie koniec. To tylko przerwa.

Oparł się o ścianę i czekał, aż minie chwila słabości. Stał z twarzą ukrytą w dłoniach; opadały z niego kolejne kawałki plastyciana. Kiedy wreszcie podniósł wzrok, odzyskawszy wiarę w sens swojego posłannictwa, był innym człowiekiem. Ubyło mu trzydzieści lat pozornego wieku, a wraz z nimi subtelny układ rysów twarzy, nadający mu wygląd mężczyzny. Był teraz hermafrodytą; wydatny brzuch nie ukrywał faktu, że Tweed nie ma genitaliów. Dwa nabrzmienia na klatce piersiowej równie dobrze mogły należeć do kobiety, jak do bardzo otyłego mężczyzny.

Wyprostował się. Dwadzieścia pięć kilogramów gumowatego plastyciana opadło z wilgotnym młaśnięciem. Zostały piersi, sterczące nad płaskim brzuchem, którego nie oglądał od pięćdziesięciu lat.

Tweed był teraz w sposób oczywisty kobietą, jednak dokładne badanie warg sromowych pod trójkątem owłosienia łonowego wykazało brak wejścia do macicy. W jego ciele nie szalały żadne hormony, nic, co mogłoby go odwieść od obranego celu. Zdecydował się na bezpłciowość dawno temu i nigdy tego nie żałował. Teraz miało mu to pomóc ocalić życie. Pierwszym krokiem na drodze do zdobycia nowej tożsamości była gruntowna zmiana wyglądu za pomocą chirurgii plastycznej; zwykle towarzyszyła jej zmiana płci. Samo to nigdy by nie wystarczyło, ale stanowiło niezbędny podstawowy zabieg. Zgodnie z tym, co zaplanował już dawno na podobny wypadek, udało mu się dokonać jej w rekordowym czasie.

- Na podobny wypadek... - mruknął.

Znowu zrobiło mu się słabo. Zatoczył się i o mało nie upadł na śliskiej podłodze. Zarówno plastyciśo, jak i ubrania rozpuściły się. Pozostałe po dezintegracji woda i szary szlam zostały wessane przez kanał w podłodze.

Tweed cofnął się myślą w przeszłość, do czasu kiedy majaczyły mu pierwsze wizje wyzwolonej Ziemi. Wiedział, że wielu ma go za oportunistę; uważano, że zbija pieniądze na nastrojach społeczeństwa, narastających na Lunie od ponad stu lat. Ale on szczerze wierzył w swoje ideały.

Wierzył do tego stopnia, że własnego syna, jedyne dziecko, wychował na zabójcę, posłusznego wykonawcę rozkazów. Zanim się do tego zabrał, przez cały rok wertował starożytne księgi, ale udało mu się stworzyć żołnierza. Metody stosowane przez amerykańskich komandosów i Armię Czerwoną w połączeniu z odpowiednią farmakoterapią i psychologią behawioralną dały doskonały efekt. Vaffa nigdy go nie rozczarował, czasem tylko Tweed czuł mglisty smutek na myśl, że syn i jego klonowani bracia oraz siostry stanowią tak nudne towarzystwo.

Ale będzie skandal! Mimo darowanego miesiąca różne sprawy zaczną wychodzić na światło dzienne, kiedy tylko okaże się, że Twe-

ed zniknął na dobre. Zaczną go szukać - ludzie i systemy komputerowe. Najpierw w trosce o jego bezpieczeństwo. Później, gdy pojawią się pierwsze wątpliwości. Potem ujawni się sprawa Vaff. Na Lunie znajdowały się dwa klony i nic nie mógł na to poradzić.

Stało teraz przed nim zadanie niemal niemożliwe: musiał walczyć o uznanie go za zarejestrowanego obywatela z prawem do życia. Nie mógł pozostać szefem Tweedem. Musiał się wcisnąć w jakąś szparę w obwodach scalonych, zrobić to samo, co tyle razy robił dla skazanych przestępców, żeby mogli dla niego pracować. Było to wykonalne - członkowie partii zajmowali kluczowe stanowiska przy obsłudze większości najpotężniejszych komputerów - ale wymagało czasu.

- To tylko przerwa - powtórzył.

A może nie? Jego/jej twarz nachmurzyła się, kiedy ponownie analizował/ła wszystkie fakty. Nadal można było zmienić rozkazy wydane Vaffie, ale czas mijał. Twarz wykrzywił grymas, uderzył/ła pięścią w ścianę. Lila!

Tweed zawsze czuł/ła, w głębi ducha, że przy ryzyku, na jakie się naraża, wcześniej czy później któryś z więźniów wyrwie się na wolność. Potem, parę miesięcy temu, ten telefon z Plutona. Lila, dyktująca warunki za pośrednictwem Vaffy, rozkazująca mu, co ma robić. Żółć go zalewała, ale naprawdę nie miał wyboru. A teraz ten ostateczny cios i znowu od niej. Ale której? Nauczyciel, Cathay, po przejęciu statku wyrzucił pilota holownika niedaleko Posejdon. Mężczyzna twierdził, że Cathay był na statku sam, Lila wpadła do dziury albo została ściągnięta na Jowisza. Jakim cudem udało się jej powrócić i tego dokonać?

Przypomniał/ła sobie, że Lila miała bazę w Pierścieniach. A więc musi chodzić o ten klon. Tamta zginęła. Myśl dostarczyła przewrotnej satysfakcji. Trzymał/ła nadajnik w ręce, w każdej chwili mógł/ła połączyć się ze stacją przekaźnikową i rozkazać Vaffie wszystkich zabić. Palec spoczął na przycisku.

Dwie godziny. Tyle zostanie, jeśli wyda rozkaz. Za dwie godziny Lila rozgłosi wszystko i policja całego Układu rzuci się w pościg za Tweedem. A jeśli wpadnie? Mimo dysponowania środkami, o których Liii się nie śniło; sama tylko zmiana płci sprawi, że przez trzy-cztery godziny poszukiwania pójdą fałszywym tropem.

Pod warunkiem, że nikt Tweeda jeszcze nie szuka. Jeśli wyda Vaffie rozkaz, pościg rozpocznie się za dwie godziny. Kciuk pogładził przycisk nadawania.

Nie. Potrzebuje paru dni, żeby ich wyprzedzić. Za cztery dni -przy odrobinie szczęścia za dwa - będzie kimś zupełnie innym, z historią osobistą sięgającą siedemdziesięciu lat wstecz i wszystkimi danymi zarejestrowanymi jak trzeba w banku danych. Szef Tweed umarł; kobieta, którą się stał, pragnęła go pomścić. Ale kosztowałoby to zbyt wiele. Zawsze musi myśleć w dłuższej perspektywie. Wróci za dwa, trzy lata, jako ktoś inny, ale nie będzie musiała zaczynać od początku. Partia Wolnych Ziemi przetrwa, a ona zostanie jej przywódczynią.

Nadajnik upadł na ziemię, drzwi windy otworzyły się. Naga kobieta, która z niej wysiadła, w pośpiechu ruszyła korytarzem. Miała wiele do zrobienia.

Kafeteria była wypełniona ludźmi, wskaźniki pokazywały, że nieco powyżej wymogów bezpieczeństwa, choć Liii nie chciało się w to wierzyć. Miejsce nie wyglądało na zatłoczone.

Posejdon nie miał większego miejsca spotkań. Vaffa był przeciwny zgromadzeniom składającym się z więcej niż dziesięciu osób. Wielkich sal, które znajdowały się w martwej przestrzeni, nie mieli jeszcze czasu zagospodarować. Zorganizowali jedno spotkanie w takiej opuszczonej sali, ale nikomu się to nie spodobało, bo musieli włączyć skafandry. Nie można było odczytać wyrazu niczyjej twarzy.

Wybrano więc kafenię, ale okazało się to niemal równie niefortunne. Ludzie musieli się rozmieścić równomiernie we wnętrzu

obracającego się wolno cylindra i to na całym jego obwodzie. Skutek był taki, że często okazywało się, że mówca stoi komuś nad głową. Wielu bolały z tego powodu szyje.

- Miałem obiecać dwa tygodnie - mówił Vejay. - Zrobiłem, co mogłem. Gdybyście mi dali jeszcze cztery dni... lub choćby trzy, mógłbym...

- Wszyscy rozumiemy, że pragniesz zbudować" dla nas jak najlepszy napęd, Vejay - odparł Cathay. - Ale przed chwilą powiedziałeś, że to, co masz, działa...

- Parę miesięcy, w najlepszym razie, a potem będę musiał...

- ...gdybyś mnie zechciał wysłuchać...

- Zdaje się, że to ja mam teraz głos.

Lila zsunęła się w fotelu. Zebrania nudziły ją. Dlaczego Cathay nie każe mu po prostu zamknąć się i nie wyznaczy terminu odpalania? Dlatego, zreflektowała się, że jest lepszym przewodniczącym, niż ona byłaby kiedykolwiek. Zdawała sobie z tego sprawę; kiedy zgłoszono jej kandydaturę, szybko ją wycofała. A Cathay radził sobie całkiem nieźle. Jak dotąd udało im się zrobić wszystko, co zdaniem jego doradców musiało być zrobione, jeśli miało się im powieść. W dodatku przeprowadził to tak, że nikt nie poczuł się oszukany. Jeśli to nie były cechy dobrego przywódcy, Lila nie wiedziała, jakie powinny być.

Nigdy jednak nie przypuszczała, że uzyskanie zgody osiemdziesięciu osób w jakiegokolwiek sprawie może być trudniejsze niż pobicie Tweeda.

Napęd był gotowy, bez względu na to, co twierdził Vejay. Mężczyzna uwielbiał precyzyjne urządzenia, a maszyna, którą sklecił, obrażała jego poczucie piękna. Ale działała. Mogła działać dostatecznie długo, żeby wynieść ich poza zasięg każdego pościgu. A to, podkreślił po raz kolejny Cathay, liczy się przede wszystkim.

- Tweed wiedział, że jeśli daliśmy mu miesiąc, dalibyśmy i dwa, a prawdę mówiąc tyle czasu, ile by potrzebował. Ujawnienie jego

sprawek nic nam nie daje. Wiem, że istnieje wśród nas mniejszość, która bardzo chciałaby to zrobić, ale przypominam po raz kolejny: jeszcze nie wyszliśmy na prostą. Ci, którzy nienawidzą go, powinni najlepiej wiedzieć, że jeśli istnieje sposób, by nam zaszkodzić, Tve-ed zrobi to z czystej złośliwości. Właśnie dlatego postanowiliśmy wyruszyć w ciągu dziesięciu dni. Przygotowania nie były łatwe... -Stwierdzenie powitał chór głośnych komentarzy - ...ale prawie skończyliśmy. Za parę godzin zaczniemy przyspieszanie, a kiedy raz wyruszymy, nasze szanse wzrosną o cały rząd wielkości.

Lila niestrudzenie badała twarze tłumu. Nie miała czasu poznać większości obecnych. Wielu z nich uważało, że są jej przyjaciółmi, tylko dlatego że znali jej nieżyjącego kлона. Doprowadzało to Lilę do szalu. Kiedy dojrzała Cassa, sześćdziesiąt stopni dalej na krzywiźnie podłogi, uśmiechnęła się. Jak dotąd okazał się jednym z nielicznych, którzy nie obiecywali sobie nic po dawnej znajomości. Wyglądało, jakby nie miał nic przeciwko temu, żeby zacząć od początku. W tym wypadku pochwalala osąd swojej siostry.

Na wprost, zbite w ciasną grupkę, siedziały Vaffy, Było ich osiem; nie tak wiele, jak się obawiano, ale zbyt wiele, żeby można się czuć swobodnie w ich towarzystwie. Początkowo było ich dziewięć. Śmierć jednej z nich z rąk żadnego krwi tłumu spowodowała pierwszy kryzys, przed którym stanęła społeczność Posejdona. Pozostałe Vaffy, nareszcie przerażone, zamknęły się w pokoju i przysięgły, że będą walczyć na śmierć i życie. Wywabienie ich z powrotem na zewnątrz kosztowało Cathaya wiele wysiłku. Dotrzymały danej obietnicy i nie podniosły ręki na nikogo. Pozostało czekać, jak się będą zachowywać na dłuższą metę. Istniało wiele zadawnionych porachunków. Już w tej chwili uważano Vaffy za obywateli drugiej kategorii, co nie wydawało się im przeszkadzać, jak długo ludzie zostawiali je w spokoju. Ale mimo to zanosilo się na kłopoty.

- Teraz posłuchamy sprawozdania grupy ekologicznej - powiedział Cathay. - Krista, mogę cię prosić?

Krista była jedną z niewielu osób, które Lila dobrze знаła. Pracowały wspólnie dzień i noc, żeby przygotować Posejdoną do podróży. Lila towarzyszyła Kriście w maratońskich sesjach, poświęconych usuwaniu szkód, spowodowanych przez wybuch w ogrodach hydroponicznych. Krista potrafiła ciężko pracować, była jednym z naukowców, których kopie Tweed porwał i osadził na stacji, kiedy nie mógł znaleźć w więzieniach potrzebnych specjalistów. Lila lubiła ją, drażniła ją tylko przejawiana przez Kristę ciekawość, za co wylądowała w więzieniu.

- Żałuję, że nie mogę dać solidnych gwarancji - zaczęła Krista. - Tweed celowo starał się nas uzależnić od comiesięcznych dostaw. Chyba wiedział, co robi. Brakuje nam niektórych pierwiastków śladowych, które traci się w recyklerach drugiego stopnia. Lila i ja pracujemy nad systemem trzeciego stopnia, żeby odzyskać przynajmniej to, co mamy, ale jeśli nie znajdziemy w skałach większych zasobów, za parę lat możemy mieć trudności.

- A co z widokami na stworzenie nowego systemu? - spytał Cathay.

- No cóż, nic nie chcę obiecywać na pewno, ale...

- Damy radę! - krzyknęła Lila. - I tak nie mamy innego wyjścia.

Siadaj, Krista.

Pozostałe sprawozdania brzmiały podobnie. W paru miejscach uszkodzenia nie zostały jeszcze całkowicie naprawione, ale prace szybko posuwały się naprzód.

Wszyscy twierdzili, że mają za mało czasu, ale w końcu przyznawali, że nic nie przemawia przeciw wyruszeniu w drogę.

Cathay wysłuchał ich do końca, po czym uderzył młotkiem w stół.

- Wybraliście mnie i przyznaliście mi prawo wyznaczenia terminu, kiedy ma zostać włączony napęd. W tej chwili mam zamiar z niego skorzystać. Wyruszamy za osiemnaście godzin.

Rozdział dwudziesty

Jak podsumować podróż, trwającą dziesięć lat? Jeśli powiem, że była nudna i nic się nie działo, będzie to nie tylko zdawkowe, ale i nieprawdziwe.

Jestem pewna, że Javelin zaczęła żałować swojej decyzji już w pierwszym miesiącu. Zabrała nas dla rozrywki, żeby przerwać rutynę, trwającą od wielu lat. Jednak nie ulegałaby tej rutynie przez tak długi czas, gdyby jej to w gruncie rzeczy nie odpowiadało. Po upływie pierwszego miesiąca rzadko ją widywaliśmy. Jej kwatera była dostępna tylko dla niej. Kiedy wchodziliśmy do solarium, wycofywała się do swojej części statku.

Vaffa poddała się pierwsza. Nie bardzo chciała przespać całą podróż, obawiając się, że jej nie obudzimy, ale jak się wyraziła: „Jeśli szybko czegoś nie zrobię, ktoś tu straci życie”.

Cathay i ja bardzo się ze sobą zżyliśmy. Parę razy. W przerwach ledwie otwieraliśmy do siebie usta. Pamiętam jedną okropną awanturę o to, czyja kolej nakarmić rybki. Nie było to tym niczyjej winy. W innej sytuacji może zbudowałibyśmy coś trwałego, ale oprócz nas nie było nikogo, kogo można by kochać albo nienawidzić, albo się z nim drażnić. Przyznaję, że części-

wo wynikało to z mojego uporu. Nie chciałam pokochać Catha-ya dlatego, że tylko on był pod ręką; potrzebowałam lepszego argumentu. Cathay uważał, że to idiotyzm i pewnie miał rację. Ale nic na to nie mogłam poradzić.

Godziliśmy się głównie ze względu na moje potrzeby seksualne. Zawsze uważałam własną rękę za kiepskiego partnera. Nie potrafiłam złościć się na kochanka zbyt długo; zaczynałam go potrzebować, a Javelin nie mogła go zastąpić. Kopulowałam z nią raz — bardzo mnie zaskoczyła, bo sądziłam, że jest bezpłciowa. Zastosowane przez nią rozwiązanie problemu kobiecych genitaliów bez krocza było pomysłowe, funkcjonalne i fascynujące, ale — niestety — ostatecznie mnie rozczarowało. Okazała się obojętną kochanką, zbyt skoncentrowaną na sobie.

W końcu wytrzymałam, tylko dwa tygodnie dłużej niż Cathay. Javelin z wyrazem wielkiej ulgi na twarzy dała mi zastrzyk, który miał mnie uśpić na osiem lat.

Decelerowali od trzech tygodni.

Javelin miała rację: coś tu było. Pokazało się na ekranie radaru jako obiekt o rozmiarach dużego asteroidu. Na razie nie dało się go zobaczyć, bo napęd zakłócał obraz w teleskopie. Javelin starannie skierowała statek na punkt leżący w odległości stu kilometrów od obiektu, żeby nie uznano napędu za broń.

Żadne z nich nie widziało jednak samej Javelin. Cathay, Lila i Vaffa nie spali od czterech tygodni i ćwiczyli codziennie, żeby odzyskać formę, ale Javelin nie opuszczała swojego pokoju. Mogli z nią rozmawiać tylko przez system audio. Lila uznała, że kobieta dotkliwiej niż dotychczas odczuwa ich obecność na statku i jest z tego powodu jeszcze bardziej nieszczęśliwa.

W końcu pojawiła się; wcześniej trzeba było wyciąć drzwi w ścianie jej kabiny. Miała teraz dwie ręce i nogi, i nie zmieściłaby się przez niewielki otwór, którego używała poprzednio. Tak skomplikowanej

operacji chirurgicznej nie byłaby w stanie przeprowadzić sama; Lila podejrzewała, że pokój został wyposażony w odpowiedni sprzęt.

Javelin czuła się nieswojo pod ich spojrzeciami. Lila chciała rzucić jakąś uwagę, ale kiedy zauważyła, jak dziwnie porusza się Javelin w przyspieszeniu jeden g - ciągle zapominając o lewej nodze i prawej ręce - dała sobie spokój. Nie obeszło się bez modyfikacji układu nerwowego - była tego pewna. To tak, jakby Javelin dostała nagle okulary odwracające wszystko, co widzi; musi upłynąć trochę czasu, zanim jej mózg zaakceptuje zmiany.

Z początku Lila dziwiła się, dlaczego Javelin zdecydowała się na operację. W przeszłości godziła się na krótkie okresy unieruchomienia, kiedy statek przyspieszał; nigdy nie trwały dłużej niż miesiąc, a wobec dziesięciu lat swobodnego ruchu w stanie nieważkości nie znaczyło to wiele.

Ale teraz każdy dzień przybliżał ich do przyczółka obcych i intencje Javelin stały się jasne. Nie wiedzieli, co ich tam czeka. Mogło to być wszystko, od stanu nieważkości po przyspieszenia wiele razy większe od ziemskiego, więc Javelin postanowiła się przygotować jak najlepiej.

Stacja Gorącej Linii miała kształt torusa; przypominała grubego, ciemnego pączka z otworem w środku, o zewnętrznej średnicy siedemdziesięciu kilometrów, wolno obracający się wokół osi.

- Wygląda jak opona - stwierdził Cathay, zerkając znad drobnych ramienia Javelin na ekran teleskopu. - Widzicie, jaka jest spłaszczona?

- Dzięki temu mają wewnątrz więcej równych powierzchni - zauważyła Javelin. - Płaska podłoga i łukowaty sufit nad głową.

Przerzuciła na konsoli kilka przełączników.

- Utrzymują w środku trzy czwarte g. Całkiem nieźle, jak na taką rotację. Jeśli chodzi o gęstość, to daliśmy się nabrać. Mniej więcej dwa razy tyle co woda, a to niewiele. W środku musi być mało metalu.

-Jak myślicie, z czego to jest zrobione? - spytała Vaffa. Nikt nie odpowiedział.

W jednym miejscu z wewnętrznej części koła wyrastała wieża. Masywna u podstawy, bardzo szybko zwężała się w iglicę. Na osi obrotu znajdowało się zgrubienie. Javelin dokonała dalszych obliczeń.

- Naprzeciw podstawy tej wieży musi być coś bardzo ciężkiego - oznajmiła. - W przeciwnym razie wytrąciłaby torus z równowagi.

- Musimy tam polecieć, prawda? - spytał Cathay. - Na szczyt wieży.

- Nie bardzo wiem, gdzie indziej - odpowiedziała Javelin. -Cała reszta wiruje zbyt szybko. Lepiej zapnijcie pasy. Zdaje się, że będę musiała ostro manewrować.

- Czy nie powinniśmy najpierw nawiązać z nimi kontaktu? - spytała Lila. - Na pewno wiedzą, jakiej częstotliwości używamy. Myślę, że podsłuchują nas od setek lat.

- Masz rację. Tylko co powiedzieć?

Pierwszy raz, odkąd ją Lila poznała, Javelin wydawała się niepewna. Popatrzyli po sobie, ale żadne nie miało szczególnej ochoty, żeby nawiązać pierwszy kontakt. Javelin obróciła tarcze na swoim ekranie i nakierowała teleskop na doki w centralnej części koła. Wszyscy dostrzegli słaby błysk światła po jednej stronie, Javelin skierowała tam teleskop.

Przez chwilę nikt się nie odzywał. Światła było w rzeczywistości kilka, przypominały do złudzenia świetlówek. Tworzyły słowo „Witajcie”.

- Czekaliśmy na was - zabrzmiał głos w głośniku. -Jak zbliżycie się na pięćset metrów, rzucimy wam linę. To co, spotykamy się za jakieś dwadzieścia minut?

Rozdział dwudziesty pierwszy

Jak mam podsumować nasze życie na Posejdonie?

W dziennikach, które łapaliśmy przez pierwszych kilka dni po ucieczce, nazywano nas „zbiegłym księżycem”. Od Merkurego po Plutona zapanowała całkowita konsternacja. Ucieczkę Posejdona uznano za zapowiedź jakichś katastrofalnych wydarzeń, obwiniano za nią Najeźdźców. Rozległy się nawoływania, żeby ludzkość zaczęła się zbroić i przygotowała do nadchodzącej walki.

Oczywiście nic podobnego się nie zdarzyło i z czasem cała sprawa poszła w zapomnienie. Dużo później usłyszeliśmy sugestie, że Posejdona można było wytrącić z orbity za pomocą technologii znanych ludziom i niewykłuczone, że naprawdę zrobiła to jakaś grupa przestępców wyjętych spod prawa. Jak się zdawało, pomysł ten nie znalazł wielu zwolenników, zresztą byliśmy zbyt daleko i posuwaliśmy się ze zbyt dużą prędkością, żeby nas to cokolwiek obchodziło.

Przez ten rok pracowaliśmy jak szaleni. Zderzenie z „Pomstą ” spowodowało wiele szkód w tunelach i salach. Przeciężenie systemu zasilania wywołało awarię systemu ogrzewania hydroponicznych farm; wszystkie rośliny zmarzły. Przez jakiś czas

żyliśmy w ciemnościach, jedząc żywność z puszek. Nie mieliśmy dość powietrza, żeby wypełnić korytarze — wiele było nieszczelnych — więc prawie nie zdejmowaliśmy skafandrów i ściśle przestrzegaliśmy racjonowania tlenu.

Kiedy razem z Cathayem zdecydowaliśmy się na atak, nie mogliśmy przewidzieć, czy zderzenie z „Pomstą ” nie uszkodzi na Posejdonie jakichś podstawowych systemów — takich, bez których przeżycie okazałoby się niemożliwe. Vejay zapewniał Cathaya, że księżyc jest samowystarczalny. W końcu musieliśmy postawić na kartę życia mieszkańców Posejdona.

W pierwszym uniesieniu zwycięstwa nikt nie miał nam tego za złe. Cathaya wybrano na pierwszego prezydenta. Chwalono nawet mnie. Nie trwało to długo. Po sześciu miesiącach Cathaya zdjęto z urzędu; oboje wstydziliśmy się spojrzeć w twarz ludziom, których spotykaliśmy w ciemnych, pozbawionych powietrza korytarzach.

Ale udało się. Przez wiele lat Tweed przysyłał wyposażenie, chcąc uniezależnić bazę od dostaw z zewnątrz. Wysyłanie statków w kierunku Jowisza stanowiło zawsze najbardziej ryzykowną część jego planu; czuł się tym pewniej, im mniej ich było. Potrzeby Posejdona, jedna po drugiej, zaspokajano za pomocą niewielkich, ręcznie obsługiwanych maszyn produkcyjnych. Energia znajdowała się na miejscu, więcej, niż było potrzeba. Surowce można było wydobyć albo otrzymać na drodze transmutacji, znowu — dzięki nieograniczonym zapasom energii. Mieliśmy urządzenia do produkcji świetlówek, obwodów scalonych i pomp. Maszyny, których używano do budowy bazy, nadal się tu znajdowały i mogły posłużyć do odgruzowania starych tuneli lub budowy nowych. Istniało wyposażenie, za pomocą którego produkowaliśmy części zamienne w miarę jak stare się zużywały.

Po trzech latach staliśmy się stabilnym ekosystemem, jeśli nie społecznością. Czasy racjonowania tlenu należały do przeszłości,

a obszar zamieszkały był większy niż kiedykolwiek w ciągu ubiegłych piętnastu lat. Liczebność populacji wzrosła o dwadzieścioro dzieci, dalszych czworo było w drodze. Znowu mogłam chodzić z podniesionym czołem i uważać się za szanowanego członka społeczeństwa; zostałam Głównym Hydroponikiem i Wielkim Specem od Mutowanej Żywności. Za każdym razem, kiedy tworzyłam nową roślinę, lepszą od tego, czym się żywiliśmy do tej pory, mój prestiż nieco wzrastał.

Nim minęło pięć lat, wszystko się ustaliło. Mieliśmy staroświecką szkołę, gdzie uczniów było więcej niż nauczycieli. Okazało się to nawet nie takie złe.

Ciągle nie mogliśmy się nadziwić, jak wiele czasu i wysiłku trzeba poświęcić, żeby system funkcjonował bez zarzutu. Nie przeżylibyśmy w naszym małym świecie, gdybyśmy bezustannie o niego nie dbali. Jest to charakterystyczna cecha wszystkich ludzkich społeczności od czasów Inwazji, ale zwykle nie mówi się o tym. Na przykład tylko trzy procent ludności Luni jest bezpośrednio zatrudnionych w przemyśle środowiskowym. Na Posejdonie zajmowali się tym wszyscy, a wielu pracowało w dwóch, a nawet trzech zawodach. Większość, poza innymi zajęciami, uprawiała rośliny. Pracowaliśmy po dziesięć godzin dziennie.

Problem polegał na tym, że — mimo iż byliśmy społeczeństwem wysokiej technologii — brakowało nam koniecznej do tego bazy. Do mapowania zmian w genach roślin, które mutowaliśmy w celu uzyskania odmian odpornych na nowe warunki, używaliśmy komputerów, a potem uprawialiśmy te rośliny własnymi rękami. Brakowało nam — tak powszechnych na Luni — maszyn cybernetycznych i paramentalnych, które wykonywałyby większą część pracy fizycznej. Nie mieliśmy skomplikowanej maszyny potrzebnej do ich zbudowania ani do produkcji części zamiennych do naszych komputerów, gdyby któryś się zepsuł. Musieliśmy się ograniczać do chipów z obwodami scalony-

mi, świetlówek, nadprzewodników chłodzonych helem i innych równie podstawowych, znanych od wieków technologii. Nie był to neolit w ścisłym znaczeniu, ale czasem mieliśmy takie wrażenie.

Po dziewięciu latach podróży poruszaliśmy się z prędkością równą połowie prędkości światła.

Rozdział dwudziesty drugi

Pierwszy kontakt.

Lila rozważyła wszystkie możliwości (albo tak się jej wydawało) od istot z czystej energii po klasyczne monstrialne formy życia, których opisy wypełniały tanie powieści przygodowe. Wzięła pod uwagę, że mieszkańcy Wężownika mogą być podobni do ludzi: dwunożni i dwubocznie symetryczni; pod pewnymi względami jest to bardzo funkcjonalny wzorzec. Przyszło jej do głowy, że mogą przekraczać jej możliwości pojmowania, bardziej przypominać Najeźdźców niż istoty ludzkie.

Znalazła się w korytarzu - mógłby to być jeden z korytarzy, w jakich bawiła się jako dziecko. Na końcu mieściła się sala konferencyjna z dywanem i długim drewnianym stołem, przy którym stało dwanaście krzeseł.

-Powiedziałaabyś, że jest tu koło I g?- spytała Javelin, kiedy wchodziły do wnętrza. Jej głos zabrzmiał obco w uszach Liii; sala tłumiła echo.

- No, mniej więcej.

Spojrzała na Javelin. Kobieta nigdy nie wydawała się mniejsza niż teraz, kiedy stała na dwóch nogach w polu grawitacyjnym. Sięgała Liii ledwie do pasa.

-Jak to możliwe? - zastanawiała się Javelin. - Stacja się obraca, żeby uzyskać sztuczną grawitację, nie? Tylko że my jesteśmy na osi. Powinniśmy być w stanie nieważkości.

- Czyli potrafia kontrolować grawitację - wtrąciła Vaffa.

-W takim razie, po co się obracają? Skoro mogą wyprodukować 1 g tutaj, dlaczego nie mogą na obwodzie?

- Może to zbyt kosztowne - odezwał się Cathay. - Albo może to ma być gest przyjaźni.

- Nie wyciągamy zbyt daleko idących wniosków - powiedziała Lila. - Trzeba będzie na to uważać.

- Mieć otwarty umysł - dodała Vaffa.

Lila wiedziała, że błądzą w ciemnościach. Stali na jednym końcu sali, wahając się, czy wejść dalej. Głos, po niespodziewanym zaproszeniu przez system nadawczo-odbiorczy „Cavorite”, powiedział im, którędy się dostać do bazy i polecił iść do końca korytarza. Od tamtej pory nie odezwał się.

Drzwi po drugiej stronie sali otwały się i zaczęły przez nie wchodzić ludzie. Wyglądali zupełnie zwyczajnie, mężczyźni i kobiety ubrani w stroje modne jakieś dwa stulecia wcześniej. Byli przystojni; ludzie, jakich można spotkać w każdym publicznym korytarzu w Lunie.

- Bardzo proszę, siadajcie - odezwał się któryś z mężczyzn. - Weźcie sobie krzesła. Nie przestrzegamy tutaj zbytnio form.

Żadnemu z nich nie przyszła do głowy odpowiedź, więc posłuchali polecenia. Kiedy obcy usiedli również, okazało się, że wszystkie miejsca są zajęte. Mężczyzna, który przemówił pierwszy, siedział u szczytu stołu. Teraz podniósł się, oparł o stół i uważnie im się przyjrzał. Leciutko zmarszczył brwi.

- Wiedziałem, że będziecie zdenerwowani - powiedział. - Nie wiem, jak temu zaradzić. Staraliśmy się stworzyć wam znajome otoczenie, ale pewnie chwilę potrwa, zanim się poczujecie swobodnie.

Patrzył kolejno na każdego z nich, obdarzając: ich uśmiechem.

W uśmiechu było coś dziwnego. Wydawał się życzliwy, ale Lila odniosła wrażenie, jakby kryła się za nim pustka. Miał być oznaką przyjaznych zamiarów, podobnie jak poprzednie zmarszczenie brwi miało wyrażać zatroskanie. Zerknęła na Javelin i Cathaya, żeby sprawdzić, czy też to zauważyli.

- To naprawdę dziwne - kontynuował mężczyzna. - Wasz gatunek ma bardzo niewielkie doświadczenie w podobnych sytuacjach. Mój przechodził przez to tysiące razy. Jesteście zaciekawieni tym spotkaniem, macie wiele pytań i to wszystko wydaje się wam bardzo dziwne.

Znowu przerwał i tym razem spojrzął na swoich towarzyszy, siedzących po obu stronach stołu. Kiwali głowami, niektórzy uprzejmie przytakiwali. Szukali kontaktu wzrokowego z Ziemianami - poufałość, na którą Lila nie była jeszcze gotowa. Ogarnęło ją poczucie zagubienia. Z jej doświadczenia, ci ludzie mogliby stanowić zarząd jakiejś spółki, zebrany dla przedyskutowania stanu interesów.

- Przede wszystkim powinniśmy się przedstawić. Ja jestem przewodniczącym grupy kontaktowej; mam na imię William.

Wszyscy po kolei wstawali i podawali swoje imiona, które dla Lili brzmiały bardzo podejrzanie. Bez wyjątku były to archaiczne, pospolite imiona ze Starej Ziemi. Kiedy obcy skończyli, Javelin wstała i przedstawiła się, to samo zrobili pozostali.

Po zakończeniu wstępnych formalności William usiadł, wszyscy wyraźnie się odprężyli. Rozległ się szmer rozmów. Wydawał się tak naturalny, że Lila w pierwszej chwili nie zwróciła na niego uwagi. Kiedy jednak nastawiła uszu, chcąc usłyszeć jakieś pojedyncze wypowiedzi, stwierdziła, że to niemożliwe. Był to szmer w dosłownym znaczeniu tego słowa, równie sztuczny jak śmiech z puszkki. Wszystko odbywało się na ich użytek; uczestniczyli w czymś w rodzaju przedstawienia na żywo.

- Możecie pozostać naszymi gośćmi tak długo, jak zechcecie. Macie ochotę coś zjeść? Nie? W porządku, ale nie kępujcie się.

Uznaliśmy, że gdybyśmy zaczęli od odpowiedzi na wasze pytania, trwałoby bardzo długo, zanim byśmy doszli do naprawdę istotnych problemów. A suchy wykład, jestem tego pewien, szybko by was znudził. Tak więc przygotowaliśmy film, żeby was wprowadzić w zdarzenia, które stanowią tło tego historycznego kontaktu.

- Alicjo, zajmij się światłem, proszę.

Ktoś przygotowywał urządzenie przypominające projektor. Z sufitu opuścił się ekran; światła przygasły i maszyna zaczęła terkotać. Na ekranie pojawiły się napisy, towarzyszyła im nastrojowa muzyka.

HIERARCHIE Produkcja: Komitet Do Spraw Pierwszego Kontakt

Film rozpoczynało ujęcie rozproszonych gwiazd i galaktyk. Głos narratora został znakomicie dobrany, pomyślała Lila. Był to Standardowy Głos Komputerowy, z którym ludzie spotykali się każdego dnia przez całe życie. Kontrolowane, kojące modulacje usposabiały pozytywnie. Po raz pierwszy odprężyli się nieco.

„Pozdrowienia dla mieszkańców systemu Sol, w przeszłości Mieszkańców Ziemi, od najbliższych sąsiadów wśród ludów Galaktyki. Przez wiele setek lat nasze gatunki komunikowały się ze sobą za sprawą urządzenia, które nazywacie Gorącą Linią z Wężownika. Zbliży się czas podjęcia ważkich decyzji, dokonania poważnych posunięć; czas, kiedy dowiecie się o wielu sprawach, których do tej pory mogliście się tylko domyślać.

Wszechświat jest miejscem o wiele bardziej niezwykłym, niż sobie wyobrażaliście do tej pory. Nie zdziwi to tych, którzy szukali odpowiedzi na pytania stawiane przez filozofów, odkąd wasz gatunek zszedł z drzew. Nie chcemy, byście sądzili, że znamy na nie odpowiedzi; pod wieloma względami jesteśmy podobni do was i tak jak dla was, również i dla nas wiele spraw pozostaje tajemnicą. Ale są też kwestie, które poznaliśmy i o których powinniście się dowiedzieć, ponieważ zbliża-

cie się do punktu zwrotnego, gdzie zdecyduje się wasz los: czy przetrwacie, czy też poniesiecie klęskę jako gatunek.

Tytuł filmu brzmi „HIERARCHIE”. Jak wam udowodniono w sposób najbardziej przekonujący z możliwych, nie wam przypadła dominacja w Galaktyce. Istoty potężniejsze odebrały wam planetę. Nie miały z tym najmniejszych problemów; było to równie nieuniknione jak prawo ciążenia. Życie obecnie w miejscach pozbawionych atmosfery, na zbyt zimnych lub zbyt gorących pustyniach swojego układu planetarnego. Niektórzy z was modlą się o wolność; inni próbują sami coś na to poradzić.

Nie zostaniecie oswobodzeni. Gdybyśmy mogli, zwrócilibyśmy wam waszą planetę, ale nie mamy takiej władzy. Wasza walka o odzyskanie Ziemi jest skazana na klęskę.

Pora wyjaśnić, dlaczego tak jest. Jednak na początek powinniśmy wam chyba opowiedzieć o sobie”.

Film trwał około godziny. Lila zagłębiła się w wygodny fotel i przykneła oczy, pozwalając, żeby informacje przepływały przez nią, zgodnie z zamiarami autorów. Film był doskonale zrealizowany, szybkie cięcia i perfekcyjna dbałość o szczegóły przypominały reklamówki.

Przedstawiono im w zarysie historię mieszkańców Wężownika, uzupełnioną o animowane sekwencje, które nigdy jednak nie przedstawiały żywych postaci. Javelin powiedziała później Liii, że jej to nie dziwiło; przez czterysta lat działania Linii nie przekazano ani jednego strzępka informacji o istotach, które je wysyłały.

Mieszkańcy Wężownika byli we własnej opinii gatunkiem bez rodzinnej planety. Nie pochodzili z 70 gwiazdy Wężownika ani w ogóle z żadnego innego układu gwiazdowego.

Javelin pochyliła się i szepnęła do ucha Liii:

- Ciekawe. Myślę, że coś ukrywają.
- Możliwe.

Twierdzili, że istnieją od bardzo dawna - ich początki, jak się wyrazili w filmie, giną w pomroce dziejów. Najstarsze źródła pocho-

dziły sprzed siedmiu milionów lat; od tamtej pory aż do czasów współczesnych w ich społeczeństwie nie nastąpiły żadne zmiany.

Film w zwięzłej formie mówił też o tym, co Ziemianie podejrzewali od dawna, potwierdzając większą część informacji.

„Istoty, które nazywacie Najeźdźcami, należą do tak zwanego poziomu inteligentnego. W Galaktyce istnieje więcej gatunków podobnych do nich, między innymi mieszkańcy planety Jowisz w waszym Układzie Słonecznym. Gatunki tego typu powstają tylko na planetach zwanych gazowymi olbrzymami. Nie używają narzędzi w takim sensie, jak my to rozumiemy, a raczej są zdolne manipulować otaczającym światem w sposób, który wymyka się naszemu pojmowaniu. Spróbujcie to sobie wyobrazić na podobieństwo telekinezy; niezupełnie o to chodzi, ale wiele z rzeczy, do których są zdolni, przypomina to, czego mogliśmy dokonać, gdyby takie zjawisko istniało.

Dla Najeźdźców czas jest tylko wymiarem materii. Możemy jedynie snuć domysły, w jaki sposób wpływa to na ich percepcję świata i nie przychodzi nam z tego nic dobrego. Ale zdolność ta stawia ich tak bardzo ponad nami, jak my stalibyśmy powyżej mieszkańców jakiegoś hipotetycznego dwuwymiarowego świata”.

Film potwierdził to, co mówiono Liii wiele lat temu o delfinach: że należą do drugiego poziomu inteligentnego. Vaffa prychnęła; Lila spojrzała na nią, zastanawiając się, co kobieta przeżywa. W przekonaniu Wolnych Ziemian ssaki morskie były zwykłymi zwierzętami; opowieści o Najeźdźcach przybywających na Starą Ziemię, żeby je wyzwolić, uważali za bajki.

„Gatunki używające narzędzi, te, które ewoluują na lądzie i w atmosferze zawierającej den, są zaliczane do trzeciego poziomu inteligentnego. Należy tu wraz z wami, aczkolwiek należy podkreślić, że każdy poziom dzieli się na podpoziomy. Nie jesteście, i nigdy nie będziecie, nam równi. Możemy z wami rozmawiać o pewnych sprawach, ale istnieją rzeczy, których nie jesteście w stanie pojąć i takie, którymi nie chcemy się z wami dzielić. I tu dochodzimy do najważniejszego

punktu przesłania: wyjaśnienia, co tu robimy i dlaczego komunikowaliśmy się z wami przez te wszystkie lata".

Po raz pierwszy na ekranie pojawiła się twarz. Miała standardowe rysy: regularne, ale trudne do zapamiętania. Dopiero po chwili Lila zdała sobie sprawę, że patrzy na „Williamą”. Uśmiechnął się znowu, równie nieprzekonująco jak poprzednio, kiedy widziała go na żywo.

-Jak powiedziano wcześniej, jesteśmy gatunkiem, który utracił kontakt ze swoimi korzeniami. Pewnie trudno wam to sobie wyobrazić. Możemy się jedynie domyślać, co się wydarzyło.

Na ekranie, powyżej ramienia Williama, ukazała się planeta przypominająca Ziemię.

- Prawdopodobnie powstaliśmy na planecie bardzo podobnej do waszej. Zgodnie z naturalnym biegiem rzeczy zostaliśmy z niej wygnani, tak jak wy. Obserwowaliśmy ten proces setki razy; zawsze przebiega według tego samego schematu.

Na ekranie tysiące statków uciekały z planety; kierowały się do różnych księżyców i asteroidów.

- Z czasem gatunki takie jak mój i wasz zaczynają się zastawać nad odzyskaniem macierzystej planety. Podejmują kroki w tym kierunku. Nie minie wiele czasu, a istoty z planet gazowych położą kres tego rodzaju eksperymentom. I jak poprzednio, nie sprawia im to najmniejszych trudności.

Lila obserwowała, jak niezliczone kształty wznoszą się znad powierzchni błękitnej planety, gdzie dołączają do roju. Nie potrzebowała komentarza; było jasne, co się dzieje.

- To właśnie nas spotkało. Wygnani z własnej planety, zostaliśmy zaatakowani w nowym schronieniu. Tak jak w czasie poprzedniej inwazji, przeżyli tylko nieliczni, którzy zdołali się schronić w sąsiednich układach. To jest los, który niedługo i was czeka.

Jesteście świadomi rosnącej roli grupy, nazywającej się Partią Wolnej Ziemi. Przez wiele stuleci wasz gatunek godził się pokornie

na wygnanie. Nadszedł czas, by podniosły się głosy sprzeciwu. Mało prawdopodobne, że uda się je stłumić w jakikolwiek sposób. Niniejszym formalnie zwracamy waszą uwagę na fakt, że przywódca Wolnych Ziemi, Tweed, jest zamieszany w eksperymenty w okolicy Jowisza i na orbicie ziemskiej. Do tej pory z całą pewnością zwróciły one uwagę Najeźdźców na ludzi żyjących na Ośmiu Światach. Eksperymenty były niefortunnym pomysłem, ale Tweed to nie potwór. Rozumiemy jego pragnienie, by przywrócić dominację ludzi w macierzystym świecie. Możemy tylko stwierdzić, że jego wysiłki są daremne.

Jeśli nie on, zrobi to ktoś inny. Nawet jeśli uda się wam powstrzymać Tweeda, ktoś zajmie jego miejsce. Wiemy z doświadczenia, że kiedy przychodzi czas na ideę, nie ma sensu próbować ją zdławić. Niektórzy z was nie uwierzą w nasze ostrzeżenia i pójdą własną drogą. Zbierzecie siły do walki z Najeźdźcami. Z czasem będziecie gotowi przeprowadzić własną inwazję. Nie powiedzie się ona, a ci, którzy pozostaną w Ośmiu Światach, zginą.

Niektórzy uciekną. Podróże międzygwiazdne są już w zasięgu waszych możliwości, brakowało tylko bodźców ekonomicznych. Część z was nam uwierzy i umknie na czas. Chciałbym móc wam powiedzieć, że będą żyli długo i szczęśliwie.

Obraz zmienił się znowu. I jeszcze raz. Gwiazdy, jedna po drugiej, rozbłyskiwały na ekranie w stylizowanej animacji. Wokół wielu z nich krążyły gazowe olbrzymy; te układy znikaty. Inne były zamieszkałe przez gatunki oddychające tlenem, żyjące w światach pozbawionych atmosfery, podobnie jak ludzie teraz. Tylko parę miało światy nadające się do zamieszkania, bez form drugiego poziomu żyjących w oceanach; niemal wszystkie były już zajęte.

- Galaktyka jest zatłoczonym miejscem - ciągnął William. - Szybko to odkryliśmy. Poszukiwania świata nadającego się do życia trwają długo i są trudne. Niektóre gatunki nigdy nie znajdują dla siebie niszy. Wymierają. Inne dzielą się, niezdolne utrzymać kontakt

między odległymi koloniami. Z biegiem czasu mutują. W przestrzeni proces ewolucji przebiega o wiele bardziej gwałtownie niż ten, który dał wam początek w waszym gościnnym świecie, i wszystkie biorące w nim udział gatunki są inteligentne. Tam, gdzie zderzają się interesy, nie ma litości. „Walka” to termin zbyt prosty na jego określenie. Gatunki zmieniają się, łączą, wchłaniają nawzajem.

Nazywamy siebie Kupcami. Nie mamy własnej planety, chociaż musiał na początku istnieć jeden gatunek, który jako pierwszy zaczął prowadzić taki styl życia. Obecnie stanowimy mieszkankę wielu gatunków, żyjących w stanie równowagi, dzięki czemu udało się im przetrwać.

Na ekranie pojawiła się wolno wirująca stacja Gorącej Linii. Wystrzelił z niej czerwony promień światła i skierował w stronę żółtej gwiazdy.

- Kupcy są organizacją stworzoną po to, aby dostarczać wygnanym gatunkom informacji potrzebnych do przeżycia. Nadajemy je w taki sam sposób, jak wysyłaliśmy je wam. Przez stulecia nauczyliśmy was manipulować własną strukturą genetyczną. Z powodów znanych tylko wam nie wydawaliście się skłonni, żeby wykorzystać tę wiedzę. Zignorowaliście większą część naszych informacji, dotyczących przede wszystkim tego, jakie możliwości otwierają przed wami modyfikacje struktury DNA. To niezwykła sytuacja; niewiele gatunków, z którymi się zetknęliśmy, wahało się zmienić, kiedy powstała taka potrzeba. Z jakiegoś powodu przyjęliście tak skrzywione nastawienie, że nie byliście nawet w stanie zrozumieć informacji o was samych, które wam przesyłaliśmy.

Musicie skończyć z tym dziwactwem. Nie możecie dłużej definiować swojego gatunku za pomocą cechy tak arbitralnej jak kod genetyczny. Musicie wykonać wielki skok, stworzyć świadomość, która będzie w stanie zaakceptować różnice w wyglądzie fizycznym. I musicie zdefiniować swój gatunek lepiej niż dotychczas. Dzisiaj nie byłibyście w stanie wyjaśnić, co czyni kogoś istotą ludzką.

To, co widzicie przed sobą - powiedział William, rozkładając ręce i spoglądając na siebie - według waszych obecnych standardów czyni ze mnie człowieka. To ciało pod względem genetycznym jest ludzkie. Ale ja zamieszkuję w nim tylko czasowo, tak samo jak wielu z was żyje teraz w ciałach sklonowanych i jak będziecie żyli w innych ciałach w ciągu swojego życia.

Scena zmieniła się znowu. Lila uświadomiła sobie, że oczekuje czegoś w napięciu; nie wiedziała, dlaczego. Zobaczyła Grand Concourse w King City na Lunie. Odwiedzała to miejsce wiele razy. Ludzie przechodzili przed kamerą, zajęci własnymi sprawami.

- Zaraz zjawi się kanciarz - wyszeptła Javelin. - Uważajcie na swoje kredytomierze i złote plomby.

Nozdrza jej drgały, oczy rozbłyły. Węszyła w powietrzu interesy; tylko tego trzeba jej było do szczęścia.

- Nazywamy siebie Kupcami. Wiecie, co sprzedajemy; korzysta liście z tego przez stulecia. Nikt nie zadał sobie trudu, żeby spytać, czy nie pragniemy czegoś w zamian. Pragniemy, i to czegoś, co równocześnie trudno i bardzo łatwo określić.

Chcemy waszej kultury.

Rozdział dwudziesty trzeci

Jak streścić dziesięć lat spędzonych w miejscu, które kiedyś nazywano Wschodnim Wybrzeżem Stanów Zjednoczonych ?

Przez długi czas nie mogłam się nadziwić, skąd brało się we mnie przekonanie, że znajduję się na kontynencie amerykańskim. Przez kilkanaście dni po śmierci Makela wędrowałam przed siebie mniej lub bardziej oszołomiona. Zdaje się, że upłynął prawie miesiąc, zanim zaczęłam sobie stawiać pytania, które miały mnie dręczyć przez następnych dziesięć lat. Sprowadzały się one do: „ Co się właściwie stało ? ”

W jednej chwili spadałam w jowiszowej atmosferze, a w następnej znalazłam się w falach Oceanu Atlantyckiego. I wiedziałam, że to Atlantyk.

Chociaż niezupełnie. Jedno zdarzenie nie nastąpiło po drugim; raczej wymieszały się ze sobą. Jestem pewna, że pamiętam, jak siedziałam drżąc pod jakimś krzakiem zanim znalazłam się w wodzie. Pamiętam, że wyczołgiwałam się z wody, zanim się w niej znalazłam.

To, co przeżyłam, wydawało się tak bardzo subiektywne, że wątpiłam z początku, czy przywołanie go na nowo gdziekolwiek

mnie zaprowadzi. Nie powstrzymało mnie to jednak przed rozmyślaniami. Wnioski, do jakich doszłam, były trudne do udowodnienia, niemal zupełnie bezwartościowe, a mimo to byłam z nich zadowolona, w ten sam niezrozumiały sposób, jak nie miałam wątpliwości, gdzie się znajduję.

Wpadłam na Najeżdźcę — albo Jowiszanina, o ile to jakaś różnica. Obcy, z przyczyn znanych tylko sobie, przeniósł mnie tutaj. Być może wyjaśnił mi wszystko w czasie tych splątanych sekund, minut, godzin czy stuleci, kiedy odbywałam podróż. Albo może jakiś poziom mojego umysłu był w stanie zarejestrować, gdzie i w jaki sposób jestem przenoszona.

Dlaczego? Czemu jakiś Najeżdźca miałby się o mnie troszczyć tak bardzo, żeby to zrobić? A może był to przypadek? Nie wiedziałam, ale istniało we mnie uparte przekonanie, że zostałam przeniesiona w czasie i przestrzeni z jakiegoś powodu i że z czasem wszystko się wyjaśni. Na razie stało przede mną trudne zadanie utrzymania się przy życiu.

Przygód miałam setki. Stwierdziłam jednak, że wolę o nich czytać, niż je przeżywać. Wstając rano nigdy nie miałam pewności, czy zobaczę zachód słońca.

A jednak mimo wszystkich problemów, mimo że wiele razy ledwie udało mi się ująć cało, opowieść o moim życiu mówiłaby głównie o wędrowaniu, przedzieraniu się dzień po dniu przez lasy, bagna i plaże ciągnące się wzdłuż Atlantyku.

Wędrowałam na południe. Moja znajomość geografii mogłaby być lepsza, ale wiedziałam, że im dalej na południe, tym powinno się robić cieplej. Po pierwszej zimie moje zainteresowanie tym, jak zapewnić sobie ciepło, gwałtownie wzrosło.

Moja strategia polegała na zakładaniu obozowiska, kiedy liście zaczynały zmieniać kolor. Albo budowałam chatę z ziemi i gałęzi — dzięki za trening, Tweed! — albo szukałam jakiejś grupy tubylców i z nimi spędzałam zimę.

Nauczyłam się wielu rzeczy: jak zbudować prymitywną łódź, żeby przepłynąć rzekę, jak zrobić łuk i strzały i posługiwać się nimi, jak zakładać pułapki i tropić zwierzynę. Zdarzały się dni, kiedy pokonywałam nawet trzy kilometry, czasem znowu spędzałam całe tygodnie czy miesiące z jakimś przyjaznym plemieniem.

Mój wzrost bardzo mi we wszystkim pomagał. Z jego powodu ludzie, na których się natykałam, czuli przede mną zabobonny lęk. Nigdy nie spotkałam nikogo, kto sięgałby mi wyżej niż do ramienia.

Z początku było trudno, musiałam się nauczyć, jak z nimi postępować; któredy najlepiej wchodzić do wsi, jak ich przekonać, że jestem czymś w rodzaju wędrownej bogini. Mimo że posługiwali się setką różnych dialektów, wszystkie wywodziły się z angielskiego. Mogłam się z nimi porozumieć. Wyprzedzały mnie opowieści o Dianie, potężnej srebrzystej łowczyni o nogach konia. Całe wsie zbierały się, żeby mnie powitać i żeby zobaczyć moje przeistoczenie, kiedy na parę sekund włączałam skafander nullowy. Skwapliwie i z obawą dotykali metalowego kwiatka na mojej piersi. Stałam się księżniczką-rycerzem z legendy, Narzeczoną Frankensteina o ciele z metalu, cybernetyczną Dianą.

W ich oczach wyżej ode mnie stała tylko jedna istota — Delfin. Każda wioska miała swoje święte miejsce, gdzie stała drewniana statua morskiego ssaka z poziomą płetwą i otworem powietrznym.

Od paru tygodni posuwała się na północ. W trakcie swojej długiej wędrówki robiła już tak parę razy, ale zawsze po to, żeby cofnąć się wzdłuż rzeki do miejsca, w którym mogłaby ją przejść w bród. Potem znowu podejmowała podróż na południe.

Tym razem zanosilo się, że może być trudniej. Na zachodzie nie mogła dostrzec żadnego lądu, ocean miał dziwną barwę; bardziej zieloną niż błękitną. Grunt był podmokły, większą część drogi pokonała

w kanoe, odpychając się długą tyczką. Wielkie gady wygrzewały się leniwie w błocie albo wolno przepływały obok niej. Nie bała się ich.

Od dwóch lat nie widziała śniegu. Zimy były łagodne, o ile w ogóle można mówić o zimie na tej szerokości. Wędrowała przed siebie siłą przyzwyczajenia, niezdolna zdecydować, co zrobić z resztą życia. Najeźdźcy nie odezwali się więcej, nie dali żadnego znaku, żeby wyjaśnić, dlaczego się tu znalazła. Przerwać podróż oznaczałoby stać się częścią jakiegoś plemienia. Nie sądziła, że mogłaby to znieść, nawet jako bogini.

Starala się przekazać ludziom, których spotykała, tę część swojej wiedzy, która mogła im być przydatna. Nie potrafiła powiedzieć, czy stosowali się do jej rad, kiedy odchodziła. I, prawdę mówiąc, wcale nie była przekonana, czy wyświadcza im przysługę. Może ich metody radzenia sobie ze środowiskiem są dla nich najlepsze, chociaż jej nie odpowiadają. Żyli krótko, w bólu i cierpieniach. Jedynym dobrem, jakie posiadali, było poczucie wspólnoty, bezpieczeństwo płynące ze świadomości, że jest się otoczonym przez towarzyszy. Lila miała świadomość wyłączenia. Różniła się od nich i w każdym plemieniu pozostałaby kimś obcym.

Nie była już tą samą kobietą, co kiedyś. Jej skóra stała się brązowa i zniszczona, włosy pojaśniały od słońca i morskiej wody. Nie miała lusterka, ale wiedziała, że na czole, wokół oczu i ust pojawiły się niemiode zmarszczki. Dziesięć lat zmieniło ją z klona w standardowym wieku dekantacyjnym dziewiętnastu lat pozornych w kobietę czterdziestoletnią. Od prawej skroni do szczęki biegła biała, pomarszczona blizna; na lewym udzie widniała druga. Dłonie i podeszwy stóp miała zgrubiałe, a futerko na łydkach nie tak gładkie i delikatne, jak kiedyś.

Pod koniec czwartego tygodnia podróży na północ Lila doszła do wniosku, że dotarła do nasady długiego półwyspu w południowo-wschodniej części kontynentu. Tubylcy nazywali go Florda.

Tu przerwała wędrówkę. Nic nie stało na przeszkodzie, żeby ruszyć wzdłuż zatoki do Meksyku i dalej, do Ameryki Południowej. Ale

nie miała już sił. Zawróciła łódź i popchnęła z powrotem przez spokojne przesmyki wodne w stronę otwartego oceanu.

Kiedy woda zrobiła się znowu niebieska, wybrała miejsce niedaleko starożytnych ruin Miami i zbudowała chatę. Pierwszy raz zabrała się za uprawę skrawka gruntu, posiała nasiona otrzymane od tubylców, zaczęła eksperymentować z garncarstwem i hodowlą dzikich kur i królików.

Miejscowe plemiona szanowały jej prywatność z wyjątkiem pewnych świętych dni, kiedy proszono ją o udział w rytuałach religijnych. Ich cel był dla niej niejasny; wydawało się, że miały zapewnić szczęśliwe łowy. Chętnie modliła się za tubylców tak długo, jak długo zostawiali ją w spokoju przez pozostałą część roku.

Pracy nie brakowało, jeśli tylko chciała się czymś zająć. Kiedy potrzebowała odpoczynku, wypływała łodzią na ryby. Lubiła to; mogła wtedy siedzieć, wpatrywać się w wodę i nie myśleć o niczym. Nie czuła już goryczy na myśl o tym, co ją spotkało. Jeśli myślała o czymkolwiek, to o Makelu.

Odkąd umarł, trzymała się z dala od ludzi. Nic, w całym jej życiu, nie poruszyło jej tak głęboko, jak śmierć chłopca. Tak bezsensowna, tak poniżająca dla istoty ludzkiej. Od tamtej pory widziała wielu ludzi umierających i za każdym razem odczuwała to samo. „Nie po to zostaliśmy stworzeni. Ludzkość zasługuje na coś więcej”¹.

Lila nie przywykła do równie silnych, nielogicznych przekonań. Od lat zmagala się ze sobą, z jednej strony powtarzając sobie, że ludzie są takimi samymi zwierzętami, jak wszystkie inne i powinni umierać w taki sam sposób. Ale nigdy jej to nie przekonało. Logika nie wystarczała. Nie mogła objąć problemu. Lila czuła coraz wyraźniej, że ziemia, po której kroczy, powinna należeć do ludzi. Tak jak kiedyś. Być może ci, którzy żyli przed Inwazją, źle o nią dbali, ale przynajmniej próbowali, nawet wtedy. Teraz wszyscy ludzie, którzy ją zamieszkiwali, zostali zepchnięci do poziomu dzikusów. Patrzyła na to ze smutkiem.

Podróż na Ziemię zrobiła z niej Wolną Ziemiankę.

Pewnego dnia ogromny ciemny kształt wynurzył się z wody niecałe trzy metry od jej łódki. Rozległ się ogłuszający świst powietrza i tuż obok niej wytrysnęła fontanna pyłu wodnego.

Lila wstała, żeby mu się przyjrzeć". Miał co najmniej dwadzieścia metrów długości, tępo zakończony przód ciała. To był kaszalot.

Cisnęła w niego plecionym koszykiem z rybami, ale nie trafiła. Cielsko połyskiwało w słońcu nietknięte. Rzuciła wiosło, toporną miskę, w której trzymała przynęty, i wszystko, co tylko mogła znaleźć na dnie łodzi.

Lewiatan obrócił się wolno. Pojawiły się ogromne płetwy. Na chwilę zawisły w powietrzu, potem bezszelestnie zanurzyły się w wodę.

Lila drżała przez godzinę.

Następnego dnia nad horyzontem pojawiły się bezgłośnie żółte kształty. Stała na plaży, przyglądając się im, chociaż bolały ją od tego oczy. Znajdowały się na granicy widoczności, ale problem nie na tym polegał. Były kształtami; wieloma naraz; bez przerwy się zmieniały.

Widziała je już kiedyś, pod sobą, kiedy spadała poprzez jowiszową atmosferę, na chwilę zanim jej świadomość rozpadła się na kawałki i zanim znalazła się na plaży - i przekonała, że jest tam już od jakiegoś czasu, a równocześnie dalej spada. Usunęła to wspomnienie ze swojego umysłu; wróciło teraz: niewiarygodne, zatrzymane w kadrze przenikanie dwóch rzeczywistości.

Znowu nie mogła opanować dreszczy, ale tym razem był to wynik raczej gniewu niż strachu.

Ścięła odpowiednie drzewo i spędziła wiele dni siedząc na piasku, patrząc ponad morzem, obrabiając pień. Miał trzy metry długości, jeden koniec był nabijany skrawkami stali, które zebrała i mozolnie umocowała. Potem czekała.

Fontanny pojawiły się pewnego dnia wczesnym rankiem. Lila obserwowała je, głęboko wdychając morskie powietrze, aż poczuła

mrowienie w koniuszkach palców. Każdy nerw śpiewał w jej ciele, kiedy ściągała skórzany kaftan i przepaskę biodrową, i biegła po piasku w stronę łodzi. Nie bała się już śmierci. To był dobry dzień na umieranie, wieloryby czekały, żeby zakosztować jej harpuna.

Czy wiedziały, że tu jest, zdecydowana je zabić? Nie miała pojęcia, ani nie dbała o to. Wiosłowała z wysiłkiem w stronę gromady czarnych cielsk przewalających się w wodzie.

Nad jej głową przemknęli Najeźdźcy. Nie przyspieszali i nie zwalniali: po prostu byli w ruchu. Zanurzali się w wodę i wynurzali z niej bezgłośnie, nie napotykając oporu. Lila wstała i pogroziła im harpunem, potem się pohamowała. Nawet opanowana żądzą mordy, oszalała z gniewu za to, co zrobili z ludzkością, zdawała sobie sprawę z własnych możliwości. Zemści się za los swoich ziomków a potem umrze, kiedy nie pozostanie już nic do zrobienia. Nie ma sensu włączyć się bez końca wzdłuż pustej plaży ani siedzieć beczynnym na progu glinianej chaty.

Był w wodzie tuż obok niej, szeroki cętkowany czarny kształt. Sięgnęła do metalowego kwiatka na obojczyku i przemieniła w istotę z jasnoblękitnego blasku, gorącą jak słońce odbijające się od jej twarzy.

Usłyszała krzyk. Uniosła ramię, zamachnęła się i zadała cios. Drzewce zadrżało jej w ręce, zagłębiając się w ogromnym cielsku kaszalota.

Srebrna Łowczyni, Diana, stała krzycząc na grzbiecie wieloryba. Trzymała się harpuna obiema rękami, kiedy ogon potwora podniósł się i strzaskał jej łódź.

Wieloryb zanurkował.

Rozdział dwudziesty czwarty

Film dobiegł końca. Przez chwilę taśma obracała się hałaśliwie wokół rolki, póki jeden z mężczyzn nie sięgnął, żeby wyłączyć projektor. Zapaliły się światła; Lila, Javelin, Vaffa i Cathay znaleźli się wobec ośmiu twarzy wpatrzonych w nich wyczekująco. Atmosfera na sali była napięta, Kupcy na coś czekali.

Z jakiegoś powodu Lila była przekonana, że za moment zaczną tańczyć i śpiewać. Sytuacja wydawała się nierzeczywista, jak z komedii muzycznej, gdzie bohaterowie przerywają w pół zdania, bo czas na kuplecik. Oszaleję, jeśli to zrobią, pomyślała Lila.

- Taak - powiedział William. - Tak. Co o tym myślicie?

Lila przeniosła wzrok z Williama na Alicję, potem na Thomasa, potem na... mniejsza, jak miała na imię.

- Efektowne - zaryzykował Cathay.

- Solidne. Rzeczowe - odezwał się jeden z Kupców.

Javelin odchrząknęła.

- Mhm... tak. Kawał dobrej roboty. Ale czy naprawdę jesteśmy tutaj, żeby dyskutować o zdolnościach artystycznych waszych speców od propagandy?

- Bardzo nam zależy na waszej opinii - powiedział William.

Jego głos ociekał szczerością. - Oczywiście zdajemy sobie sprawę, że nie jest w waszej mocy przyjąć czy odrzucić to, co wam oferujemy. Nie jesteście ambasadorami swojego gatunku.

- Co macie zamiar zrobić z tym filmem? Rozumiem, że nie produkowaliście go jedynie z myślą o nas.

- Nadamy go. Nie przez Gorącą Linie; tym razem pošlemy go bezpośrednio na każdą zamieszkaną planetę w waszym Układzie. Zwykle pracujemy w ten sposób. Pewnie zdaliście sobie sprawę, że nigdy dotychczas nie wykorzystywaliśmy pełnej mocy naszego nadajnika. Nasz laser nie jest dość duży, żeby przesyłać sygnał na odległość siedemnastu lat świetlnych, ale jesteśmy w stanie nadawać z o wiele większą mocą, niż słyszeliście. Celowo wprowadzaliśmy zakłócenia. Dzięki temu brzmiał tak, jakby rzeczywiście pochodził z 70 gwiazdy Wężownika. Chcieliśmy was przekonać, że znajdujemy się bardzo daleko.

Kiedy już wiemy, że odkrycie nas jest jedynie kwestią czasu, wysyłamy pierwszą wiadomość. Taką, jaką otrzymaliście. Zwykle ktoś się wtedy zjawia. Jeśli nie, znaczy to, że zmarnowaliśmy czas. Wy zareagowaliście bardzo dobrze.

Javelin poruszyła się na krześle, z grymasem niezadowolenia na twarzy.

- Tak, ale co my mamy z tym zrobić?

- Słucham?

William spojrział na nią z góry.

- Mówię, że chcecie coś w zamian za informacje, które nam wysyłaliście. W porządku, to rozumiacie. Ale twierdzicie, że chodzi wam o naszą kulturę. Obawiam się, że nie rozumiem, w jaki sposób macie zamiar ją sobie wziąć.

- Sądziłem, że zostało to wyjaśnione w filmie.

-Ja nic nie rozumiałem - wtrącił Cathay. -I nie wiem, co czeka nas wszystkich, jeśli nie zechcemy z wami współpracować. William zasnuwał usta.

- Chyba trzeba będzie wprowadzić pewne poprawki do ostat-

niej części, zanim ją wyemitujemy. Widzicie, jak ważne są wasze uwagi? Musicie porozmawiać z naszym ministrem do spraw asymilacji. Alicjo?

Jeśli William wydawał się nadęty i nieco fałszywy z powodu swoich manier, to Alicja była niewiele więcej niż manekinem. Lila bez trudu mogła sobie wyobrazić sznurki przywiązane do jej rąk i nóg. Zaczęła się zastanawiać, kim właściwie są Kupcy. Wkrótce zostało jej to wyjaśnione.

- Mam nadzieję, że zrozumieliście z filmu - zaczęła Alicja - że to, co przed sobą widzicie, nie jest wytworem naszej kultury ani genów. Ta sala i nasze ciała zostały stworzone na użytek dzisiejszego spotkania. Obserwujemy was od prawie ośmiuset lat, słuchamy waszych audycji radiowych i telewizyjnych. Jesteśmy tu od bardzo dawna; pierwszy raz odwiedziliśmy Ziemię dwadzieścia tysięcy lat temu. Od tamtej pory czekaliśmy na was. Uczyliśmy się, jak być ludźmi.

Rozłożyła ręce.

- Choć nie sposób tego zrobić na odległość, nasza stacja jest laboratorium zbudowanym w celu przyswojenia kultur ludzkich. Pod nami znajduje się dwieście komórek środowiskowych, w których odtworzono warunki panujące w różnych społecznościach ludzkich, współczesnych i przeszłych. Jesteśmy również gotowi do przeprowadzania krzyżówek; łączenia kultur, które znajdują się w naszym posiadaniu z tym, czego dowiedzieliśmy się o waszej kulturze. Jak sami widzicie, na razie mamy jedynie ogólne pojęcie o najbardziej podstawowym wyglądzie zewnętrznym i cechach psychicznych człowieka.

- Aha, rozumiem - powiedziała Lila. - W każdym razie tak mi się zdaje. Nie macie własnej kultury, straciliście ją albo została wchłonięta przez inne tak dokładnie, że nie da się jej już oddzielić.

- Mniej więcej - odparła Alicja. - Ale to nie był przypadek. Zauważyliśmy na przykładzie innych gatunków żyjących wokół nas, że kiedy są zmuszone prowadzić wędrowny tryb życia przez miliony lat, ich żywotność spada. Iskra życia, którą posiada każdy gatunek (a każdy ma

własną, niepodobną do innych) gaśnie i wtedy giną. Zdarzało się to wiele razy. Dlatego podjęliśmy świadomy wysiłek, żeby się przygotować na każdą ewentualność. O przetrwaniu decydują jednostki. Ja sama, jako świadomość kolektywna, mam ponad dwa miliony lat. Obawiam się, że nie ma sensu próbować wam wytłumaczyć, co to znaczy.

- Tak, było o tym w filmie - niecierpliwie przerwała Javelin. -Cały czas nie powiedziałaś jednak, co macie zamiar zrobić. Z nami, z ludzkością.

- To proste. Chcemy przez jakiś czas mieszkać wśród was. Jedyny sposób, żeby nauczyć się kultury, to poznać ją od wewnątrz. Istnieją pewne techniki, bardzo podobne do nagrania pamięci, które sami wynaleźliście i które pomogliśmy wam ulepszyć, służące do nałożenia zawartości jednego umysłu na inny. Chcemy przez parę lat swobodnie przemierzać wasze umysły. Dzięki temu staniemy się równie ludzcy jak wy, nie będziemy już niedoskonałymi kopiami, jakie widzicie przed sobą.

- Sądzicie, że nasza propozycja zostanie zaakceptowana? - spytał William.

- Chodzi ci o to, czy uważam, że ludzie to kupią? - spytała Javelin. Westchnęła. - Znam bardziej chodliwe towary. Jak to będzie wyglądać w praktyce? Jak para?

- Ależ nie, nic równie drastycznego. Będziemy niewidzialnymi obserwatorami. Po paru latach zostawimy was własnym sprawom. Nie macie jednak wiele czasu. Najeźdźcy nie dadzą wam więcej niż sto lat, potem wytępią na wszystkich waszych Ośmiu Światach.

- A jak wielu... jak wielu „gospodarzy” będziecie potrzebować?

- Parę tysięcy. Żeby uzyskać próbę reprezentatywną. Potem będziemy się mogli uczyć bycia ludźmi od siebie nawzajem.

Przerwał.

- Wiemy, że to niezwykła prośba. Ale, prawdę mówiąc, jest to jedyna rzecz, którą wasz gatunek może nam zaoferować. Tylko z tego powodu zadaliśmy sobie trud, żeby wysłać wam wiadomości, których od-

krycie i zgromadzenie zajęło nam ponad siedem milionów lat. Nie potrzebujemy waszego złota ani srebra, waszych papierowych pieniędzy ani innych rzeczy, które uważacie za swoje bogactwo. Znamy całą waszą technikę. Nie potrzebujemy was ani jako niewolników, ani źródła pożywienia, ani kolejnego kraju w naszym imperium. Ale nie zajmujemy się też międzygwiazdną filantropią. W gruncie rzeczy jesteśmy najeźdźcami. Przezywacie drugą inwazję, tyle tylko, że się na nią zgodziliście.

- Co przez to rozumiesz?

To była Vaffa, zawsze czujna w obliczu niebezpieczeństwa.

- Inwazja długodystansowa. Teraz przechodzimy do sedna sprawy: kar za nieuiszczenie opłaty, o których wspominaliśmy w pierwszej wiadomości. Słyszeliście o koniu trojańskim?

Lila spojrzała po przyjaciółach. Tylko Javelin skinęła głową.

-Jeśli nie mieliście zamiaru dać czegoś w zamian za otrzymane dobra, powinniście byli mniej chętnie z nich korzystać. Nie zauważyliśmy, żebyście mieli jakieś opory. Zwykle tak bywa. Zdaje się, że to cecha wszystkich gatunków, by przyjmować to, co wydaje się bezpłatne.

Pary nigdy nie stały się bardzo liczne, ale zamieszkują w Pierścieniach już od bardzo dawna i szybko się rozmnażają. Obecnie w Pierścieniach Saturna znajduje się ponad sto dziewięćdziesiąt milionów par. Każdy z nich to mała bomba. Wystarczy przesłać odpowiedni sygnał, a każda para stanie się jedną istotą, która będzie należeć do nas, nie do was. I każda będzie gotowa wykonywać zadania, do których została zaprogramowana wiele lat temu. Mogą podróżować z planety na planetę w stanie hibernacji, a kiedy dotrą do światów zamieszkałych przez ludzi... no cóż, pozostawiam to waszej wyobraźni.

Oparł się wygodnie, pozostali poszli za jego przykładem.

Lila nie miała trudności z wyobrazeniem sobie tego.

Wszędzie, z wyjątkiem Marsa i Wenus, ludzie żyli pod powierzchnią. Te dwie planety prawdopodobnie byłyby bezpieczne, jako że miały atmosferę, ale wszędzie indziej pary mogły siać zniszczenie wśród naziemnych urządzeń podtrzymujących życie w głębi.

Choć łatwo było o tym zapomnieć, żyjąc na co dzień w bezpiecznym mrowisku pod powierzchnią, środowisko na zewnątrz było w stanie ciągłej wojny z istotami oddychającymi powietrzem. Jedyną korzyść polegała na tym, że choć nie było ono przyjazne, nie starało się jednak aktywnie zniszczyć ludzi. Przy zastosowaniu odpowiednich środków zaradczych można je było trzymać na dystans.

Ale z milionami sabotażystów, żołnierzy doskonale przystosowanych do warunków panujących na zewnątrz...

Zrobiło się jej słabo, kiedy przypomniała sobie Parameter. Wiedziała trochę o złożoności symba, dzięki której był w stanie przeżyć w przestrzeni. Solstice mogła zmieniać swoje ciało, żeby sprostać wymaganiom dowolnej sytuacji. Nietrudno było uwierzyć, że może rozpuścić cienką przegrodę między własnym ciałem i ciałem Parameter, łącząc je obie w jeden doskonale przystosowany organizm. Ale co w takim razie zostałyby z Parameter jako istoty ludzkiej? Parameter opowiadała Liii, że chociaż obie połowy pary współżyły ze sobą bardzo blisko, tak że można je było traktować jak jeden organizm, zawsze jakaś część każdej z nich zachowywała własną tożsamość. Gdyby Kupcy wprowadzili w życie swoją groźbę, skończyłoby się to. Istniałaby tylko Solstice, a Lila nigdy nie potrafiła jej całkowicie zaufać.

Czyjej nieufność była uzasadniona? Kupcy właściwie tego nie potwierdzili. Czy Solstice była kukielką w rękach Kupców w takim samym stopniu jak Parameter ich bezwolnym potencjalnym sojusznikiem?

Lila już miała o to zapytać, ale przerwał jej głośny hałas. Coś w rodzaju syreny. Kupcy spojrzeli w górę z konsternacją. Czy raczej postarali się sprawiać wrażenie zaniepokojonych, chociaż Lilę przeszedł dreszcz, kiedy sobie uświadomiła, jak obco wyglądają, mimo że tak bardzo przypominają istoty ludzkie.

- Chwileczkę - powiedział William. - Chwileczkę. Zdaje się, że mamy jakieś problemy. Ja...

Przerwał i nagle zupełnie przestał być podobny do człowieka. Zamknął oczy, rozluźnił wszystkie mięśnie. Javelin zerwała się na

nogi, zerkając niespokojnie na ściany wokół. Vaffa kopnięciem odsunęła krzesło i cofnęła się od stołu. Lila uświadomiła sobie, że również się podniosła.

Kiedy William znowu się odezwał, jego głos się zmienił: - Wykryliśmy działania Najeźdźców - powiedział. Potem jego słowa zmieniły się w bełkot, niezrozumiały dla Liii, który bardzo zaniepokoił Kupców. Grupa poruszyła się niepewnie.

Rozdział dwudziesty piąty

Lila-Diana zawisała uczepona na harpunie, kiedy wieloryb skierował się w stronę otwartego oceanu. Zanurkował aż do dna, potem wyrównał, szybko płynął dalej.

Poziom adrenaliny stopniowo zaczął opadać, Lila poczuła gorycz. Nie zabiła potwora i nie zanośliło się, że się jej uda. Nawet nie była pewna, czy go zraniła.

W końcu puściła harpun i wieloryb zniknął przed nią w błękitnych wodach. Płynęła, nie opadając ani nie wznosząc się.

Co teraz? Jej ręka dotknęła zaworu wpustowego na piersi. Mogłaby wyłączyć skafander i utonąć w ciągu paru minut. Albo wypłynąć na powierzchnię i wrócić do brzegu. Ze sztucznym płucem dostarczającym jej powietrza pewnie zdołałaby to zrobić, ale czy tego chciała?

Jakiś kształt unosił się nad nią.

Sama nie wiedząc dlaczego, popłynęła w górę na jego spotkanie.

Rósł w oczach - *(pode mną teraz, ciągle opadał)* - nie próbując przed nią uciekać. Ranił jej oczy. Żółty? Nie, wiele kolorów - *(głębszy odcień żółci niż kłębiące się chmury, które pojawiły się wokół mnie, pode mną, kolejna istota podobna do tamtej, na którą*

wpadłam wiele lat temu) - wszystkie kolory i wszystkie kształty zawarte w jednym.

Zrobiło się jej niedobrze; spadała.

Nie wiem, jak długo opadałam; podejrzewam, że pytanie nie ma sensu. Spadałam przez czas i przestrzeń, przez swoje własne życie

Nie byłam już w stanie stwierdzić, kim ani gdzie jestem. Wszystkie chwile mojego życia trwały równocześnie

stoję na skalistej równinie w jasnym świetle i wiem, że jestem w świecie, który kiedyś nazywał się Posejdon, ale teraz znajduje się dwa lata świetlne od Słońca

placzę bezradnie, z rozpaczą, której głębi nie dorówna nic w moim życiu, trzymając na kolanach głowę martwego mężczyzny.

spadam przez atmosferę Jowisza

stoję naprzeciw mężczyzny imieniem Vaffa, widzę jak jego broń podnosi się w zwolnionym tempie, słyszę huk wystrzału

ściskam w dłoni nóż, myśląc o samobójstwie

patrzę na ryby w wirującym kolistym akwariium

biegnę ze śmiechem wśród drzew w blasku błękitnego słońca

rozmawiam z mężczyzną imieniem Quince w publicznych łaźniach na Plutonie

siedzę w sali konferencyjnej na osi kola o średnicy siedemdziesięciu kilometrów, oglądając pokaz filmu przygotowany przez obcych

czuję, jak penis wnika w moje ciało, światła błyskają na ścianach pokoju

stoję naprzeciw Vaffy podnoszącego broń, żeby mnie zabić

budzę się do życia w zbiorniku wypełnionym złocistym płynem

trzymam matkę za rękę; idziemy za transporterem, przewożącym nasz dobytek do notuego domu; mam pięć lat

siedzę w zielonym poblasku bijącym od komputera, przeglądam interesujące tłumaczenie tekstu z Gorącej Linii

łączę się z ogromnym statkiem kolonistów na orbicie 82 Erydana. Planeta okazała się zamieszкана i musimy ruszać dalej w Ameryce przechodzę w bród strumień, biała woda pieni się wokół moich kolan

*rodzę Alicję, moje drugie dziecko
trzymam za rękę Alicję, kiedy rodzi mojego wnuka
patrzę w twarz Vaffy
umieram. Umieram znowu. I znowu*

Drżałam bezradnie. Wszystkie chwile były teraz. Wszystkie zniknęły, zostawiając po sobie niewyraźne obrazy i niemal żadnych wspomnień. To, co pamiętałam, równie często pochodziło z mojej przeszłości jak i przyszłości.

Znowu wróciło wywołujące zawrót głowy wrażenie, że zamieszkuję w swojej przeszłości, teraźniejszości i przyszłości równocześnie. Znowu zadrzałam, tym razem rozciągnięta wzdłuż tej długiej różowej gąsienicy o milionie nóg, która była moim życiem, od urodzenia do śmierci, wielu śmierci. Byłam, jedną całością, jednym punktem widzenia, jednym „teraz”. Wędrowałam wzdłuż swojej egzystencji, w tę i z powrotem, w przyszłość i w przeszłość.

Wróciłam do siebie, zdezorientowana, zagubiona. Pokazano mi coś, czego mój umysł nie był w stanie objąć, czułam, że wspomnienia o tym zaczynają blednąć. Istniałam na zbyt wiele sposobów w tej samej chwili, żebyem potrafiła to zrozumieć. Moje oczy nie widziały albo dostarczały mi obrazy, których mój mózg nie potrafił przyswoić.

Nie wiem, jak długo odpoczywałam w tym cichym, ciemnym miejscu, w którym się znalazłam. Czas nie istniał, ale wszystkie moje siostry były tuż obok. Zrobiło się odrobinę jaśniej. Coś wpły-

nęło do mojej oderwanej od ciała świadomości, dziwna rzecz, którą postrzegalam, nie widząc jej właściwie. Choć dziwny, kształt wydał mi się bardziej znajomy niż to, co mnie otaczało. Nagle wiedziałam, że to coś cennego. Coś, co muszę zdobyć (czy ktoś mi to powiedział?). Należało do nich, Najeźdźców, i musiałam to mieć.

Sięgnęłam...

Pamiętała, jak Cathay pochylał się nad nią, potrząsając za ramiona. Jej głowa bezwładnie kiwała się na boki. Skupiła wzrok.

- ...w porządku? Co się stało?

- Zrobili ci coś?

Był to głos Vaffy i Lila uśmiechnęła się, kiedy zobaczyła na jej twarzy szczerze zaniepokojenie. Vaffo, Vaffo, jest jeszcze dla ciebie nadzieja.

- Kto to jest?

-To ja - odpowiedziała Lila, siadając. Pytanie zadała Javelin; Lila wiedziała, o kogo jej chodzi. Widziała ten moment w wirze, który ją ogarnął, kiedy rozległy się syreny. Spojrzała na nową osobę obecną w pokoju - wysoką opaloną kobietę ociekającą wodą - skinęły sobie głowami. Nie potrzebowały słów, żeby się zrozumieć. Obie były tu już wcześniej.

Trzymała coś w ręce, srebrzystą kostkę o boku długości pięciu centymetrów.

- Kim jesteś? - spytała Vaffa.

Kobieta przyjrzała się jej ciekawie.

- Chyba możesz mnie nazywać Dianą, żeby się nie myliło. Wszyscy mnie tak nazywają.

Imię wywołało nową kaskadę wspomnień w umyśle Lili. Próbowала je zatrzymać, ale rozwiewały się jak sen. Długa wędrówka, niewiarygodna wędrówka, dziesięć lat... trudności, które spotykała i z którymi sobie radziła... wysokie drzewa, ogromne drzewa sięgające sufitu...

nie, to z jej własnego życia. Jeszcze raz spróbowała sobie przypomnieć. Tam była jeszcze jedna Lila, na uciekającym księżycu. Została popchnięta naprzód w czasie do chwili swojej śmierci, a potem w tył, gdzie zobaczyła ich wiele więcej... czy tak? Nie była już pewna. Ale nadal coś kierowało jej krokami, wiedza o tym, jak wszystko będzie wyglądać w przyszłości i jak wyglądało, kiedy to widziała.

- Chodźmy stąd - powiedziała.

- Co? -Javelin nie wierzyła własnym uszom. -Jest mnóstwo rzeczy, które chciałam...

- Nie. Nie ma sensu. Tylko jedno pytanie - zwróciła się do Williama. - Co to jest ta rzecz, którą trzymam... którą ona trzyma w ręce?

William wyglądał na zmartwionego.

- To jest osobliwość - powiedział. - Wszystko stało się szybciej, niż się spodziewaliśmy.

- A co to jest osobliwość?

Wzruszył ramionami.

- Przykro mi, ale nie wiemy. Gdybyśmy wiedzieli, dorównalibyśmy Najeżdźcom. Nazywamy to tak, bo łamie podstawowe prawa wszechświata. Podejrzewamy, że być może nie istnieje w naszym wszechświecie, przynajmniej nie w zwykłym sensie. To, co widzicie, to pole nullowe, które pokrywa sam przedmiot. Nigdy nie zobaczycie nic więcej.

- A co to robi?

Lila czuła oszołomienie. Znała odpowiedzi na pytania, które zadawała.

- Jak się wydaje, pochłania inercję ciał. Nie pytaj, w jaki sposób. Badamy je od milionów lat i nie potrafimy powiedzieć, na jakich zasadach działają. Sądzimy, że przekształcają inercję w jakąś inną własność materii i przenoszą ją w teoretyczną hiperprzestrzeń albo w piąty wymiar.

- Czyli, mówiąc po ludzku, twierdzisz, że to napęd do statków kosmicznych - wtrąciła Javelin.

- Podstawa napędu. Kiedy nauczycie się tego używać, a nastąpi

to bardzo szybko, będziecie mogli rozwijać ogromne prędkości przy małym zużyciu paliwa. Gwiazdy znajdują się w zasięgu ręki.

- Ukradłam to - oznajmiła Diana z dumą.

- Taak? - William popatrzył na nią. Wydawał się zbity z tropu. - Naprawdę? Mówisz, że go ukradłaś? Wspaniale. Zdaje się, że udało ci się oszukać Najeźdźców.

Diana wydawała się bardzo zadowolona z siebie, potem straciła pewność. Liii zrobiło się jej żal. Sama wiedziała już mniej więcej, co się stało.

- Nie ukradłam go, prawda? - spytała Diana.

- Nie. To część planu, którego punktem kulminacyjnym będzie eksterminacja niedobitków waszego gatunku, zamieszkujących planety Układu Słonecznego, oprócz waszej macierzystej Ziemi. Osobliwość rozmnoży się. Niewykluczone, że jest żywą istotą. Nie będę udawał, że wiemy o niej wiele, ale używamy ich, podobnie jak wszyscy.

- Ale dlaczego nam ją dali?

- Nie znam ich motywów. Wydaje się, że nie chcą unicestwienia całych gatunków. Nie chcieli zabić nikogo na Ziemi, nie bezpośrednio. Ani nie ścigali tych, co przeżyli na Lunie. Pozwalali wam żyć, póki nie zaczęliście im sprawiać kłopotów. Teraz dają wam kolejną szansę, żebyście się mogli przenieść do innych układów. Myślę, że nie obchodzi ich, czy z niej skorzystacie, ale zawsze oferują taką możliwość.

- Więc zależy im na ludziach.

William zmarszczył brwi.

- Kto może wiedzieć, na czym im zależy? Nie wydawali się szczególnie zaniepokojeni problemami mojego gatunku. Ta osobliwość tobie i mnie może się wydawać cudowna. Dla nich stoi prawdopodobnie na tym samym poziomie technologicznym, co pięściak z epoki kamienia łupanego.

Cathay nadal przenosił wzrok z jednej Liii na drugą.

- Czy ktoś mi wytłumaczy, co tu się dzieje, do cholery? - zapytał. - Kim ona jest i skąd się wzięła?

- Nie poznajesz mnie? - odezwała się Diana. - Czyżbym się aż tak zmieniła? Ostatnim razem, kiedy mnie widziałeś, spadałam na Jowisza.

- Ale gdzie byłaś... to znaczy, jak...

- Przysłali ją Najeźdźcy - wyjaśnił William. - Po prostu złożyli jej życie w pół. Na podstawie wstępnych analiz sądzimy, że została przeniesiona kilkanaście tysięcy lat w przyszłość, spędziła dziesięć lat na Ziemi, po czym wróciła tutaj. Dla nich to równie łatwe, jak dla was połączenie dwóch punktów linią prostą.

Lila zaczęła się niecierpliwic.

- Możemy już iść? Mogę odpowiedzieć na większość waszych pytań, jak już będziemy na statku.

- Tak, tak - potwierdził William. - Idźcie, skoro się wam spieszy. Oczywiście, będziemy musieli zmienić plany. Oczekiwaliśmy czegoś podobnego, ale nie tak szybko. I nie na własnym podwórku. Bardzo niepokojące. Pomyślcie o tym, o czym wam mówiłem. Wszystko pozostaje w mocy, ale macie mniej czasu, niż sądziliśmy.

- Nawet nie zobaczyliśmy tego ich pierścienia od środka - burczał Cathay. - Tylko te sztuczne konstrukcje.

- Scenografię - poddała Vaffa.

- Właśnie. Coś, co poskładali na łapu capu, żebyśmy się czuli jak w domu.

Javelin patrzyła na pierścień przez szklaną kopułę „Cavorite”.

- Myślę, że nie chcieli, byśmy obejrzelni wnętrze.

Vaffa podniosła wzrok. Od czasu kiedy wrócili na statek jakąś godzinę wcześniej, siedziała pogrążona w ponurych rozmyśleniach. Słuchała w milczeniu, kiedy Diana opowiadała swoją historię, i potem, kiedy Lila starała się przekazać im to, czego się dowiedziała i w jaki sposób się to stało. W połowie opowieści Lila zdała sobie sprawę, że nic do nich nie dociera. Javelin i Cathay spoglądali z jawnym sceptycyzmem, chociaż było oczywiste, że żadne z nich nie jest w stanie podać lepszego wytłumaczenia zdarzeń, w których uczestniczyli. Javelin - z całą dyplomacją, na jaką ją było stać - wysunęła

teorię, że Diana została nasłana przez Kupców z im tylko wiadomych względów.

Lila i Diana nie próbowały się bronić i wkrótce teoria umarła śmiercią naturalną. Nikt nie potrafił wymyślić, z jakiego powodu Kupcy mieliby szpiegować ludzi w tak bezpośredni sposób. Pytanie, które nie przestawało ich gnębić, brzmiało: dlaczego Kupcy musieli prosić ludzi o ich kulturę. Czy nie mieli dosyć siły, żeby ją sobie wziąć?

Uznali wreszcie, że powinni czekać i patrzeć. Nie wiedzieli nic o procesie, którego Kupcy mieli zamiar użyć do uzyskania ludzkiej kultury. Nie-wiele wiedzieli o możliwościach Kupców w jakiegokolwiek dziedzinie.

- Co teraz zrobimy? - spytała Vaffa. - Przyznaję, że nigdy nie byłam w równie trudnej sytuacji.

- O co ci chodzi? - zdziwiła się Javelin. - Z czym mamy coś zrobić?

- No... ze wszystkim! Z tym, co nam powiedzieli. Wierzycie im?

Javelin spojrzała bezradnie na Lilę i Dianę, szczerze zdumiona.

- Co ją tak zmartwiło? Wiecie, o czym ona mówi?

-Ach... pewnie się martwi... no wiesz, tymi wszystkimi kłopotami, które nas mają spotkać.

- Kłopotami? - pisnęła Vaffa. Jej głos brzmiał niebezpiecznie wysoko. - Kłopotami? Nazywacie koniec Ośmiu Światów „kłopotem”? To się ma stać, prawda? Dobrze słyszałam?

- Tak - potwierdziła Lila. - Tak właśnie mówili.

-Więc... - Vaffa zamarła na moment, z otwartymi ustami, z dłońmi złożonymi w geście rozpaczliwej prośby, zanim opuściła je na kolana. - Czy tylko mnie to obchodzi?

Rozejrzała się dookoła, ostatecznie zatrzymując wzrok na Javelin.

- Dlaczego ja? - zaprotestowała Javelin, czując się nieco nieswojo. - Pewnie, nie podoba mi się, że tyle ludzi ma zginąć. Ale przecież będą mieli szansę uciec, tak mówili Kupcy. Muszą nam tylko uwierzyć. A jeśli chodzi o Osiem Światów... - wydała obraźliwy dźwięk - co mnie to obchodzi? Nie jestem obywatelem.

Vaffa przeniosła spojrzenie na Cathaya. Wzruszył ramionami.

- Powiedziałaś „zrób coś”, tak? W porządku, lecę prosto do domu i naostrzę miecz. A potem ty i ja, bo chyba mogę na ciebie liczyć, ramię w ramię ruszymy na Najeźdźców.

- Och, zamknij się - odparła Vaffa. Popatrzyła na Lilę, a za nią wszyscy pozostali.

- To się naprawdę stanie - powiedziała cicho Lila; Diana kiwała głową na znak potwierdzenia. - Przykro to powiedzieć... ale mnie to też nie obchodzi. Nie lubię rządu ani trochę bardziej niż Javelin czy Cathay. Czy ty, Vaffa. Ty byś chciała ich wszystkich pogonić i przywrócić szefa na stanowisko. Ale to nie pomoże. Myślę, że nam nie wierzycie, ale my naprawdę widziałyśmy przyszłość, w każdym razie do naszej śmierci. Wielu ludzi zginie. Najeźdźcy wymordują wszystkich, którzy zostaną w Układzie Słonecznym.

- I nie martwi cię to? - spytała Vaffa.

-Ja... - Lila wydawała się zakłopotana. Ale odpowiedź mogła być tylko jedna. - Nie. To tak jakby... jakby wszystko się już stało. Ja to już widziałam. Możemy wrócić i dodać własną opowieść do tego, co Kupcy już zaczęli nadawać. Możemy zrobić nie wiadomo co, by przekonać ludzi, że powinni uciekać. Ale i tak wielu nie posłucha. A my nic więcej nie możemy zrobić. To nieuniknione.

Ale Vaffa nie mogła się z tym pogodzić. Lila popatrzyła na nią, zamknęła oczy i próbowała ją sobie przypomnieć. Nadchodziła zmiana, była tego pewna. Vaffa przekroczy własne ograniczenia -zdaje się, że jest dzieckiem Tweeda. Lila przypominała sobie niejasno, że Vaffa w końcu jej o tym powiedziała. Nie była już taka pewna, co się stanie w przyszłości. Zostały fragmenty, kawałki nie pasujące jeden do drugiego. Wiedziała, że Vaffa właśnie się zastanawia, czy dobrze wykonała zadanie dla szefa. Ale w tym samym momencie do jej umysłu zaczynają się wkradać wątpliwości. Opowieść Diany poruszyła ją bardziej niż pozostałych. Pierwszy raz zobaczyła w Najeźdźcach żywe istoty, nie papierowe postacie wrogów.

Ale na razie była jeszcze lojalna wobec szefa. Nie miało sensu jej przekonywać, że została zmuszona uciekać z Luny z powodu tego, co zrobiła druga Lila i drugi Cathay.

Rozmowa trwała dalej, ale Lila nie brała w niej udziału. Obserwowała kłona, swoje drugie ja, a klon obserwował ją.

- Pamiętam Makela - powiedziała Lila cicho.

-A ja pamiętam Javelin, kiedy była dużo chudsza. - Diana uśmiechnęła się, Lila odpowiedziała uśmiechem. - I pamiętam zderzenie Posejdona z „Pomstą”, i jak mnie Vaffa zabiła.

- Chodźmy do mojej kabiny - zaproponowała Lila.

Usiadły na kojach, twarzą w twarz, i przez długą chwilę nie odzywały się do siebie. Głosy dobiegające z solarium przypominały brzęczenie muchy. Pozostali omawiali wydarzenia ostatnich paru godzin. Lila czuła się wyższa ponad takie sprawy. Nadal pamiętała fragmenty swojego niezziemskiego doświadczenia, spojrzenia w przeszłość, teraźniejszość i przyszłość. Wiedziała, że ma przed sobą długie życie, ale szczegóły były niewyraźne i wyblakłe.

- Wszystko ucieka, prawda? - powiedziała Diana.

- Tak. Pamiętam tylko najważniejsze fakty... z twojego życia i innych... Wszystko się miesza. Trudno o tym mówić.

Diana uśmiechnęła się.

- Nie pamiętam zbyt wiele z przyszłości.

- Tylko wrażenie, jakby trwała już od jakiegoś czasu. Dla nas obu.

- Właśnie.

Umilkły znowu. Lila miała wrażenie, że coś nie zostało dopowiedziane, ale wiedziała, że zostanie. Popatrzyła na srebrzysty sześcian, który Diana trzymała w dłoni. Wyglądał zupełnie zwyczajnie.

- Mogę to zobaczyć?

Diana spojrzała na niego, jakby zapomniała, że ma go w ręce. Rzuciła go Lili.

Kostka przeleciała jakiś metr, zwalniając coraz bardziej, i zatrzymała w połowie drogi między nimi. Lila nie potrafiła sobie wyobra-

zić żadnej siły, która mogłaby to spowodować. W stanie nieważkości kostka powinna lecieć po linii prostej, póki by w coś nie uderzyła. Niemniej zawisła nieruchomo.

Lila sięgnęła i wzięła ją do ręki. Kostka opierała się lekko, jakby wolała pozostać w bezruchu, chociaż niezbyt zdecydowanie.

- Co ona wyprawia? - zapytała Lila.

- Może nie powinnyśmy się tym bawić.

Lila trzymała ją blisko twarzy, uważnie się jej przyglądając. Wydawało się jej, że widzi z jednej strony nieznaczne przebarwienie i lekko podrapała je paznokciem.

- Nie bawię się, chciałam tylko...

Trudno było nadażyć wzrokiem za tym, co się stało. Nie dlatego, że ścianki rozsuwały się czy otwierały w jakiś sposób. Większe sześciany wyrastały z mniejszych, aż powstało coś, co przypominało osiem kostek ułożonych w chwiejną piramidę, a co okazało się jedną hiperkostką. Lila cofnęła ręce przestraszona; przedmiot unosił się w powietrzu.

- Oj... co mam z tym teraz zrobić?

Diana obchodziła go wokół, wyciągając szyję, żeby mu się dokładnie przyjrzeć, nie dotknęła go jednak.

- Myślisz, że udałoby się to złożyć z powrotem?

Lila sięgnęła ręką. Układ okazał się niestabilny. Osobliwość poruszała się tak samo jak przed chwilą, ledwie jej Lila dotknęła, i znowu stała zwykłą kostką, ale o boku dziesięciu centymetrów. Miała teraz osiem razy większą objętość.

- Chyba widziałam, jak to się robi - powiedziała Diana.

Ujęła sześcian, ale zanim zdążyła cokolwiek zrobić, znowu zaczął się składać, tym razem do wewnątrz. Kiedy już było po wszystkim, w powietrzu wisiały dwie pięciocentymetrowe kostki.

- Chyba powinnyśmy to zostawić matematykom - stwierdziła Diana, układając je ostrożnie obok siebie na koi.

- Gdybyśmy się nauczyli ich używać, Javelin oszczędziłaby mnóstwo paliwa w drodze powrotnej.

- Hm. Wiesz, może ją lepiej wcześniej zapytajmy.

Diana popatrzyła na Lile, potem odwróciła wzrok. Ale za chwilę spojrzała znowu.

-Ja... zamazują mi się szczegóły. To znaczy, co będzie z nami.

-Tak?

-Ale mam... czy pamiętasz to samo, co ja? Ty i ja byliśmy... razem przez długi czas. Wydaje mi się, że brałaś udział prawie we wszystkim, co robiłam od teraz.

-Tak.

Lila odprężyła się jeszcze bardziej. Nie mogła się mylić, ale miło było usłyszeć, że Diana pamięta to samo. Z jej wspomnień o przyszłości pozostało już bardzo niewiele: niewyraźne migawki, rozplywające się, kiedy próbowała je sobie przypomnieć, raczej wrażenia niż wspomnienia. To, co zapamiętała, było żywe i wyraźne, ale przypominało pojedyncze klatki filmu albo fragmenty układanki.

Pamiętała las pod błękitnym słońcem. Dzielilo ją od niego co najmniej sto lat, ale Diana była tam razem z nią.

- Ciekawe, co to za słońce? - spytała Diana i roześmiały się obie.
- Fajnie będzie się dowiedzieć, prawda?

Rozdział dwudziesty szósty

Słońce ledwie można było dostrzec na niebie, zresztą Lila znajdowała się i tak po niewłaściwej stronie Posejdona. Parę tygodni temu wykonali obrót i zaczęli decelerować. Alfa Centauri znajdowała się dokładnie pod nimi.

Lila długo nie mogła się przyzwyczać do swojej grządki słoneczników. Żeby ją uprawiać, musiała chodzić głową na dół po pomostach zawieszonych nad ziemią. Przypominało to przechodzenie pod ogromną skalną przewieszką. Przez szpary w pomoście widziała gwiazdy pod swoimi stopami.

Ogród miał postać trzech koncentrycznych pierścieni otaczających ogromną srebrną misę pola nullowego, które podtrzymywało dziurę. Widziała ją w pewnej odległości, wspartą na trzech niewidzialnych kolumnach. Jedyne dowodem ich istnienia była potężna maszyna, która je generowała. Z misy wybiegało w dół białe promieniowanie skierowane w stronę Alfy, stale bezgłośnie zwalniając o jedną dwudziestą g.

Przeszła kawałek po pomoście, bezpiecznie przywiązana liną do kabla biegnącego nad jej głową. Przyciąganie było bardzo małe, ale gdyby spadła, zatrzymałaby się dopiero po dwóch latach świetlnych.

Słoneczniki nie były nowym wynalazkiem; pomysł pochodził z czasów sprzed Inwazji. Wyglądały jak trzymetrowe paraboliczne talerze, każdy z rozżarzoną do białości kulką w środku. Talerz skupiał energię na węgle; zachodziła fotosynteza, korzenie rośliny wytwarzały bulwy o grubej skórce i wewnątrz miękkim i słodkim jak ananas.

Każdy słonecznik rósł do góry nogami, korzenie tkwiły w ziemi nad głową Lili, kwiaty zwieszały się na grubych łodygach. Żeby zebrać bulwy, Lila wieszała na hakach przy pomoście dużą metalową misę, po czym wrzucała ziemię. Odłamki skał, nowo stworzona gleba i bulwy spadały na dół, do misy. Przyszło jej do głowy, że to, co robi, stanowi odwrotność pracy w zgarbionej pozycji. Bolały od tego ramiona i ręce, a nie plecy.

Postanowiła chwilę odpocząć. Kiedy siedziała tak, z nogami zwieszonymi nad nieskończonością, przydarzyła się jej dziwna rzecz. Całe życie przebiegło jej przed oczyma, zawikłane i urozmaicone; nie zwyczajna podróż od narodzin do śmierci, ale płatanina bólu zakończona wieloma śmierciami. A jednak...

- Wszystko w porządku, Lilo?

-Co?

Podniosła wzrok.

- Długo tu jesteś?

- Parę minut - odparł Cass. Był teraz prawie dorosły, pod wieloma względami podobny do ojca. - Nie odpowiedziałas, kiedy cię zawołałem. Wszystko dobrze?

- Tak, zupełnie.

Wrażenie zbladło. Próbowwała je zatrzymać, zachować fantastyczny gobelin, który należał do niej przez jedno mgnienie oka. Ale dla jej umysłu był to zbyt duży wysiłek. Poczwała, jak jej dwie żyjące siostry odrywają się od niej, ale wiedziała, że nie rozstają się na zawsze.

Cass usiadł obok niej. Patrzył w dół między swoimi nogami.

-Jak myślisz, co tam znajdziemy? - spytał.

- Słucham?

Wszystko minęło. Znow była tylko sobą. Czy to się naprawdę zdarzyło? Ale pamiętała, że zobaczyła przyszłość.

- Co znajdziemy, kiedy już tam dotrzemy? Na Alfę.

- Ludzi - odpowiedziała Lila. - Ludzi, których znamy.

KONIEC